

O  
TYM  
SIE  
NIE  
MÓWI

EMILIE PINE



*Przełożyła*  
**Joanna Figiel**

Emilie Pine

# O tym się nie mówi

Przełożyła Joanna Figiel

WYDAWNICTWO CYRANKA

Tytuł oryginału: *Notes to Self*

Polski tytuł nadały: Emilie Pine i Agnieszka Pokojska

Copyright © 2018 by Emilie Pine

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Cyranka, 2020

Copyright © for the translation by Joanna Figiel, 2020

Wydanie I

Warszawa 2020

# Spis treści

*Strona tytułowa*

*Strona redakcyjna*

O niewstrzeźliwości

O latach starań

O mówieniu i milczeniu

O krwawieniu i innych zbrodniach

Coś o mnie

O tym, czego nie ma na egzaminie

*Podziękowania*

*Przypisy*

*Kolofon*

O niewstrzeźliwości

ZANIM GO ZNALAZŁYŚMY, leżał w swoich fekaljach przez kilka godzin.

Szpital ogólny na Korfu wprawia w oszołomienie. Poczekalnia jest zatłoczona palącymi pacjentami, nie ma śladu rejestracji czy informacji. Piszę do niego z pytaniem, gdzie jest, ale nie dostaję odpowiedzi. Niczym psy gończe odnajdujemy go jednak na piątym piętrze. Leży w łóżku, wygląda mizernie. Jest już wieczór, a on mówi, że od południa nie widział pielęgniarki ani lekarza. Potrzebuje basenu. Moja siostra i ja jesteśmy w podróży już ponad dobę, żadna z nas nie spała.

– Zadzwoń po pielęgniarkę – proponuję.

Mówi, że dzwonił, ale nikt nie przyszedł.

– To zadzwoń jeszcze raz.

Bierze dzwonek do ręki i kilkakrotnie naciska przycisk. Po chwili pojawia się pielęgniarka, wygląda na zgnębioną. Krzyczy na niego, na nas. Czuję się winna, że nie mówię po grecku. Beznadziejnym gestem wskazuję mężczyznę na łóżku, próbuję pokazać, że potrzebuje basenu, że należy go umyć i zmienić mu pościel. Nie robi to na pielęgniarce żadnego wrażenia. Kobieta jeszcze coś do nas mówi, unosi ręce i wychodzi. Tata rzuca nam zdesperowane spojrzenie. Proszę siostrę, żeby z nim została, i wychodzę na korytarz. Widzę tylko innych pacjentów i ich rodziny. Idę do dyżurki pielęgniarek, ale nikogo tam nie zastaję. Kiedy odchodzę, zupełnie nie wiedząc, co dalej robić, odzywa się do mnie jakaś kobieta. Nie odpowiadam, więc pyta po angielsku, czy wszystko w porządku. Ośmielona, pytam, czy wie, gdzie są pielęgniarki.

– Nie ma pielęgniarek – odpowiada.

Starszy mężczyzna pochyla się i mówi:

– Jeśli jesteś tutaj bez rodziny, umierasz.

Do końca naszego pobytu w Grecji, podczas którego staramy się przywrócić naszego ojca do życia, te słowa będą naszą mantrą. Natychmiast orientujemy się, jak bardzo w szpitalu brakuje personelu. Po czternastej nie

ma lekarzy, a po siedemnastej na każdy oddział przypada tylko jedna pielęgniarka. Przy naszym korytarzu jest sześć sal, w każdej maksymalnie sześcioro pacjentów. Pielęgniarka ledwo jest w stanie zaspokoić podstawowe potrzeby medyczne ich wszystkich, po prostu nie ma czasu na baseny. Dowiadujemy się również, że to piętro – oficjalnie „oddział chorób wewnętrznych” – jest nazywane umieralnią.

Anglojęzyczna Greczynka informuje mnie, że muszę sama zaopiekować się ojcem. Taktownie tłumaczy, gdzie kupić pieluchy dla dorosłych, wilgotne chusteczki i ręczniki papierowe. Ledwo to rejestruję, ale wracam do prywatnego pokoju, w którym mój ojciec został umieszczony ze względu na krytyczny stan zdrowia, i wyjaśniam siostrze, jak wygląda sytuacja. Patrzy na mnie z niedowierzaniem. Stoi u wezgowia łóżka taty i poprawia mu poduszki. Zdaję sobie sprawę, że chociaż przemierzyłam Europę, żeby być u jego boku, to ledwo zamieniłam z nim słowo.

– Przynajmniej żyjesz – mówię.

Kiwa głową. Wygląda na bardzo małego. Małego i zagubionego. Uznaję, że tak nie może być – ktoś musi przecież tym szpitalem zarządzać. Wracam na korytarz i proszę znajomą już Greczynkę o pomoc w znalezieniu lekarza. Kobieta zamienia kilka słów ze swoją rodziną i prowadzi mnie w kierunku windy. Jedziemy na inne piętro, ale tam też nie znajdujemy lekarzy. Wracamy do windy i próbujemy ponownie. Powtarzamy to w kółko, zjeżdżamy coraz niżej i niżej, aż docieramy do korytarza w podziemiach szpitala. W końcu znajdujemy oddział krwiodawstwa i prowadzącego go lekarza. Moja towarzyszka wprowadza mnie do środka i macha mi na pożegnanie.

Po drugiej stronie pomieszczenia jakiś mężczyzna leży z podwiniętym rękawem na szpitalnym łóżku, pod kroplówką. Oddaje krew. Pracownik oddziału chyba myśli, że i ja przyszedłam tu w tym celu. Widząc moje zdziwienie, lekarz wyjaśnia, że w Grecji brakuje krwi i zgodnie z prawem krewni pacjentów zobowiązani są oddawać własną. Myślę o siostrze, która pięć pięter wyżej zastanawia się, gdzie jestem. Kręcę głową przecząco, ale nie mogę wydusić z siebie słowa. Nie potrafię wyjaśnić w żadnym języku, że obie jesteśmy anemiczkami i nie możemy oddawać krwi. Biorę lekarza za rękę i proszę, żeby zbadał mojego ojca. Mówię mu, że nie rozumiem, dlaczego tatę zostawiono w pokoju bez opieki i dlaczego na jego oddziale nie ma lekarza. Tłumaczę, że potrzebujemy kogoś, kto nam to wszystko wyjaśni,



ale tak naprawdę chcę, żeby ktoś mi powiedział, co mam robić. Adrenalina, dzięki której doszłam do tego punktu, nagle się kończy i jedyne, co czuję, to pustka. Po prostu tam stoję, błagając lekarza, by zbadał mojego ojca. Mężczyzna niezwykle opieszale mówi coś do kobiety przy biurku i wychodzi ze mną z pokoju. Wjeżdżamy windą z powrotem na piąte piętro, idziemy tą samą trasą, którą przemierzyłam wcześniej z Greczynką, mijając na korytarzu nieszczęsne rodziny innych chorych.

– To lekarz – mówię raczej z nadzieją niż pewnością.

Mężczyzna bierze kartę taty, przegląda ją, kiwając głową, i stwierdza:

– Wasz ojciec stracił dużo krwi. Będzie potrzebował transfuzji. Musicie oddać krew.

Przytakuję, mimo że nie powinnam i mimo że miałam nadzieję na dokładniejsze badanie. W nadchodzących tygodniach ten scenariusz będzie się powtarzał jeszcze wielokrotnie: godziny oczekiwania i walki o przyciągnięcie uwagi któregoś z lekarzy tylko po to, aby usłyszeć coś, co już dobrze wiemy. Po latach prowadzenia zajęć z Becketta w końcu żyję w jednej z jego sztuk.

Po wygłoszeniu diagnozy lekarz ponownie kiwa głową. Kiedy wychodzi, zwracam się w stronę ojca. Jego oczy szukają u mnie odpowiedzi, których nie mogę mu udzielić. Próbuję się uśmiechnąć. Jesteśmy tu już ponad godzinę i choć wiem, że ulżyło mu na nasz widok, a dotyk mojej siostry sprawił, że poczuł się mniej samotny, to przecież wciąż leży w brudnej pościeli. Nikt inny nam nie pomoże, proszę więc siostrę, żeby ze mną poszła.

– Zaraz wrócimy – uspokajam tatę.

Na dole jest szpitalny sklepik, w którym znajdujemy praktyczny asortyment gorących przekąsek, napojów oraz wszelkich produktów niezbędnych do opieki nad chorymi. Kupujemy wilgotne chusteczki i pieluchomajtki. Po namyśle moja siostra dokupuje pudełko rękawiczek chirurgicznych. Te ostatnie okażą się bezcenne.

Kiedy wyjaśniamy ojcu, co zamierzamy zrobić, jest zaniepokojony i zawstydzony. Smrodu w pokoju nie da się już jednak wytrzymać. Sprawia, że pracujemy tak sprawnie, jak to tylko możliwe. Obmywamy ojca. Po zdjęciu brudnych poszewek zanoszę je do pomieszczenia, które wygląda na gospodarcze, i zostawiam z lekkim poczuciem winy. Z innej, najwidoczniej opuszczonej sali, biorę czystą pościel z jednego łóżka i koce z drugiego, tłumacząc sobie, że jeśli sama nie wezmę, to znikąd nie dostanę.

Pod moją nieobecność siostrze udało się rozśmieszyć tatę. Kiedy zakładamy mu nową pościel, uderza mnie myśl, jak bardzo nasze poczucie człowieczeństwa zależy od takich podstawowych rzeczy. Nic tak naprawdę się nie zmieniło, nadal nie jestem do końca pewna, jaki dokładnie jest stan zdrowia ojca, mimo to czuję, że osiągnęliśmy coś wielkiego.

Robi się późno. Postanawiamy, że zostanę w szpitalu na noc, a siostra pojedzie do hotelu w mieście. Chciałabym jechać razem z nią, ale odtąd musimy zajmować się ojcem na zmianę. Siostra w samą porę wydostaje się z oddziału – budynek zamykają o dwudziestej trzeciej. Członkowie rodziny mogą zostawać na noc, ale zamknięte drzwi uniemożliwiają swobodne wchodzenie i wychodzenie. Przytuliwszy ją na pożegnanie, wracam do pokoju. Nie zazdroszczę siostrze samotnego powrotu i szukania noclegu o tej porze, ale nie mam też pojęcia, jak poradzę sobie przez noc w szpitalu. Tata powoli traci świadomość. Słucham jego oddechu, kładę mu rękę na klatkę piersiową, aby poczuć bicie serca – równomierne, choć bardzo słabe. Worek krwi wiszący przy jego głowie jest już prawie pusty. Przyglądam się mu czujnie i nie mam siły myśleć, co zrobię, kiedy krew się skończy. Wybieram numer firmy ubezpieczeniowej ojca, ale słyszę tylko automatyczną wiadomość. Przypominam sobie, że zostawiłam ładowarkę w torbie siostry, i rezygnuję z dalszego dzwonienia do kogokolwiek. Gaszę światła, wyglądam przez okno na wzgórze na północ od szpitala i słucham, jak nocna cisza spowija oddział. Robi się tak zimno, że narzucam na ojca górę koców. Sama siedzę w płaszczu i czekam. Po chwili drzwi otwierają się i ponownie pojawia się wymęczona pielęgniarka. W ciszy przyglądam się, jak zdejmuje pusty worek na krew, wiesza nowy i upewnia się, czy krew płynie. Ma na sobie fartuch, który dobrze wyglądałby na rzeźniku w ubojni. Dopiero po jej wyjściu uświadamiam sobie, że nie miała rękawiczek chirurgicznych ani nie umyła rąk.

Jakiś czas później przychodzi inna pielęgniarka. Udaje mi się wykrzesać z siebie uśmiech i zaoferować pudełko rękawiczek. Kobieta ostrożnie bierze parę i wkłada do kieszeni.

– Nie, nie. – Uśmiecham się przymilnie.

Pokazuję na migi, żeby je włożyła, ale ona tylko porusza dłonią, żeby mi zademonstrować, że ma już na sobie jedne. Są całe we krwi i w plamach, więc pokazuję, żeby je zdjęła i włożyła nowe. Moje machanie rękoma musi wydawać się niedorzeczne, ale – jak wariatka, za którą prawdopodobnie

bierze mnie pielęgniarka – nie daję za wygraną, dopóki ona, wzdychając, nie zmieni rękawiczek. Stare chowa do kieszeni. Cała ta sytuacja stanie się dla mnie zrozumiała dopiero kilka dni później, kiedy inny gość wyjaśni mi, że szpital w ogóle nie zapewnia pracownikom produktów jednorazowego użytku – żadnej waty, papieru czy plastiku. Pielęgniarki muszą je kupować na własną rękę, z pensji, które i tak są bardzo niskie. Komedya z rękawiczkami powtarza się odtąd regularnie. Za każdym razem, gdy daję pielęgniarce świeżą parę, mam ochotę się rozpłakać.

Ale tej pierwszej nocy, kiedy zaniepokojona na wpół drzemię, na wpół nasłuchuję, czy ojciec oddycha, jestem zbyt oszołomiona, by płakać. Od lat spodziewałam się tego telefonu. Snułam w głowie różne scenariusze, aby móc odpowiednio zareagować i podjąć niezbędne decyzje, kiedy ten moment wreszcie nadejdzie. Dopiero w ciszy i ciemności szpitalnego pokoju zdaję sobie sprawę, że to dopiero początek.

W NIEDZIELNY PORANEK, zbyt wcześnie na przypadkową wiadomość, słyszę sygnał esemesa. Tekst brzmi: „Krwaw Nie dzw”. Dzwonię. Ojciec brzmi okropnie. Jego głos oddaje jego stan – człowieka, który wykrwawia się na śmierć. Dusi się i kaszle, ledwo może mówić, słychać, że pluje krwią. Mówię mu, żeby się trzymał. Dzwonię do jego przyjaciółki P., która mieszka po drugiej stronie wyspy, a ona wzywa karetkę. Kierowca odmawia jednak wyjazdu do zgłoszenia. Niedzielę spędza z rodziną. Uznaje, że będzie to zmarnowana podróż, bo zanim dojedzie, ojciec będzie już martwy, więc w sumie może poczekać do poniedziałku. P. krzyczy na niego, przymila się. Dużo czasu zajmuje jej i jej mężowi przekonanie kierowcy, że pomimo niedzieli i perspektywy godzinnego kursu musi jechać. P. opowie mi o tym dopiero później. Na razie każe mi tylko obiecać, że drzwi wejściowe do domu ojca będą otwarte. Jeśli będą zamknięte, karetka odjedzie. Oddzwaniem do taty. Jest na szczęście wciąż przytomny, czołga się do drzwi i przekręca klucz w zamku. Kiedy ambulans dociera do jego wioski, sąsiedzi wskazują dom. Ekipa ratunkowa podnosi ojca z podłogi, na której leży, teraz już nieprzytomny, i zabiera go do szpitala.

Zimą nie ma bezpośrednich lotów z Irlandii do Grecji. Kilka godzin po telefonie moja siostra i ja lecimy z Dublina do Londynu, na Heathrow, gdzie mamy pierwszą przesiadkę. Samolot wypełniają mężczyźni w szalikach, pewnie rozgrywany jest jakiś ważny mecz piłki nożnej. W nowym budynku terminala czwartego jemy we włoskiej restauracji. Chociaż przejmowanie się jedzeniem w momencie, kiedy twój ojciec umiera, jest absurdalne, zamawiam makaron z truflami. I bardzo mi smakuje.

Podczas kolacji mówię siostrze, że nie wiem, co zastaniemy, gdy dotrzemy do Grecji. Zwierzam się, że jestem zmęczona. Opowiadam jej o pewnym wieczorze kilka lat wcześniej, kiedy prosiłam tatę, żeby przestał pić. O tym, jak w trakcie naszej rozmowy nalał sobie kolejny kieliszek wina. O tym, jak płakałam, a on tylko perorował, żebym przestała być taka głupia. Mówię jej, że mu groziłam, krzyczałam, że przestanę go kochać. Wyznaję jej to wszystko, choć ledwo sama przed sobą mogę się przyznać, że tamtej nocy spojrzałam na niego i pomyślałam: „Więc po prostu umieraj”.

Kiedy jemy i rozmawiamy, ciągle sprawdzamy telefony, zarówno w nadziei, jak i lęku. Nie mamy żadnych wieści o ojcu, odkąd został zabrany do szpitala. Obie wiemy, że może już nie żyć. Mój telefon nagle pika. Szybko łapię go w dłoń, ale to tylko automatyczna aktualizacja. Siostra patrzy na mnie wymownie. Wie, że nigdy nie mogłabym przestać kochać taty. Następnego dnia rano wsiadamy do pierwszego samolotu do Aten, gdzie przesiadamy się na samolot na Korfu.

ŻARTUJĄ, ŻE JEST TRUPEM. Leży podłączony do maszyn monitorujących pracę serca i innych ważnych narządów. Ma dwa wenflony – stracił tyle krwi, że pielęgniarki nie mogły znaleźć odpowiedniej żyły do wkłucia igły. Przez większość czasu jest ledwo przytomny. Dopóki jakiś Grek nie wyjaśni nam, co mówią, nie zdajemy sobie sprawy z żartu. Typowe w przypadku ojca – większość spraw go dotyczących była zarówno śmieszna, jak i straszna. Nikt z personelu, nawet pielęgniarki, nie wierzy, że tata przeżyje. A jednak nie chciał umrzeć. Po tygodniu w głównym szpitalu na oddziale paliatywnym, gdzie jedna z nas towarzyszyła mu w dzień i w nocy, jego stan uznano za wystarczająco stabilny, aby wytrzymał transfer do „angielskiego”

szpitala, co w zasadzie oznacza „szpital dla osób posiadających ubezpieczenie zdrowotne”. Warunki są tam o wiele lepsze: na każdej zmianie pracują dwie pielęgniarki i jest o połowę mniej pacjentów. Ojciec w końcu jest wykąpany, pielęgniarki zakładają mu cewnik. Kończy się przerzucanie na rodzinę obowiązku dostarczania i opróżniania basenów.

Przyjeżdżamy do szpitala codziennie o jedenastej rano, zostajemy do piątej po południu, wychodzimy coś zjeść i wracamy na kolejne kilka godzin. Siedzimy obok siebie, patrząc na ojca. Prawie nie rozmawiamy, tylko obserwujemy mężczyznę w łóżku, wciąż spodziewając się, że lada moment odejdzie. Nie odstępujemy go na krok, tak jakby nasza chęć podtrzymania go przy życiu robiła jakąś różnicę. Długie godziny wizyt przerywane są kolejnymi krótkimi i frustrującymi rozmowami z nieuchwytnymi lekarzami. Badają ojca pobieżnie, a następnie stwierdzają, że powinniśmy zabrać go z powrotem do Irlandii. W końcu, jak mówią, to lepszy kraj dla chorych na wątrobę, lekarze mają tam „duże doświadczenie” w leczeniu takich przypadłości.

Tata ma postępującą dysfunkcję wątroby. Przez długi czas inne narządy kompensowały jej zmniejszoną wydolność. Teraz, po czterdziestu latach alkoholizmu, organizm przestaje funkcjonować. Zawsze zakładałam, że ojciec umrze na marskość wątroby, ale okazuje się, że istnieje wiele innych potencjalnie śmiertelnych chorób, z którymi będzie się zmagać. Krwawienie z pękniętego przełyku, choć prawie go zabiło, było tylko najbardziej widocznym objawem. Pamiętam zapowiedź tego krwotoku, gdy kiedyś tata zatrzymał samochód, by wymiotować i spluć krwią na poboczu drogi. Teraz także jego nerki są w stanie krytycznym. Specjalista mówi nam jednak, że serce jest nadal w dobrej kondycji. Z medycznego punktu widzenia być może, chcę dodać.

Po tygodniu lekarze stwierdzają, że przełyk ojca wystarczająco się zagoił. Pozwalają mu jeść miękkie, proste jedzenie. Ale on nie chce jeść. Albo po prostu nie chce jeść tego, co mu oferują: jajek.

- Nie lubię jajek – mówi.
- Musisz coś jeść – przekonuję.
- Przecież wiesz, że nie lubię jajek.
- Nie obchodzi mnie to, musisz jeść.

To odwrócenie ról, kiedy dziecko karmi rodzica, jest gorzko ironiczne. Jesteśmy tu wszyscy z powodu jego picia, a teraz ojciec ma jeszcze czelność

odmawiać jedzenia. W końcu dobijamy targu. Jeżeli zje jajko na twardo, kupię mu długopisy i papier. Później obiecuję też zszywacz, jeżeli zje drugie. Jest pisarzem, więc czuje się niepewnie, nie mając takich rzeczy pod ręką. Daje mi wartki, szczegółowy opis miejsc, gdzie mam kupić niezbędne mu materiały. Ostatecznie zjada jednak tylko połowę jajka.

– Nici ze zszywacza – oznajmiam mu.

Nie odzywa się do mnie przez resztę dnia.

Neil dzwoni do mnie codziennie, czasem nawet po dwa razy. Połączenia od niego to jedne z niewielu, które chętnie odbieram. Neil jest najlepszym przyjacielem ojca. Kiedy tata odmawia jedzenia, firma ubezpieczeniowa oznajmia, że nie zapłaci rachunku za prywatną klinikę, albo lekarz informuje, że tata prawdopodobnie umrze, boję się, że zacznę krzyczeć z bólu. Ale potem uspokaja mnie telefon od Neila. Słuchając jego pogodnego głosu, zaczynam wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Pyta o tatę, o lekarzy, wlewa we mnie nadzieję, że uda nam się jakoś przez to przejść. Wie, że z Dublina niewiele może zrobić i że jego telefony nie zmienią rokowań ojca, ale wie również, że potrzebuję tych codziennych rozmów. To Neil dał mi numer do swojego znajomego lekarza w Irlandii, który może przetłumaczyć wyniki badań greckich lekarzy. Dzwonię do niego i opisuję stan taty, przedstawiając listę jego dolegliwości. Doktor zaleca, abym zabrała tatę do domu. *Natychmiast.*

Z, Y, X, W, V...

Tak nauczono mnie alfabetu. „Moja pięcioletnia córka może wyrecytować alfabet od końca szybciej niż ty”. Tak było, taki zakład. Wyciągano mnie z łóżka i sprowadzano na dół, żebym mogła wystąpić przed stołem pełnym pijanych dorosłych. Zakład wygrany, wracałam do łóżka. Dlaczego tata postanowił nauczyć mnie alfabetu wstecz, nie wiem – pytałam go, ale on też nie pamięta. Tłumaczę to sobie tym, że lubił w życiu stawiać okoniem, że standardowa kolejność „a, b, c...” wydawała mu się pewnie opresyjnie normalna i że jako jego pierwsze dziecko byłam dobrym obiektem do testowania jego teorii. A uczyłam się szybko. Bardzo chciałam być jak ojciec

i zależało mi na jego akceptacji. Jeszcze dzisiaj, kiedy wypełniam papiery swoich studentów, ciągle myślę kolejność liter – „p, q, r” czy „r, q, p”?

Nietuzinkowe podejście ojca do rodzicielstwa nie ograniczało się do alfabetu. Kiedy miałam cztery lata, zabrał mnie na plażę. Sama budowałam zamki z piasku, a on siedział na składanym krześle i czytał. Nie spakował prowiantu, więc kiedy powiedziałam, że jestem głodna, posłał mnie do innych dzieci w nadziei, że ich rodzice mnie nakarmią. Jego plan zadziałał. Do dziś tata opowiada tę anegdotę na dowód swojej pomysłowości. Nigdy nie wstydził się przyznać, że z radością zrzekł się obowiązku troski o swoje dzieci.

Gdy dorastałyśmy, wiedziałyśmy, że nie należy go o nic prosić. Kiedy miałam dziesięć lat, zostawił nas w pubie. Był zły, ponieważ nie powstrzymałam swojej pięcioletniej siostry przed dolaniem soku pomarańczowego do jego dzinu z tonikiem. Odjechał i już po nas nie wrócił. Ktoś dał nam kolację i odwiózł nas do domu. Same położyłyśmy się spać. Nie było to dla nas niczym niezwykłym. Jak wszystkie dzieci alkoholików, wykształciłyśmy szczególny rodzaj czujności. Życie nauczyło nas nieufności i radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych. A jeśli kiedykolwiek stanęłyśmy ojcu na drodze, bez skrupowania obrzucał nas wymyślnymi obelgami. Kiedy byłam nastolatką, zaczął nazywać mnie dziwką – słowo to wypowiedziane w ten jego szczególny sposób mogło być zarówno zniewagą, jak i komplementem.

Trudno kochać osobę uzależnioną. Sprzątanie po niej i zajmowanie się tymi wszystkimi aspektami jej życia, których nie jest w stanie sama ogarnąć, to trudność zarówno praktyczna, jak i emocjonalna. To tak, jakby walić o ścianę, nie tylko głową, ale całą swoją osobą. To sprawia, że twardej serce. Pomiedzy niekończącymi się ultimatum („przestań pić”) a radykalną akceptacją („kocham cię bez względu na wszystko”) osoba kochająca uzależnionego codziennie wyczerpuje i odnawia swoją miłość. Kiedyś zmuszałam się, aby go odrzucić i odejść. Za każdym razem ponosiłam porażkę. Szamotałam się między potrzebą opieki nad człowiekiem dotkniętym straszną chorobą a próbami uchronienia siebie samej przed emocjonalnymi skutkami posiadania ojca alkoholika. Po latach odmawiania mu empatii zdałam sobie sprawę, że jedyną osobą, którą krzywdziłam, byłam ja sama.

Kiedy miałam dwadzieścia parę lat, tata przeprowadził się do Grecji.

Wsadziłam go do taksówki, która zabrała go na lotnisko, zdając sobie sprawę z ironii całej tej sytuacji. Zwykle to dzieci, nie rodzice, wyjeżdżają rozpocząć nowe życie gdzie indziej. Machając mu na pożegnanie, uśmiechałam się, ale bolało mnie serce. Małżeństwo moich rodziców rozpadło się, gdy miałam pięć lat. Od tego czasu tata zawsze wydawał się najszcześniejszy, gdy był od swojej rodziny najdalej, jak to możliwe. To nie przypadek, że przeprowadził się na wyspę, na którą tak trudno się dostać przez większą część roku.

A teraz, kiedy leży na szpitalnym łóżku, wyczerpany i żółty od choroby, do której celowo i konsekwentnie dążył, kiedy jego serce, krew i nerki muszą być stale monitorowane przez maszyny, patrzę na niego i zastanawiam się, jak mogę go kochać, jak mogę go uratować, skoro nawet nie mogę do niego *dotrzeć*.

MUSZĘ ZABRAĆ PASZPORT TATY i dokumenty ubezpieczeniowe z jego domu. Przez dwie godziny siedzę w autobusie, jadąc do jego wioski na północy wyspy. Na miejscu zauważa mnie na ulicy sąsiad i nagle, nie wiedząc jak i skąd, zostaję otoczona wianuszkiem zatroskanych osób.

– Gdzie jest Anglik?

– Widzieliśmy, jak zabiera go karetka. Żyje?

Przyjazd ambulansu najwyraźniej był dla nich ważnym wydarzeniem. Większość pytań zadawana jest po grecku, więc nie mogę odpowiedzieć. Mówię, że ojciec jest w szpitalu. Sąsiedzi wznoszą ręce ku niebu i zawodzą. Dla nich „w szpitalu” znaczy tyle co „martwy”.

– Wyjdzie ze szpitala. Zabiorę go do Irlandii – odpowiadam.

Rozjaśniają się. Już uśmiechnięci, poklepują mnie po ramieniu i machają mi na pożegnanie.

Wchodzę do rozpadającego się bungalowu taty i przechadzam po pokojach, zastanawiając się, gdzie wśród tego chaosu książek i papierów walających się na każdej możliwej powierzchni mogłabym znaleźć paszport. Łóżko i podłoga w sypialni są całe zakrwawione. Ślady krwi i innych płynów ciała – zaschnięte i śmierdzące – pokrywają również łazienkę, umywalkę i toaletę. Jestem w szoku. Wiem, że muszę coś zrobić, posprzątać, ale ten widok mnie przerasta. Z pomocą znajomych udaje mi się skontaktować



z parą byłych wojskowych mieszkającą w pobliskiej wiosce. Kiedy pokazuję im stan pokoi, bez mrugnięcia okiem zapewniają mnie, że wojsko nauczyło ich radzić sobie z zadaniami znacznie trudniejszymi niż to. Wydają się tak solidni, że dają im klucze i proszę o pomoc. Gdy wracam kilka dni później, dom jest tak nieskazitelnie czysty, jakby nigdy nie wydarzył się tu żaden koszmar krwi i choroby.

Po trzech tygodniach stan taty się ustabilizował, choć wciąż jest on zbyt słaby, by podróżować. Siostra i ja chcemy wrócić do naszego życia. Kiedy informujemy go o tym, że wyjeżdżamy, panikuje, co sprawia, że zaczynamy się wahać. Mój partner zaoferował, że przyleci, ostatecznie podejmuję jednak pragmatyczną decyzję o wyjeździe. Czuję, że tata będzie bezpieczny pod opieką personelu szpitala. On uważa, że go porzucamy.

Powrót do Irlandii znowu zajmuje bardzo dużo czasu. Mój pobyt w domu trwa tylko jeden dzień, ponieważ dostaję ponowne wezwanie na Korfu. Niespodziewanie dyrektor szpitala oznajmia, że tata potrzebuje leczenia w klinice z oddziałem hepatologii. Kolejny raz mam wrażenie, że moje serce pompuje czystą adrenalinę. Rezerwuję kolejne bilety lotnicze, tym razem aby przywieźć tatę do Irlandii. Pomaga nam jego przyjaciel. Zabiera ojca ze szpitala i leci z nim do Aten, podczas gdy ja ponownie pokonuję trasę Dublin–Londyn–Ateny. Spotykam się z nimi w barze hotelu na lotnisku w Atenach. Tata łączywie pochłania kanapkę z kurczakiem i szklankę soku pomarańczowego. Kanapka jest słona, a sok kwaśny. Właśnie takie jedzenie odradzali mu lekarze. Odczuwam dobrze mi znane połączenie ulgi i irytacji. Tej nocy śpimy w tym samym pokoju. Tata jest w stanie przejść jedynie kilka kroków z wózka inwalidzkiego na łóżko. Jęczy coraz to nowe prośby. Staram się znaleźć w sobie siłę, by być dla niego miłą. Zastanawiam się, kiedy zostałam jego rodzicem.

Rano uprzejmi pracownicy lotniska zabierają nas z hotelu i dowożą do bramki. Podróż samolotem jest bezproblemowa – ja oglądam film, tata śpi. Na Gatwick długo czekamy na wózek inwalidzki, a kiedy w końcu się pojawia i zaczynam go pchać, zdaję sobie sprawę z wielkości tego lotniska. Tata nalega, by objechać terminal, zerka dookoła. Chce wstąpić do drogerii, ale alejki pomiędzy regałami są zbyt wąskie. Sama kupuję więc, co trzeba, a następnie dowożę go do toalety dla niepełnosprawnych, aby mógł się

odświeżyć. To krótkie, trzeźwiące wprowadzenie do świata niepełnosprawności: ludzie są wobec mnie bardzo życzliwi, uśmiechają się, jednocześnie traktując tatę tak, jakby był niewidzialny.

Przy wejściu do samolotu załoga Ryanaira nalega, aby tata wszedł po schodach o własnych siłach. Ten wygląda na pokonanego, ponieważ jest to dla niego całkowicie niewykonalne. Personel przewoźnika pozostaje nieugięty – pasażer może wejść na pokład samolotu, tylko jeżeli jest w stanie zrobić to sam. Impas dobiega końca, gdy pracownicy lotniska podnoszą nas podnośnikiem, którego używają do załadunku dostaw żywności. Lot do Dublina nie trwa długo, ale tata jest kompletnie wyczerpany. Z lotniska odbiera nas moja siostra ze swoim partnerem. Jedziemy prosto na ostry dyżur do szpitala St. Vincent. Podaję dane w rejestracji, wreszcie mówiąc w swoim języku. Na izbie przyjęć pielęgniarka zadaje ojcu parę pytań i bierze się do pobrania krwi. Sięga po przybornik pielęgniarski. Bez patrzenia, nie przerywając działania, a nawet szczególnie nie zważając, co robi, bierze świeżą parę rękawiczek z pudełka na ścianie. Robię wydech. Będzie dobrze, myślę.

Czujemy się zdezorientowani, gdy tej samej nocy tata zostaje wypisany ze szpitala. Na pierwszy rzut oka widać po nim, że jest chory, ledwo może chodzić, więc odmowa przyjęcia go na leczenie to dla nas szok. Pielęgniarka informuje nas, że chociaż na oddziale hepatologii są wolne łóżka, to szpital nie dysponuje odpowiednią liczbą personelu medycznego, aby móc przyjąć chorych. Kiedy składam skargę do kierowniczkii ostrego dyżuru, dowiaduję się, że ojcu będzie lepiej w domu niż na łóżku na korytarzu. Argument, że ojciec był bliski śmierci, wydaje się jej obojętny. A może po prostu jest przyzwyczajona do takich sytuacji. Tata zostaje umówiony na wizytę ambulatoryjną w następnym tygodniu w klinice hepatologii.

Dni poza szpitalem dają mi czas na odpoczynek i normalne jedzenie, ale kiedy siedzimy i czekamy na zaplanowaną wizytę w klinice hepatologii, zdaję sobie sprawę, że jego stan w zasadzie się nie poprawił. Tata jest zgarbiony, odдыcha płytko i jęczy co jakiś czas. Konsultant nalega, aby zbadać go bez obecności rodziny. Kiedy tata wychodzi z gabinetu, trzyma w ręce stertę recept i karteczkę z terminem kolejnej wizyty wyznaczonej za dwa miesiące. Nie mogę uwierzyć, że to wszystko, że człowiek tak poważnie

chory nie będzie leczony w szpitalu. W recepcji dopytuję o możliwość konsultacji z lekarzem badającym ojca, ale spotykam się z odmową.

A jednak tata sumiennie bierze pigułki, nie pije i powoli odzyskuje siły. Po kilku tygodniach wraca do zdrowia na tyle, że nie może usiedzieć na miejscu. Jest uzbrojony w leki i solennie obiecuje, że będzie o siebie dbał. Wraca do Grecji. Gdy to teraz piszę, sama nie mogę w to uwierzyć, ale rzeczywiście tam wrócił. Choć wciąż daleki od wyzdrowienia, desperacko chciał być w miejscu, które uważał za swój dom, wśród swoich książek i z daleka od lekarzy. Oraz od swoich córek.

W ciągu następnych kilku tygodni zdrowie taty – mimo że nie pije – znów się pogarsza, co było do przewidzenia. Leci z powrotem do Irlandii, tym razem bez naszej opieki. Na lotnisku ledwo go rozpoznaję. Jest wychudzony, ale ma tak nabrzmiąły brzuch, że – jak sam mówi drżącym głosem – wygląda, jakby miał urodzić trojaczki. Trzymam go za rękę, gdy z trudem łapie oddech. Jedziemy taksówką na ostry dyżur, gdzie go przyjmują, ale z braku wolnego łóżka w pokoju kładą na korytarzu. Obok niego nieustannie przechodzą ludzie. Ciągłe jest głośno. Na korytarzu nawet w nocy palą się wszystkie światła – w więzieniu nazywa się to „białymi torturami”. Choć tata był już w złym stanie, kiedy tu przyjechał, w ciągu następnych kilku dni jego stan wyraźnie się pogarsza.

Moja siostra i ja znowu spędzamy przy nim całe dni, dręcząc pielęgniarki i lekarzy prośbami o informacje, leczenie, łóżko. Trzeciego dnia tata dostaje ataku hiperwentylacji i ledwo może mówić. Chwyta poręcz łóżka, patrząc na nas błagalnie. Lekarz, który w końcu się pojawił, nie zgadza się na moją obecność przy badaniu – żąda, abym odeszła i umożliwiła mu przeprowadzenie „poufnej” konsultacji z pacjentem na korytarzu. Skręcając za róg, doliczyłam się pięciu innych pacjentów oraz wielu pracowników i gości w zasięgu głosu lekarza. Absurd całej tej sytuacji pogłębia fakt, że ojciec jest już tak chory, że nie ma pojęcia, co się do niego mówi. Zostaje zabrany na górę „na badania”.

Kiedy tata wraca na ostry dyżur, rejestratorka jest już miłsza. Wyjaśnia, że badanie ultrasonograficzne wykazało u ojca wodobrzusze – nagromadzenie płynów wyciekających z narządów i innych tkanek, wywierające bardzo duży, utrudniający oddychanie nacisk na płuca. W skrócie to stan, jakby tonął. Sytuacja wymaga pilnej interwencji, więc tata w końcu zostaje przyjęty na oddział. Odciągnięcie dwunastu litrów płynu z jego jamy brzusznej

zajmuje dwa dni. Dzwoni, żeby podzielić się ze mną tą zadziwiającą informacją. Jestem akurat w supermarkecie – sięgając po karton mleka, zastanawiam się, jak wygląda takie dwanaście litrów.

Po zabiegu w organizmie taty pozostawiono około pięciu litrów płynów. Dalsze ich odciąganie mogłoby spowodować niewydolność nerek. Ostatecznie cała procedura kończy się sukcesem – brzuch taty skurczył się, co umożliwia mu prawidłowe oddychanie. Po zabiegu lekarz informuje ojca o umieszczeniu go na liście osób oczekujących na przeszczep.

– W żadnym wypadku – protestuje tata, jednak doktor oznajmia, że decyzja nie należy do niego.

Mimo to tata jest nieugięty i twierdzi, że prędeziej wolałby umrzeć. Jestem zaskoczona jego sprzeciwem, jednak spuszczenie płynów zmniejszyło ryzyko śmierci, towarzyszące mu nieustannie przez ostatnie kilka miesięcy. Raczej nie umrze. Nie tym razem. Z receptą na silne leki moczopędne, uniemożliwiające gromadzenie się płynu, tata zostaje wypisany ze szpitala.

Wprowadza się do mojej siostry, ale po kilku tygodniach jego ponurej obecności siostra sugeruje, żeby został ze mną. Mój partner i ja mamy mieszkanie z jedną sypialnią, więc kupujemy składane łóżko, na którym tata śpi w salonie. Staramy się żyć dalej, chodzić do pracy, normalnie funkcjonować, ale to niemożliwe. Nie możemy tego tak dalej ciągnąć. Neil oferuje pomoc i razem namawiamy tatę do wynajęcia pokoju gdzieś na mieście. Ojciec nie chce się wyprowadzić, zachowuje się tak, jakby czekało go zesłanie na Syberię. Nie przejmuję się tym. Kierowanie życiem osoby, która nie jest w stanie dbać o siebie sama, daje pewną władzę. Organizuję jego leczenie. Rezerwuję loty. Płacę rachunki. Mówię mu, jakie leki ma brać. Decyduję, gdzie będzie mieszkać. Ale tak naprawdę to ojciec panuje nad sytuacją. To on zadecyduje, czy przestanie pić, czy wróci do nałogu.

Pod koniec lata stan taty jest na tyle stabilny, że lekarze spełniają jego jedyne życzenie: pozwalają mu wrócić do Grecji. Nie pił alkoholu, odkąd zachorował. Mówi, że nie zamierza znowu pić. Możliwe, że wrócimy wszyscy do normalnego życia. W radio słyszę doniesienia o chłopakach, którzy zmarli przez alkohol, o starszym mężczyźnie zabitym w pijackiej bójce. Ofiary kultury picia. Ich lista jest długa. Chociaż na razie nie ma na niej mojego ojca, to nie opuszcza mnie świadomość, że ten wykaz codziennie się wydłuża.

GDY TATA WRACA DO ZDROWIA, jego najlepszy przyjaciel Neil, który był dla mnie ogromnym wsparciem i bardzo niepokoił się przebiegiem choroby taty, sam otrzymuje diagnozę. Nękany ciągłym kaszlem, idzie na badania. Chociaż jest aktywny i wygląda zdrowo, lekarze wykrywają u niego raka. Okropna sprawa. Tata i Neil spotykają się w Dublinie między różnymi zabiegami i – jak przypuszczam – są nawzajem zszokowani swoim stanem fizycznym. Po powrocie taty do Grecji Neil, zawsze optymistycznie nastawiony, nadal co tydzień do mnie dzwoni i dopytuje o jego zdrowie. Dodaje mi otuchy z zaangażowaniem, jakie okazałoby pewnie niewiele osób w podobnej sytuacji.

W listopadzie dowiadujemy się, że rak jest nieuleczalny i że Neilowi pozostało niewiele czasu. Tata wraca do Irlandii, aby jeszcze raz zobaczyć się z przyjacielem. Gdy wyrusza na umówione spotkanie, jest tak zdenerwowany, że ja i siostra musimy iść razem z nim. Rozmawiamy przez chwilę wszyscy razem z Neilem, który uśmiecha się, mówiąc, że tata odkrył siebie na nowo.

– Widać, że znowu chce żyć.

Ma rację – gdy tata stanął w obliczu śmierci, w jakiś sposób wrócił do życia, ze wszystkimi swoimi problemami. Potem tata spędza trochę czasu sam na sam z Neilem. Czekamy w kuchni, próbując pocieszyć córkę przyjaciela. Tydzień później dostajemy informację, że Neil zmarł następnego dnia rano, 11 grudnia 2013 roku. To była – i nadal jest – wielka strata.

Jednym z ostatnich życzeń Neila było, by tata przemawiał na jego pogrzebie. Niestety z powodu zimowego rozkładu lotów okazało się to niemożliwe – tata nie może w porę dojechać do Irlandii. Zamiast osobistego wystąpienia pisze mowę pożegnalną, którą odczytuję w jego imieniu podczas ceremonii w krematorium. Czytając jego pożegnanie z najbliższym, najdroższym mu przyjacielem, z którym znał się od czterdziestu sześciu lat, mam nadzieję, że ludzie słyszą słowa taty tak, jakby wypowiadał je on sam. W mowie tata opisuje swój smutek na myśl, że radość, jaką Neil odnalazł w świecie – „radość znacznie pełniejszą niż ta, jakiej kiedykolwiek doświadcza większość z nas” – została odebrana mu zbyt wcześnie. Pisze, że zaufanie, szacunek i miłość, jakimi darzyli się z Neilem, były czymś, czego nigdy nie zaznał i już nigdy nie zazna. Po pogrzebie syn Neila mówi mi zwięźle:

– Byli braćmi.

Podczas ich ostatniego spotkania Neil dał tacie mapę z zaznaczonymi miejscami w Grecji, które kochał i miał nadzieję, że jego przyjaciel również pokocha. Po pogrzebie tata dowiaduje się, że Neil zapisał mu w testamencie pewną kwotę, aby mógł sfinansować sobie wizytę w tych miejscach. Bardzo podnosi go to na duchu. Zaczyna planować swoje podróże. Słucham, jak snuje te plany, i odczuwam ulgę. Picie zawsze było dla taty sposobem radzenia sobie ze wszystkimi problemami i obawiałam się, że w obliczu tego najtrudniejszego pożegnania będzie szukał pociechy w butelce. Ale chociaż jest zrozpaczony utratą najlepszego przyjaciela, pozostaje trzeźwy. Lubię myśleć, że to kolejna część dziedzictwa Neila.

DZIŚ MIJA ROK od krwotoku taty. Podczas wizyty kontrolnej w klinice hepatologii w Dublinie lekarz oznajmia mi, że nastąpiła znaczna poprawa stanu wątroby. Wykreśla ojca z listy kandydatów do pilnego przeszczepu. Po zakończonej wizycie, kiedy analizujemy te dobre wieści, pytam tatę, co myśli o swoich ostatnich doświadczeniach. Odpowiada, że niewiele pamięta. Myślał, że umiera. Kiedy rozmawiamy na ten temat, zdaję sobie sprawę, że nie tyle nie pamięta, ile po prostu pamięta *źle*.

– Przynajmniej nigdy nie cierpiałem – mówi.

Jestem zdumiona. Przypominam mu, jak wezwano do niego troje lekarzy, bo przez cały dzień był z bólu. Nas wyrzucono z pokoju i byłyśmy zmuszone czekać z niepokojem na korytarzu. Na jego twarzy maluje się niedowierzenie, tak jakbym sama sobie tę sytuację wymyśliła – to, o czym opowiadam, nie pasuje do jego wspomnień. Jeszcze kilka razy podczas rozmowy zderzamy ze sobą różne wersje niedawnej przeszłości. Tata twierdzi, że nie pamięta żadnego bólu ani naszych interwencji w obronie jego życia, naszej opieki i naszych starań, abyśmy i on, i my przetrwali ten kryzys. To ja zainicjowałam tę rozmowę, ale teraz nienawidzę siebie za to, że w ogóle go o to zapytałam.

Nigdy nie będzie pamiętał, jak każdego ranka i wieczora przedzierałyśmy się z siostrą w deszczu z hotelu do szpitala i z powrotem, fizycznego napięcia i długich godzin oczekiwania na przyjście lekarzy, naszej frustracji z powodu braku jasnych informacji. To nie są jego wspomnienia, tylko moje. I dlatego

nigdy się nie dowie, co czułyśmy, siedząc obok szpitalnego łóżka, stale sprawdzając, czy oddycha, obserwując monitor pracy serca, torbę do transfuzji. Ani tego, że przeklęłam go wtedy za to, że zawsze działał w sposób zmuszający nas do poświęceń. Cóż innego mogłyśmy zrobić? Tamtego zimowego poranka, kiedy się obudziłam i zobaczyłam jego esemes o krwotoku, leżałam przez kilka minut w ciemności, wiedząc, że wstanę i zareaguję, że przecież przygotowywałam się na tę chwilę od lat, ale zastanawiałam się także nad tym, co by się stało, gdybym nie zrobiła *nic*.

Kiedy tata mówi, jestem wściekła, że zamiast zapytać, jak się czułyśmy – może przez wstyd, może przez ten swój odwieczny narcyzm, a może dlatego, że po prostu chce zostawić to doświadczenie za sobą – postanowił zapamiętać inną wersję wydarzeń. W jego wspomnieniach jest stoickim bohaterem. W jego wspomnieniach figurujemy jako postaci epizodyczne. W jego wspomnieniach nie liczą się nasze uczucia. Być może to ja przejawiam narcyzm, świadomie przypominając mu o mojej obecności, ponownie umieszczając moją siostrę i siebie – słowem, gestem, opowieścią – w jego wersji tamtego okresu, bo jego wspomnienia nie są dla mnie wystarczająco dobre?

Mówi mi, że go tyranizuję. Może ma rację.

MINĘŁY CZTERY LATA od tamtych wydarzeń. Tyle zajęło mi napisanie tego tekstu, emocjonalne pozbieranie się i nabranie dystansu. Tata uporał się z tym doświadczeniem znacznie szybciej.

Pod koniec 2014 roku pisze artykuł dla „The Irish Times” na temat swojego alkoholizmu i późniejszego życia w abstynencji. Wysłała go mnie i mojej siostrze do zatwierdzenia. Jedno zdanie przykuwa moją uwagę: „Jestem całkowicie nieugięty, to znaczy wcale nie żałuję swojego picia”. Chociaż jakaś część mnie podziwia szczerą deklaracją, nie mogę przejść obok niej obojętnie. Odpisuję mu w mejlu, że nie podoba mi się taki opis jego nałogu. Przede wszystkim dziwi mnie, że nie wspomina w swoim artykule o brutalnych krzywdach, jakie wyrządzał ludziom przez lata swojego alkoholizmu. Później przez telefon mówi, że jest zaskoczony moją reakcją, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że kogokolwiek krzywdził. Jak na

mężczyznę, który ma tyle czasu i przestrzeni na autorefleksję, osiągnął w tym zakresie żałośnie niewiele. Wyjaśniam mu ten fakt.

– Ach – odpowiada.

Wysyłając następnego dnia artykuł do redakcji, dodaje mnie do korespondencji – to taktyka, którą stosuje od dawna, aby mnie włączyć jako świadka w sytuację, która potencjalnie może wywołać spór. (Jeśli to jeszcze nieoczywiste, to muszę zaznaczyć, że jest biegły we wdawaniu się w kłótnie). Redakcję informuje, iż spodziewa się akceptacji tekstu przez swoje córki, ale zaznacza, że jedna z nich (czyli ja) zwróciła mu uwagę na destrukcyjną rolę pijanego ojca jako rodzica. Dodaje jednak, że nie uważa, by artykuł powinien być „przeprosinami dla świata, a zwłaszcza dla jego córek”, dlatego chętnie opublikuje go w istniejącej formie. Widzę, że tata stara się nie skrzywdzić mnie ani mojej siostry. To, że nie zmieni artykułu z powodu moich obiekcji dotyczących jego treści, nie jest jednak dla mnie zaskoczeniem. Być może odkrył w sobie nowe pokłady wrażliwości, wcześniej znieczulane przez dziesięciolecia picia, ale nadal jest sobą: wciąż skupiony na sobie, wciąż uparty i wciąż nieskruszony.

Artykuł pojawia się w dodatku „Health & Living” [Zdrowie i życie] – wszyscy śmiejemy się z tego tytułu. Zapowiedź tekstu pojawia się na pierwszej stronie gazety, nie do końca jako opowieść w rodzaju „moja walka z pićm”, ale coś w tym stylu. Nie jestem pewna, jak się z tym czuję. Przez lata irytowały mnie eufemizmy dotyczące alkoholizmu, twierdzenia, że mój ojciec „nie wylewa za kołnierz” lub że jest „duszą towarzystwa”. W końcu stało się, czytam wyraźne oświadczenie taty na pierwszej stronie gazety – „Jestem alkoholikiem” – i jestem z niego dumna. Podziwiam odwagę, jaką się wykazał, aby to napisać. Kupuję kilka egzemplarzy gazety, sama nie wiem po co.

Ale jestem też wściekła. Jestem wściekła, że tata nie spróbował stawić czoła szkodom wyrządzonym nam – każdemu z osobna i razem jako rodzinie. Jestem wściekła, że nie widzi, że alkohol nie był jego sprzymierzeńcem, ale wrogiem. I że w swoim tekście postanowił się skupić na diecie związanej z niewydolnością wątroby – zakazie spożywania soli, który sprawił, że nie może już jadać w restauracjach. Wielka mi sprawa. Jestem po prostu ogólnie wściekła, nawet na zdanie, w którym nazywa mnie i moją siostrę „świętymi”. Łatwo powiedzieć, kolejny gówniany eufemizm. Dosyć tego. Postanawiam napisać własną relację.



Kiedy byłam dzieckiem, a tata zaczął się zmagać z depresją towarzyszącą mu przez całe jego dorosłe życie, kazał mi obiecać, że gdy dorosnę, nie zostanę pisarką. Uroczyście wypowiedziałam słowa przysięgi, w głębi duszy wiedziałam jednak, że jej nie dotrzymam. Bo tak naprawdę to on nauczył mnie, być może wbrew sobie, że pisanie jest sposobem na zrozumienie świata, sposobem przetwarzania – i posiadania – myśli i emocji, sposobem na przekształcenie cierpienia w coś wartościowego. A więc siedząc obok niego w szpitalnych salach w Grecji, automatycznie rozważałam, jak opisałabym ten pokój i mężczyznę w łóżku, tak jakby tworzyli razem scenę. Zastanawiałam się, jak opowiedzieć historię o krwi, pielęgniarkach i rękawiczkach, o lekarzach i czekaniu. Zastanawiałam się, kto był bohaterem tych wydarzeń – tata czy ja. Oraz czy – i jak – mogłabym wykorzystać te zapiski, aby lepiej zrozumieć historię o swoim ojcu i o sobie.

Teraz jest już lepiej. Już nie monitoruję stanu zdrowia taty tak jak wcześniej. Nie chodzę z nim nawet na wizyty, ufając, że porozmawia z lekarzami, dopilnuje zażywania leków i weźmie za siebie odpowiedzialność. Przewracam oczami, kiedy nie dba o siebie, kiedy nosi lekkie trampki podczas ulewnego deszczu, kiedy gubi bilet miesięczny, kiedy upiera się, że prażone orzeszki ziemne, zupki w proszku, a nawet boczek nie naruszają zasad jego diety bezsolnej. Przewracam oczami, ale się nie wtrącam. Jego racje i upór są nie do złamania, ale stanowią również gwarancję jego obietnicy, że nigdy więcej się nie napije. Chodzi także o coś więcej. Odsuwam się, bo wiem, że nie musi pytać o moją zgodę, nie chce znać mojej opinii, nie należy do mnie. Kiedy staram się nie tylko go odczytać, jak to zawsze robiłam, ale i opisać, wykraczam poza swoją ocenę jego alkoholizmu. Widzę, że jest szczęśliwy. Jeden z jego bliskich przyjaciół mówi mi, że znów się razem śmieją, co przez długi czas było niemożliwe. Jeśli alkohol był dla taty sposobem na zagłuszenie presji, która czyni życie nie do zniesienia, to również zagłuszał on to, co sprawia, że życie jest radosne. Teraz jest już lepiej.

Nareszcie kończę ten esej. Dzwonię do taty, żeby powiedzieć mu, że opisałam swoje wspomnienia z jego kryzysu zdrowotnego. Wydaje z siebie jakiś niezobowiązujący dźwięk, a następnie prosi, żebym wysłała mu tekst mejlem. Wysyłam i czekam przy biurku w niespokojnej ciszy. Obawiam się,

że będzie zdenerwowany tym, co napisałam. Martwię się, że to skrytykuje. Martwię się, że zakwestionuje prawdziwość moich wspomnień. Przede wszystkim martwię się, że pisząc i wysyłając ten tekst oraz mając nadzieję na jego opublikowanie, naruszę kruchy spokój między nami, jaki osiągnęliśmy, odkąd przestał pić.

Dwadzieścia minut później otrzymuję odpowiedź. Napisał dwie krótkie linijki: „Jest piękny. I odważny”. Analizując je, zdaję sobie sprawę, że to jest ten moment, w którym ojciec mnie zaskoczył. Myślałam, że straciliśmy już zdolność do robienia sobie takich niespodzianek. Ale nie wszystko stracone, jeszcze nie teraz. Być może nasza relacja jest jakąś twardą opowieścią, ciągiem niezmiennych chwil, od kłótni w barach po czuwanie przy szpitalnych łózkach. Ale jest to także, w równie dużym stopniu, stale zmieniająca się rozmowa pomiędzy dwojgiem ludzi, ojcem i córką; rozmowa, podczas której oboje jesteśmy wdzięczni, że jeszcze nie dobiegła końca. Ostatnio tata czasem do mnie dzwoni – ja jestem zajęta, a on skupiony na sobie, ja warczę, on warczy, w końcu rzucam słuchawkę. Piszę, że zadzwonię później, ale często zapominam o swojej obietnicy. Czasami dzwoni i opowiada, co u niego słychać, powtarza plotki z miasteczka, za którymi nie nadążam, ale i tak słucham, a kiedy ziewam, śmieje się i ja też się śmieję. Czasami dzwoni, a ja nie mam ochoty rozmawiać. Czasami dzwoni i po prostu dobrze jest usłyszeć jego głos.

I za każdym razem, kiedy dzwoni, moje serce przyspiesza. Już zawsze tak będzie.

O latach starań

SIKAM NA PAŁECZKI i do pojemników na mocz. Kiedy strumień wymyka się spod kontroli, obsikuję sobie dłoń. Rozchyłam nogi szeroko do stosunku i do wsunięcia wziernika lekarskiego. Wyciągam rękę w stronę igieł i monitorów ciśnienia krwi, a czasem żeby złapać mojego partnera, który siedzi obok mnie. Przepęniają mnie strach, nadzieja i wstyd. Martwię się, że jestem pusta albo pełna niesfunkcjonujących organów. Martwię się, że znikam, słabnę, zawodzę. Nie wiem, co mam zrobić z tymi wszystkimi uczuciami. Chcę tylko zostać matką. Dlaczego dla niektórych to banalnie łatwe, a dla innych tak trudne? Dlaczego właśnie dla mnie to takie trudne?

Od dawna mierzyłam się z tym pytaniem. Czy chcę mieć dzieci? Męczyłam się latami. Próbowalam ze sobą debatować, wyliczałam wszystkie argumenty „za” i „przeciw”. Przeciwwstawiałam wolność miłości, egoizm – bezinteresowności, obecność – spuściźnie. Jako dwudziesto- i trzydziestolatka obserwowałam, jak moi przyjaciele mówili sobie „tak” i zostawali rodzicami. Widziałam przejęcie na ich twarzach, zmęczenie w ich oczach, niezwykle wachlarz emocji wywołany przez nową osobę, którą stworzyli. I widziałam miłość.

Nie byłam sama w tych przejmujących rozważaniach – mój partner R. czuł to samo. Rozmawialiśmy o możliwości zostania rodzicami, dyskutowaliśmy, niemal nostalgicznie, o naszym życiu osób kochających ciszę i spokój, ceniących sobie przestrzeń do czytania i pisania. Zanotowane na papierze zamiłowania mogą się wydawać jedynie małymi zaletami, ale ich lista symbolizowała dla mnie – dla nas obojga – spokojne, szczęśliwe, satysfakcjonujące życie. Dziecko oznaczałoby rezygnację z tego wszystkiego na lata. Czy byłoby warto? Obawiałam się powtórzenia błędów swoich rodziców. Martwiłam się o własny związek, o to, że w obliczu obowiązku zaspokojenia potrzeb tej małej, płaczącej ósóbki nie sprostam zadaniu. Czułam, że to ślepy wybór pomiędzy tym, co miałam, a tym, co mogłabym mieć. Czułam, że ryzykuję wszystko. I nie wiedziałam, czy warto ponosić to ryzyko.

PEWNEGO SOBOTNIEGO PORANKA spotykam się z przyjaciółmi w parku, siedzimy, rozmawiamy, pijemy kawę na wynos i obserwujemy, jak ich dzieci bawią się na zjeżdżalniach, huśtawkach i karuzelach. Jedno z dzieci upada. Plac wyłożony jest miękką korą, więc dziecku nic się nie dzieje, ale roztrzęsione przybiega do matki, kładzie głowę na jej kolanach, chce się przytulić. I to jest właśnie to. Miłość. Żołądek mi się kurczy i muszę wstać, aby ukryć nagły przypływ emocji. Dziecko puszcza matkę, dostrzega mnie i bierze za rękę. Prowadzi mnie do huśtawek, podnoszę je i zaczynam huśtać, a ono się śmieje i cieszy, zapominając o upadku. I znowu czuję miłość. To uczucie rozbija mnie i przekreśla wszystkie moje wcześniejsze zapewnienia o potrzebie ciszy i spokoju. Chcę tej miłości.

Przez pewien czas zatrzymuję to objawienie dla siebie z obawy, że R. go nie zrozumie. Kiedy w końcu mówię mu o swojej decyzji, on wciąż się waha. Przez kolejnych kilka powolnych, trudnych miesięcy na przemian rozmawiamy i unikamy rozmów o tej ważnej sprawie, której – jak mi się wydaje – ja pragnę, a na którą on nie jest gotowy. Dziecka nie mogę jednak zrobić sobie sama, mimo rad przyjaciółek, które potajemnie przestały brać pigułki, aby móc „przypadkowo” zajść w ciążę. Nie jestem w stanie naśladować tych aktów jednoczesnej ufności i zdrady. Chcę założyć rodzinę z tym mężczyzną – najwspanialszą osobą, jaką znam, osobą, którą kocham najbardziej. Chcę przez to przejść razem z nim, chcę wspólnie dzielić się tą miłością.

Pewnego wieczoru nadchodzi ten moment. Wracam z pracy do domu, jestem przemoczona od deszczu. R. czeka przy drzwiach, zabiera mój ociekający wodą płaszcz i pyta, jak się czuję. Jestem nieszczęśliwa, ale nie z powodu ulewy. Nie mogę się powstrzymać, zaczynam płakać.

– Jestem taka przygnębiona. Cały czas. Chcę mieć dziecko.

On jest równie zmartwiony. Zapewnia, że zrobi wszystko, żeby mnie uszczęśliwić. Powtarzam tylko, że chcę mieć dziecko. Pyta, czy jestem pewna. Potwierdzam. R. się waha, ale w swojej niepewności daje się przekonać.

– Okej – mówi.

ZA PIERWSZYM RAZEM, kiedy uprawiamy seks bez zabezpieczenia, jest *dziwnie*. Staramy się udawać, że nie jest. Przyzwyczajamy się. Oboje wyobrażamy sobie, że jeśli będziemy uprawiać dużo seksu, to zajdę w ciążę. Ale przyjemność z częstego współżycia mija z upływem miesiący, a ja zaczynam się zastanawiać, dlaczego jego plemniki i moje komórki jajowe tak nieśmiało podchodzą do tego całego tematu.

Po ośmiu miesiącach *prób* – jak to się mówi – „spóźniam się”. Zauważam to ponieważ, gdy jestem na konferencji w innym mieście. Melduję się w hotelu i rozpakowując walizkę, klęę, że zapomniałam zabrać tampony. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że powinnam już była dostać okresu. Ha. Wychodzę z hotelu. Jak jakaś tajna agentka idę w kierunku przeciwnym do miejsca konferencji, próbując znaleźć aptekę, w której nie wpadnę na inną z uczestniczek zjazdu. Kupuję test i wkładam go do torby. Wracam na konferencję lekko spocona. Podczas powitalnego bankietu stoję pośród kelnerów krążących z kanapeczkami i ciepłym białym winem i jedyne, o czym myślę, to jak szybko wypada mi przeprosić towarzystwo i pójść do toalety. Siedzę w wąskiej kabinie przez chwilę, która zdaje się wiecznością, a potem drżącymi rękoma rozpakowuję test. Czytam instrukcję, sikam na pałeczkę i czekam. Kobiety wchodzą i wychodzą, spuszczaają wodę i myją ręce. Nie pozwalam sobie spojrzeć na test, dopóki wskazówka minutowa nie powie, że czekałam odpowiednio długo. Delikatny, ale jest, pozytywny wynik. Ja pierdołę. Co ja zrobiłam? Wychodzę z bankietu. W hotelu robię kolejny test – znów pozytywny, więc z szaleńczo bijącym sercem wybieram numer R. Podczas gdy ja wariuję, on wydaje się spokojny. Choć fizycznie jest tak daleko, uspokaja mnie. Kiedy słucham jego głosu, zaczynam wierzyć, że damy sobie radę. Mimo to nie śpię całą noc, nękana strachem, że właśnie straciłam kontrolę nad swoim życiem.

Następnego ranka wygłaszam odczyt. Nawet nie widać po mnie zdziwienia, gdy okazuje się, że PowerPoint nie działa, bo w duchu zastanawiam się, co, u diabła, w ogóle tutaj robię. Ale kiedy robię trzeci test – cóż, po prostu muszę się upewnić – wynik jest negatywny. Nie rozumiem. Jak to możliwe, że dwa wczorajsze były pozytywne, a dzisiejszy jest negatywny? Dzwonię do R., żeby przekazać mu tę nową wiadomość – mój nadal spokojny chłopak pociesza mnie, że tak czy inaczej wszystko się ułoży. Staram się przetrwać jakoś dzień, po czym spędzam w hotelu kolejną

nieprzespaną noc. Następnego ranka wymyślam infekcję nerek i wyjeżdżam z konferencji wcześniej.

R. idzie ze mną na wieczorny dyżur w przychodni, gdzie lekarz wykonuje dla pewności kilka testów. Wszystkie są negatywne. Dowiadujemy się, że prawdopodobnie poroniłam. Lekarz pobiera mi krew, sugeruje, żebym się zrelaksowała, zapewnia, że następna próba się uda. Trochę wstrząśnięci falą sprzecznych informacji, jakie otrzymaliśmy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, idziemy na przyjęcie urodzinowe przyjaciela i zamawiamy po dużym piwie, niepewni, czy świętujemy poczucie ulgi, czy topimy smutki. Następnego dnia po całej tej adrenalinie ostatnich dwóch dni oboje jesteśmy przygaszeni. I oboje rozczarowani. Zdaję sobie sprawę, że to, co czuję, to żaloba. R. przeżywa to samo. Oboje naprawdę chcemy zostać rodzicami, najwyższy czas przestać liczyć na przypadek.

Kieruję się do apteki i wykupuję połowę zapasu testów owulacyjnych, próbując ignorować irytujące zdjęcie uśmiechniętego dziecka na pudełku, mając nadzieję, że nie spotkam nikogo znajomego, i zastanawiając się, jak stałam się osobą, która w ogóle kupuje takie rzeczy. Kiedy tylko wracam do domu, otwieram opakowanie, zdeterminowana, by zacząć śledzić swój cykl i odkryć „optymalny czas poczęcia”. Kilka razy czytam instrukcję. Nie mogę uwierzyć, że są tylko trzy płodne dni w miesiącu. Trzy? Przypominam sobie strach wzbudzany w nas, trzynastoletnich uczennicach, podczas corocznej obowiązkowej lekcji edukacji seksualnej. *Terroryzowano* nas ryzykiem zajścia w ciążę, miałyśmy wierzyć, że zaliczymy wpadkę, jak tylko jakiś penis chociażby zbliży się do naszej pochwy. A teraz, gdy naprawdę chcę zajść w ciążę, dziwnym trafem okazuje się, że okienko na zrobienie dziecka jest cholernie *małe*.

Zaczynam proces śledzenia swojego cyklu, przechodząc przez wszystkie fazy emocjonalne: od zapału przez nudę po rozgoryczenie. Chociaż obserwuję swoje ciało, nie podoba mi się wymuszona wesołość internetowych kalendarzy płodności ilustrujących każdy miesiąc animowanymi aniołkami i serduszkami. Podobnie odrzucają mnie poradniki zawierające wskazówki, jak zachęcić partnera do obserwowania fizycznych „objawów” mojej płodności. „Niech powie ci, kiedy wydajesz się mieć PMS”. Nie, nie ma mowy. Ale może to dlatego, że sama jestem trochę zawstydzona niektórymi z wymagań.

Czytam, że dla optymalnego poruszania się plemników śluz z szyjki

macicy ma przypominać białko kurzego jaja. Jasne. Do tej pory nawet nie zarejestrowałam, że moja szyjka macicy w ogóle wydziela jakiś śluz, a teraz mam zostać specjalistką od jego konsystencji. Robię omlet – tylko po to, żeby sobie przypomnieć, jak wygląda białko. Następnie przechodzę do badania własnego ciała: wkładam do środka palec i postępując zgodnie z instrukcjami zawartymi w poradniku, sprawdzam rozciągliwość śluzu pomiędzy dwoma palcami dłoni i zapisuję swoje obserwacje. W niektóre dni jest gęsty i biały, w inne ślizga się oleście. To są te dobre dni. Wszystkie uwagi zapisuję w dzienniku, obok harmonogramu zajęć, które prowadzę. Tajne skróty wskazują na brak śluzu, zbyt dużą jego ilość lub *śluz idealny*. Ale jeśli chodzi o zakomunikowanie R., że akurat dzisiaj wypada najlepszy dzień na zapłodnienie, okazuje się, że poradniki miały rację – wymachiwanie przed nosem mężczyzny dopiero co obsikany testem owulacyjnym absolutnie nie jest podniecające i nie zachęci go do seksu.

Trzeba jednak przyznać, że jest w tym coś zabawnego – śmiech z absurdu tej całej sytuacji naprawdę wydaje się jedyną rozsądną reakcją. Wykonywanie testów owulacyjnych w godzinach pracy, w przerwach między zajęciami na temat awangardowego teatru europejskiego, sikając co cztery godziny, aby odczyt był dokładny – jeśli ktoś sam tego nie doświadczył, to zapewniam, że jest to zarówno groteskowe, jak i stresujące. Niestety nie mogę wspomagać się swoim zwyczajowym sposobem radzenia sobie ze stresem (zwierzaniem się przyjaciółkom przy kieliszku wina), biorąc pod uwagę, że przez połowę każdego miesiąca trzymam się mocno myśli, że może tym razem jestem w ciąży. Kiedy wspominam przyjaciółce z trojgiem dzieci – jednej z tych, które bezproblemowo zaszły w ciążę – o tej „seksownej chwili polowania na owulację”, ta z litością klepie mnie po ramieniu. W tym momencie uroczyście postanawiam nigdy więcej nie dzielić się opowieściami o moich płynach ustrojowych z płodnymi koleżankami. Szybko zdaję sobie sprawę, że niepłodność jest szczególnym rodzajem samotności.

Chociaż większość naszych znajomych nie wie, że „się staramy” (ech, zaczynam nienawidzić tego sformułowania), to przyjaciele, którzy wiedzą, dają nam najróżniejsze rady: od najlepszych pozycji seksualnych do poczęcia, przez omówienie problematyki tyłozgięcia macicy (tylko skąd wiadomo, czy się takowe ma?), po żartobliwe uwagi, że seks po pijaku lub – co gorsza – po narkotykach z pewnością poskutkuje zapłodnieniem.



Ponieważ mam już niezłą paranoję na punkcie zajścia w ciążę i boję się, że coś robię źle, któregoś wieczoru celowo upijam się i rzucam na R. – na wypadek gdyby przyjaciele jednak mieli rację. Jestem w szoku, kiedy inna koleżanka beztrudno sugeruje, że powinnam rozważyć adopcję – zna kilka par, które poczęły naturalnie, właśnie kiedy „rozpoczęły procedurę adopcji”. Nie może mówić poważnie, myślę. Zmieniam temat.

Szukam w sieci osób z podobnymi jak nasz problemami. Ciężowe listy dyskusyjne są dla mnie nowością, poświęcam im dużo czasu, pragnąc znaleźć na ekranie jakąś odpowiedź. Poznaję akronimy, które są na swój sposób użyteczne, dziwaczne, ale i trochę smutne. Kiedy kobiety nie chcą pisać „seks”, piszą BD (*baby dance*); kiedy nie chcą pisać „porażka”, piszą BFN (*big fat negative*); kiedy nie mają odwagi napisać wprost tego, na co tak naprawdę my wszystkie mamy nadzieję, piszą BFP (*big fat positive*). Jestem poruszona, gdy czytam w internecie długie posty na temat niepłodności, powoli dogorywających nadziei i sposobów, w jakie kobiety potrafią ukarać same siebie za kolejne nieudane próby. Ale jestem poruszona także wtedy, gdy czytam komentarze pod tymi postami – pełne słów zachęty do walki, pełne wzajemnego wsparcia, podkreślające, że żadna z nas tak naprawdę nie ponosi porażki.

Miesiące mijają powoli, aż w końcu upływa ponad rok od momentu, kiedy zdecydowaliśmy, że dziecko to dobry pomysł. Nadal nie zaszłam w ciążę. Moja lekarka rodzinna radzi mi się zrelaksować, a następnie zrelaksować się jeszcze bardziej. Sugeruje, żebym starała się przestać myśleć o ciąży, ponieważ ponoć właśnie to skupienie na zapłodnieniu powoduje, że plemniki i jajeczko nie stosują się do biologicznego nakazu. To zalecenie wydaje mi się niebezpiecznie podobne do stwierdzenia, że umysły kobiet są niebezpieczne dla ich ciał. Umawiam się na wizytę do innej lekarki. Ale kiedy pytam ją, jakie mam opcje, odpowiada, że niestety pozostaje mi zapłodnienie *in vitro* – „które jest bardzo drogie” – albo nic. Oferuje mi wydruk informatora dotyczącego zajścia w ciążę ze strony internetowej państwowej służby zdrowia. Dziękuję jej, mówiąc, że mogę go sobie wydrukować sama.

A POTEŃ ZACHODZĘ W CIAŻĘ.

W drodze powrotnej z gabinetu lekarskiego (tym razem nie ryzykuję domowych testów) R. i ja nie możemy przestać się uśmiechać od ucha do ucha. R. obejmuje mnie i patrzy mi w oczy. Widzę, że płacze i się cieszy. Mówi, że wszystko przemyślał i zastanawia się, czy dziecko mogłoby nosić moje nazwisko – rozumie, ile by to dla mnie znaczyło. To wspaniały, radosny moment. Od dawna już głośno się zastanawiałam, dlaczego dzieciom nadaje się automatycznie nazwisko ojca. Sugestia R. oznacza dla nas obojga, że choć teraz zmieni się nasze życie, nie zmieni się to, kim jesteśmy. W tym samym tygodniu, w którym potwierdzono moją ciążę, podpisujemy umowę przedwstępną na kupno domu. Domu wystarczająco dużego dla trzyosobowej rodziny.

Ale bardzo szybko pojawia się krew. Codziennie rano. Niewielkie ilości, ale wystarczające, żeby mnie zaniepokoić.

– Proszę się zrelaksować – mówi pielęgniarka.

– To prawdopodobnie stara krew – mówi lekarka.

Chcę im wierzyć, ale strach kieruje mnie do sieci. Wyszukuję frazę „krwawienie podczas ciąży”, czekając na spotkanie z przyjaciółką, potem znowu, gdy czekam na autobus, i jeszcze raz, stojąc w supermarkecie z koszykiem na podłodze w alejce z makaronami. Bo przecież nie powinnam krwawić codziennie. Bo jak na „starą” krew ta jest zbyt czerwona. Bo znalazłam w sieci informację, że to wczesny znak poronienia. Wracam do internetowych list dyskusyjnych na temat ciąży. Z jednej strony dają mi nadzieję, że wszystko będzie dobrze, a z drugiej – wtórują mojemu wewnętrznemu głosowi, który mówi, że wcale nie będzie. Nie jestem sama, to na pewno. Jest tam z milion wiadomości – czytam zarówno te ze szczęśliwym, jak i z nieszczęśliwym zakończeniem. Śledzę niektóre historie, te podobne do mojej, a kiedy wątek się urywa, umieram z ciekawości dlaczego. Kobiety są zbyt zajęte swoimi ciążami czy zbyt przygnębione, aby publikować posty? Myślałam, że udane zapłodnienie będzie oznaczać koniec nerwów, tymczasem zamiast się uspokoić, przeszłam od pragnienia zajścia w ciążę do pragnienia jej utrzymania.

Ponieważ to wczesne stadium ciąży, prawie nikt oprócz mnie i R. nie wie o moim stanie. Nie powiedziałam nawet ojcu, bo jest uwikłany we własne problemy zdrowotne wynikłe z niewydolności wątroby. Podczas normalnych rozmów z przyjaciółkami, koleżankami z pracy czy nawet w trakcie jakichś

przypadkowych spotkań chcę głośno krzyknąć o tym, że spodziewam się dziecka. Odczuwam potrzebę dzielenia się objawami, wszystkimi tymi małymi dowodami (moje dzinsy stały się zdecydowanie ciaśniejsze), uspokajającymi prawdami (te dwie małe linie) i skutkami ubocznymi (jestem ciągle oszołomiona, ponieważ moje ciało zaczęło wytwarzać nową krew). To uczucie jest jak narastający, więznący w gardle ścisk. Któregoś wieczoru mdleję w dusznym holu teatru. Przyjaciel, chcąc pomóc, oferuje mi brandy. Stara się tylko być miły, ale ja wychodzę, mamrocząc jakąś gniewną wymówkę. Fakt, że zemdlałam, sprawia, że martwię się jeszcze bardziej niż dotychczas, dlatego następnego dnia rano, wciąż leżąc w łóżku, dzwonię do szpitala położniczego Holles Street. Mówię rejestratorce o poprzedniej utraconej ciąży i codziennych krwawieniach. Kobieta zaleca wizytę w przychodni i rozmowę z położną. Będzie to oznaczać poranek wolny od pracy i kilka godzin czekania w kolejce, ale powoli się uspokajam.

W tym momencie zaczynam sobie oczywiście wyrzucać, że nie mam prywatnego ubezpieczenia zdrowotnego, takiego, które zapewnia dostęp do telefonicznych konsultacji z lekarzami i do umawiania wizyt u specjalistów. Dlaczego, dlaczego go nie mam? Mama radziła mi, żebym je wykupiła, znajomi przedstawiali mi zalety różnych pakietów. Odwiedzałam przyjaciół i ich dzieci w półprywatnych salach szpitalnych i słyszałam, jak rozmawiali o wizytach u lekarzy. Wszystko opłacone przez ubezpieczenie zdrowotne. A ja? Nie, ja go nie mam. Idiotka.

W poczekalni przychodni wszystkie kobiety wyglądają, jakby dobrze wiedziały, co tu robią; ja jedyna jestem tu bez brzucha. W formularzu przy pytaniu o wiek matki zaznaczam krzyżykiem pole „zaawansowany” (inaczej „wiek geriatryczny” – oficjalny termin medyczny dla kobiet powyżej trzydziestego piątego roku życia będących w pierwszej ciąży). Oboje z partnerem wzięliśmy ze sobą książki. R. wygląda, jakby naprawdę czytał, a ja zabijam czas, wpatrując się w inne kobiety i plakaty wiszące na każdej ścianie poczekalni – większość na temat szkodliwości palenia w ciąży lub korzyści z karmienia piersią, inne z numerami infolinii dla kobiet doświadczających przemocy domowej. Kiedy nadchodzi moja kolej, przechodzimy do gabinetu, gdzie opisuję lekarce (okazuje się, że dzisiaj brakuje położnych) całą historię. Kobieta przysuwa do łóżka aparat do USG i rozpoczyna się procedura, którą dotychczas znałam tylko z telewizji. Po kilku niespokojnych chwilach jeżdżenia głowicą po moim nażelowanym

brzuchu lekarka znajduje płód – dobrze widoczny i tam, gdzie powinien być. Uff. Ale zaraz potem słyszę, że maszyna jest stara i nie można uzyskać wystarczająco wyraźnego obrazu. Czy mogę wrócić na wizytę kontrolną na oddział patologii ciąży? Dostaję zdjęcie swojej macicy z białą plamką, która oznacza dziecko. Kiedy biorę je do ręki, cała się trzęsę.

Druga wizyta odbywa się kilka dni później, razem z R. czekamy na korytarzu. W pewnym momencie mija nas szefowa administracji szpitala, poprawia kilka prześcieradeł na stojącym obok wózku i po chwili zastanowienia pyta, czy ktoś już się nami zajął. Rozpoznaję ją – to kobieta z wiadomości telewizyjnych. Odpowiadam, że tak i że wszystko w porządku, chociaż tak naprawdę chcę jej powiedzieć, że listwy przypodłogowe, pamiętające chyba czasy królowej Wiktorii, wyglądają na brudne. Na oddziale patologii ciąży spotykam lekarkę z przychodni na dole wraz z inną, starszą lekarką, która jak się okazuje, pracuje na tym samym uniwersytecie co ja. Przez chwilę mam nadzieję, że ten zbieg okoliczności sprawi, że będzie do mnie lepiej nastawiona, tak jakby to, czy mnie polubi, miało jakiegokolwiek znaczenie. Tym razem skan obejmuje wewnętrzne badanie USG. Kiedy zgodnie z instrukcjami zdejmuję dżinsy, bieliznę i kładę się ze stopami razem i rozłożonymi kolanami, staram się sprawiać wrażenie, że robiłam to już wcześniej. Zastanawiam się, co myśli R., który siedzi obok. Lekarka wprowadza we mnie plastikową sondę pokrytą lateksem i lubrykantem, żeby obejrzeć wnętrze macicy. Nie boli, ale czuję dyskomfort i nagle zdaję sobie sprawę, że moje ciało nie jest już wyłącznie moim prywatnym, że przestało być dla mnie czymś dobrze znanym. Odczuwam je teraz jako czerwone i mięsiste, miękkie i ciepłe. Ale ekran aparatu pokazuje jedynie ziarnistą skalę szarości, przypominającą jakiś księżycowy krajobraz. Monitor jest przechylony w drugą stronę, ale nawet gdybym go dobrze widziała, nie wiedziałabym, na co patrzę.

Badanie odbywa się w ciszy. Na koniec lekarka wyjmuję sondę, wyciera ją, wyrzuca prezerwatywę i daje mi papierowy ręcznik, żebym mogła się wytrzeć. Cicho pyta mnie o datę poczęcia – czy mogłam się pomylić? Nie, nie mogłam. Pamiętam nie tylko datę, ale i zbliżenie, białą pościel na łóżku, opuszczone żaluzje, niezgaszone światło w łazience. Pamiętam pełną napięcia rozmowę, która poprzedziła seks, kiedy zapytałam R., czy możemy spróbować. Pamiętam, kiedy odpowiedziałam mu, że owszem, mam coś przeciwko temu, że „jest zmęczony”. Pamiętam, bo uprawialiśmy seks,

choć on tak naprawdę tego nie chciał; zgodził się tylko po to, żeby uniknąć moich oziębłych pretensji. Pamiętam, bo w tamtej chwili stałam się emocjonalną terrorystką. Pamiętam, bo kiedy zobaczyłam potem dwie kreseczki na teście, poczułam, że było warto.

– Tak, pamiętam właściwą datę – mówię.

– Miejmy zatem nadzieję. – Lekarka patrzy na mnie ze smutkiem.

O nie. Nie, nie, nie.

Może jednak się pomyliłam?

Może pomyliłam daty?

Muszę policzyć.

Muszę sprawdzić kalendarz.

Muszę zmienić bieg czasu.

Gdy wychodzimy ze szpitala, R. mówi, że w zasadzie nie wie, co zasugerowała lekarka. Odpowiadam, że poronienie. R. stwierdza, że skoro kazała nam mieć nadzieję, to właśnie tej myśli będzie się trzymał. Ale ja kręcę głową.

Siedem dni później, wyczerpani i ośpiali ze zmartwienia, wracamy do szpitala. W gabinecie każą mi się przygotować na kolejne badanie USG. Zdejmuję dzinsy, kładę się, czuję zimną sondę. Pojawia się nadzieja. Ale aparat nie wykrywa bicia serca. Po kilku chwilach ciszy położna wychodzi po koleżankę, aby się z nią skonsultować. Druga położna mierzy płód na ekranie.

– Nastąpił rozwój – mówi.

Oprócz tego stwierdzenia dostajemy od obu kobiet jedynie krótki komunikat, że „nic więcej nie mogą powiedzieć”. Czego nie mogą nam powiedzieć? Czego? Po kuriozalnej chwili milczenia, podczas której obie położne wpatrują się w podłogę, jedna z nich w końcu dodaje:

– Nic więcej nie możemy powiedzieć. Musicie wrócić za tydzień.

Opuszczają gabinet.

Potrzebuję chwili zastanowienia, muszę to przeanalizować. Rozwój oznacza życie. Ale brak bicia serca to brak życia. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że rozumiem. Nie ma życia, ale jakimś cudem jest rozwój, co

oznacza dwuznaczność. Zapisany w irlandzkiej konstytucji równy status płodu i matki to coś więcej niż tylko zakaz aborcji. Stanowi on, że w przypadku niejasności priorytetem jest życie płodu, co sprawia, że w naszej sytuacji położne nie mogą – zgodnie z prawem – orzec o poronieniu. Ta dwuznaczność nie oznacza, że będzie dziecko. Oznacza natomiast całkowite ubezwłasnowolnienie nas jako „rodziców” tej niejednoznacznej ciąży. Cisza położnych, choć w tamtej chwili całkowicie dla nas niezrozumiała, tak naprawdę mówi nam bardzo wiele. One nie mogą powiedzieć, a my nie możemy wiedzieć. Jestem wściekła. Na całą tę sytuację, a w szczególności na położne. Jestem kobietą w żałobie, a one nie spojrzą mi nawet w oczy, jak kobiety kobiecie, i nie powiedzą szczerze, że nie zostanę matką. Nie wierzę, że jestem w państwowym szpitalu położniczym, nie tylko zrozpaczona w obliczu zakończenia tak upragnionej ciąży, ale pozbawiona prawa do jakiegokolwiek wiedzy na temat tego, co dzieje się w moim ciele.

Znowu wychodzimy ze szpitala i zdezorientowani sytuacją wracamy do domu. Oboje jesteśmy rozdarci pomiędzy wściekłością a bezwładnością. Kolejny tydzień to zbyt długo, by czekać. Ale co możemy zrobić? Tego wieczoru, w desperacji, umawiam się na badanie USG w prywatnej klinice. Jest drogie, ale – do cholery – może ci, którzy płacą, są lepiej traktowani i dostają konkretne odpowiedzi. Dwa dni później siedzimy w poczekalni, odnosząc wrażenie, że trafiliśmy do innego świata – z miękkimi dywanami i napojami dla pacjentów. Jesteśmy jednak tymi samymi zdenerwowanymi ludźmi w potrzebie. Zastanawiam się, czy otrzymamy inną diagnozę. Nasza nadzieja na wyjaśnienia rośnie, gdy przychodzi po nas położna. Ma angielski akcent.

Zaczynamy badanie. Zaraz po włączeniu ultrasonografu na ekranie pojawia się obraz idealnego płodu *in utero*. Uderza mnie fala nadziei, że to doskonale widoczne *dziecko* jakoś we mnie jednak żyje, ale obraz jest tylko pozostałością po badaniu poprzedniej pacjentki. Gdy położna porusza głowicą sondy, ekran się odświeża i powracamy do ziarnistej powierzchni księżycy. R. trzyma mnie za rękę, przechodzimy przez to wszystko od nowa. Dzisiaj też nie słyhać bicia serca. Położna odwraca się do biurka i zapisuje coś w karcie. Pytam, ale nie odpowiada. Nalegam, musimy przecież wiedzieć. Kobieta się waha. Informuje nas, że zgodnie z prawem nic nie może powiedzieć. A potem milknie na kolejną chwilę. W końcu mówi, że

w całej swojej pracy zawodowej nigdy nie spotkała się z sytuacją, żeby bicie serca płodu pojawiło się dopiero w dziesiątym tygodniu ciąży. To jest to „nie”, którego się obawiałam i którego oczekiwałam, ale którego nie chciałam usłyszeć. Nie mogę tego znieść. Ale równocześnie ulżyło mi, że wreszcie otrzymałam jasną odpowiedź.

Z kolejnych dni nie pamiętam zbyt wiele oprócz niejasnego wspomnienia naszego wspólnego przygnębienia. Chyba chodziliśmy do pracy, widzieliśmy się z rodziną, próbowaliśmy pewnie udawać, że wszystko u nas w porządku.

Pięć dni później wróciliśmy do szpitala na nasze ostatnie USG. Tym razem nie ma rozwoju, nie ma dwuznaczności. Płaczymy na korytarzu, po chwili zapraszają nas do prywatnej salki. Jest mała i wąska, z kanapą na jednym końcu. Siadam, a że nie ma dość miejsca dla nas obojga, R. stoi. Patrzy na stos ulotek leżących z boku i mówi:

– To chyba jakiś pokój żałoby.

Z napięciem właściwym rozpaczcy zaczynamy się śmiać. Oczywiście w tej właśnie chwili wchodzi chirurg; nie mogę pozbyć się myśli, że nas ocenia, że pewnie wcale nie uważa nas za zdruzgotanych, może nawet jest w tej chwili przekonany, że poronienie jest nam na rękę. Ale może przyzwyczał się do takich reakcji jak nasza. Tak czy inaczej, nie przestaję się już śmiać. Lekarz wyjaśnia, że mam tak zwane poronienie zatrzymane. Moje ciało nie wydała obumarłego płodu, muszę się więc poddać zabiegowi chirurgicznemu, aby go usunąć. Ponieważ nie ma już dziecka, perspektywa medyczna się zmienia – znowu to ja staję się główną pacjentką. Nagle to ja się liczę.

18 października zostaję przyjęta na oddział, którego nazwą jest dziwny skrótowiec oznaczający „ewakuację pozostawionych resztek jaja płodowego”.

Lekarka, którą poznałam na pierwszej wizycie, podchodzi do mojego łóżka, żeby pobrać mi krew i sprawdzić wyniki. Ma ze sobą dokumenty i prosi mnie jako „matkę” o podpisanie formularza dotyczącego utylizacji szczątków płodu. Tego się nie spodziewałam. Płaczę. Pielęgniarka wzywa do mnie pomoc psychologiczną. Ta daje mi teczkę ulotek na temat radzenia sobie z poronieniem; wsuwam za tylną okładkę zdjęcie USG z pierwszego badania. Później wydarzenia dzieją się bardzo szybko: zabierają mnie na salę operacyjną, wracam na oddział, zostaję wypisana. Przyjeżdża po nas moja mama. Stoimy w korku, jest godzina szczytu. R. prawie traci nad sobą panowanie, sfrustrowany wolną jazdą, całym dniem, absolutnie każdym jego

pierdolonym drobiazgiem. Zdaję sobie sprawę, że nikt nie zwraca na niego uwagi, oczekując, że to właśnie on będzie wśród nas tym silnym.

Biorę tydzień zwolnienia, moja szefowa okazuje zrozumienie. Rodzina nas wspiera. Moja siostra dzwoni do taty, żeby mu powiedzieć o sprawie, on oddzwania do mnie, jest poważny i zatroskany. W weekend jemy obiad z rodziną R.; starannie unikamy jakiegokolwiek wzmianki o tym, co naprawdę się w tym tygodniu wydarzyło. Kiedy rozmowa schodzi na temat domu, który właśnie kupiliśmy – domu z dodatkową sypialnią, którą tak bardzo chcę zapełnić – zaczynam się denerwować. Tata R. mnie przytula, a R. zabiera do domu. Nikt więcej nie wie. Chociaż poronienie jest jedyną rzeczą, o której mogę myśleć, i choć czuję, że się emocjonalnie rozsypuję, nie rozmawiam z nikim na ten temat. Nawet nie chcę o tym rozmawiać. To zbyt świeże, zbyt trudne, zbyt zawstydzające. Poza tym nikt inny nigdy nie rozmawiał ze mną ani nawet nie wspominał o stracie ciąży, dlatego wydaje mi się, że ja też powinnam milczeć.

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ, kiedy wracam do szpitala na kolejną konsultację, mijam grupkę tłoczących się kobiet z papierosami w dłoniach, w zaawansowanych ciążach, z brzuchami ledwo zakrytymi szlafrokami. Czy to sprawiedliwe? W duchu żądam odpowiedzi. Byłabym lepszą matką. Bardziej na to zasługuję. Próbuję odegnać od siebie te okropne myśli, ale przenika mnie dogłębna zazdrość. Podczas konsultacji pytam o fizyczne konsekwencje poronienia. Mówię, że okres jeszcze mi nie wrócił – pielęgniarka zapewnia, że to normalne. Mówię, że moje ciało wydaje mi się inne – patrzy na mnie współczująco, ale nic nie odpowiada. Po wyjściu ze szpitala idę do sklepu i kupuję nowe staniki, w mniejszych rozmiarach, wściekła, że moje piersi, które powinny być nabrzmięte od hormonów ciążowych, skurczyły się, tak jakby zarówno moje ciało, jak i moja płodność po prostu zanikały.

Miną miesiące, zanim powróci krew. A moje miesiączki, kiedyś bardzo regularne, teraz są tak rzadkie i skąpe, że ledwo rozpoznaję te skrócone epizody krwawienia jako okres. Zawsze słyszałam, że wyglądam młodo jak na swój wiek. Teraz czuję się dokładnie odwrotnie – tak jakbym zestarzała



się wewnątrz, tak jakby moja powolna, zepsuta, niewydarzona macica zatrzymała mnie od środka. Jakbym była jałowa. Trudno mi przewyciężyć to uczucie przygnębienia, które spowija mnie i tłamsi. Pławię się w marazmie, zamiast się z niego wydostać.

Jedyną osobą, której się zwierzam, jest moja lekarka rodzinna – dopóki nie zacznie mówić o „matce naturze” i o tym, że muszę „pozwolić, aby natura zrobiła swoje”. Na ten stek bzdur odpowiadam ironicznym stwierdzeniem, że analogicznie można by pozwolić, by natura zaczęła działać, gdy ktoś ma raka. Jestem tak głęboko poruszona, że nie dostrzegam już różnicy między niemożnością zajścia w ciążę a poważną chorobą. Mówię, że jestem na skraju załamania i potrzebuję pomocy. Lekarka niechętnie zgadza się na przeprowadzenie niektórych badań. Ciężarna pielęgniarka pobierająca mi krew sugeruje kurs uważności, który mógłby pomóc mi osiągnąć „wewnętrzny spokój”. Prycham. Ale kiedy mówi, że zna kobiety, które poczęły po akupunkturze, zaczynam jej słuchać uważniej. Postanawiam rozważyć tę opcję – akupunktura jest droga, ale część kosztów może pokryć moje nowe, potwornie drogie prywatne ubezpieczenie zdrowotne. Dzwonię pod numer, który podała mi kobieta.

Jak to często bywa w przypadku terapii półalternatywnych, już sama rozmowa ze specjalistą może być równie uzdrawiająca co same zabiegi. Gabinet akupunkturzysty znajduje się w piwnicy, ściany ozdobione są zdjęciami niemowląt. Siedzę na wygodnym krześle, mężczyzna pyta mnie o mój stan fizyczny i emocjonalny. Jak zwykle czuję się dziwnie, opisując fizjologiczne szczegóły całej sprawy, ale on przytakuje każdej mojej odpowiedzi. W końcu pyta, czy łatwo się rozpraszam. Odpowiadam, że nie. Chyba nie dowierza. Próbuje jeszcze raz. Czy potrafię robić wiele rzeczy naraz? Potwierdzam, potrafię. Stwierdza wtedy, że jestem typem osoby, która jest nieustannie zajęta, która nie umie się wyciszyć – za dużo *yang* i za mało *yin*. Zwykle źle reaguję, gdy ktoś mi mówi, że mam skłonność do przesady – a słyszałam to nie tylko od swoich lekarzy rodzinnych, ale także od mojej rodziny, przyjaciół i współpracowników – ale przyszłam tu po pomoc. To dobrze, że akupunkturzysta ujmuje moje problemy w kontekście starożytnej tradycji rozumienia ciała. Czyż nie to właśnie starałam się osiągnąć przez cały ten czas? Zrozumieć swoje ciało?

I tak rozpoczyna się dziesięć tygodni leżenia na kanapie i prób (wbrew samej sobie) medytacji w trakcie klucia dziesiątkami cienkich igieł, mających przywrócić równowagę moim energiom. Specjalista zaleca mi też przyjmowanie dużych dawek spiruliny, obrzydliwego zielonego proszku, który mogę tolerować jedynie w połączeniu – za radą mojej siostry – z napojem o smaku czarnej porzeczki. Trzymaj się, powtarzam sobie, kiedy przełykam to świństwo. Trzymaj się, powtarzam sobie, przypinając rower do stojaka przed gabinetem. Trzymaj się, powtarzam sobie, robisz to wszystko dla dziecka.

Ale nie zachodzę w ciążę, a objawy mojej płodności – krew i śluz – się nie zmieniają. Zniechęcona brakiem poprawy, płacąc za ostatnią zaplanowaną sesję, tracę wiarę w sukces tego przedsięwzięcia. Mężczyzna zachęca mnie do kontynuacji terapii, wyczuwam jednak w jego głosie niewypowiedziany werdykt, że jestem skrajnym przypadkiem, nieodwracalnie nie zrównowazonym. Może gdybym była bardziej wyluzowana? Łagodniejsza? Bardziej, hmm... matczyzna, pełna ciepła? Może gdybym była zupełnie inna, gdybym mogła wymienić wszystkie komórki, geny i chromosomy w swoim ciele, może wtedy by się udało? Nad ranem, nie mogąc zasnąć, zdaję sobie sprawę, że to, co próbuję wyleczyć, to bycie sobą. Może powinnam zaakceptować fakt, że będąc przed czterdziestką nie zmienię już ani swojej osobowości, ani swojego ciała. Może nie zajdę już w ciążę, ale nie jestem przepełniona nienawiścią do siebie, nawet jeśli moja natura jest przepełniona energią *yang*. Lubię wykonywać po dziesięć zadań jednocześnie. Podoba mi się, że robiąc jedną rzecz, zawsze planuję już następną. Swoją dużą energię życiową postrzegam jako pozytywne wyzwanie. Cieszę się, że moją ulubioną czynnością w trakcie powrotnych lotów do domu jest przeglądanie mapy tras i rozważanie, gdzie by tu się wybrać w następną podróż. Ale potem przypominam sobie zdjęcia dzieci i wszystkie te kartki z podziękowaniami za pomoc w zajściu w ciążę rozstawione na półkach gabinetu akupunkturzysty. Rano piszę do niego esemes ze świątecznymi życzeniami i informacją, że zobaczymy się po Nowym Roku.

Po raz pierwszy urządza się święta Bożego Narodzenia w naszym domu. Dołącza do nas rodzina R. Są też moja mama, siostra V. i jej partner. Jest też

nienarodzony nowy członek rodziny. Moja siostra jest w prawie dziewiątym miesiącu ciąży.

Powiedziała mi w maju. Stałyśmy w mojej kuchni, robiłam herbatę, siostra była zdenerwowana, a ja źle zareagowałam. Powinnam była ją objąć, cieszyć się jej szczęściem, ale jedyne, co byłam w stanie zrobić, to wydusić z siebie wymuszone gratulacje. Wstydzę się tamtego zachowania, tego, że nie umiałam choć na chwilę stłumić swojego narcyzmu. Ale poczułam się oszukana. Poczulałam każde z tych pięciu lat, jakie dzielą moje starsze ciało od jej, młodszego. Dopiero dołączyłam później poczułam, że cieszę się razem z nią.

Widząc moją zbolaną reakcję, V. postanowiła nie rozmawiać ze mną o swojej ciąży i nie pokazywać mi zdjęć USG. Nie zdawałam sobie nawet z tego sprawy, nie zapytałam, dopóki mój tata nie pochwalił się wydrukiem najnowszego skanu, który powiesił na brzegu monitora, aby móc stale patrzeć na swojego wnuka. Błagałam siostrę, żeby przesłała zdjęcie również mnie, chciałam się zaangażować. We wczesnym stadium ciąży V. przestraszyła się, bo – podobnie jak u mnie – pojawiło się krwawienie. Ale dodatkowe badanie USG wykazało zdrowy płód. W miarę rozwoju jej ciąży i rosnącego brzucha wszystkich nas do niej ciągnęło. Od zawsze to ja zarządzałam rodziną, a V. z kolei była osobą, do której wszyscy zwracaliśmy się po wsparcie. Masz doła? V. wysłucha, uspokoi i poda ci domowe ciasto z twoją ulubioną herbatą. Czasami myślę, że bez niej nasza rodzina by się rozpadła. Mnie zwykle nie ma, jestem zajęta gdzie indziej, a ona jest zawsze na miejscu, zawsze w domu.

Święta mijają w miłej atmosferze. Otwieramy prezenty. Obżeramy się. Ładujemy zmywarkę.

30 GRUDNIA dzwoni moja mama i mówi, że V. trafiła do szpitala położniczego i potrzebuje wsparcia. Jej partner jest w pracy i nie można się do niego dodzwonić. To dopiero trzydziesty siódmy tydzień, więc przypuszczam, że zaczął się poród przed terminem. W rejestracji nie wiedzą, czy V. zaczęła rodzić. Dzwonię do niej. Odpisuje, że leży na oddziale patologii ciąży. Na piątym piętrze podaję swoje nazwisko dwóm

pielęgniarkom w recepcji. Wymieniają między sobą spojrzenie, które oznacza złe wieści. Ale nie wiem jeszcze, jak bardzo złe.

Prowadzą mnie do osobnej sali za rogiem. Są tam łóżko i aparat USG. W rogu stoi krzesło, na którym siedzi V. Trzyma się za brzuch. Płacze. Z trudem łapiąc oddech, mówi mi, że serce jej córki przestało bić.

Obejmuję ją, przytulam i marzę o tym, żeby świat przestał istnieć, żeby czas się zatrzymał i żeby te słowa pozostały niewypowiedziane. Z całkowitym niedowierzaniem patrzę na położną, która wygląda na skrepowaną. Wkrótce pojawia się mama. Partner V. jest już w drodze; dzwoni, żeby zapytać, gdzie jesteśmy. Spotykamy się przy schodach.

– Co się dzieje? – pyta.

Mówię mu, co wiem. Biegnie do pokoju, bierze V. w ramiona, zamyka drzwi. Czekamy na korytarzu. Pielęgniarka proponuje przynieść mojej siostrze herbatę. Podkreślam, że nie lubi herbaty, jakby to miało jakieś znaczenie. Po chwili V. i jej partner wychodzą z pokoju. Siostra zapewnia nas, że nic jej nie jest i że chcą już jechać do domu.

Dwa dni później wracamy do szpitala na poród. Jest nas czworo w przegrzonym pokoju przy głównym oddziale położniczym. V. leży na łóżku, a jej partner, moja matka i ja siedzimy na krzesłach, starając się jej nie przyglądać. Czekamy, aż leki zaczną działać i rozpocznie się poród. Podają jej pełną dawkę środków przeciwbólowych, a kiedy zaczynają się skurcze, maksymalne znieczulenie zewnątrzoponowe. Jak wyjaśnia pielęgniarka, teraz już nic nie może zaszkodzić dziecku. V. i jej partner zostają zabrani na salę porodową, mama i ja czekamy. Mama chce rozmawiać, płacze. Klepię ją po plecach, nie chcę, żeby płakała, bo wtedy i ja się rozkleję, a nie mogę, bo zbudowałam stalowy mur wokół serca i nie chcę go naruszać.

Późno w nocy rodzi się Elena Jane. Jest 1 stycznia 2015 roku. Córeczka, ukochana wnuczka, uwielbiana siostrzenica.

Mama i ja możemy w końcu wejść na salę porodową. V. leży oparta na łóżku, trzyma córkę w ramionach owiniętą niebieskim bawełnianym kocem, w jaki owijane są wszystkie noworodki. Siostra spogląda na mnie i się uśmiecha.

– Cudowna dziewczynka – stwierdzam, sama niepewna, czy mam na myśli siostrę, czy jej dziecko.

Przytulamy V. tak, jak ona przytula Elenę. Dziewczynka wygląda pięknie, tylko niewiarygodnie nieruchomo. Na jej powiece jest małe zadrapanie

z odrobiną krwi – delikatna skóra została uszkodzona podczas porodu. Kiedy ją podnoszę, jej zwarte małe ciało jest zbyt lekkie, ale jest ciepła, wciąż trzymając ciepło ciała matki.

Stoimy wokół łóżka V. w zupełnej ciszy. Zapamiętaj to. To jedyny raz, kiedy będziesz trzymać na rękach siostrzenicę. To jest ten moment, kiedy na tym zimnym świetle Elena jest najbliżej życia. To jest i koniec, i początek. Zapamiętaj to.

V. prosi mnie, abym zrobiła zdjęcia jej i córeczce. Uśmiecha się, pokazując swoje śliczne dziecko. Nie wiem, jak znajduje na to siłę. W następnym tygodniu wywołuję zdjęcia w jednym z samoobsługowych punktów. Nie radzę sobie z automatem i kierownik przychodzi mi z pomocą. Mówi, że dwa lata wcześniej jego własny syn urodził się martwy. Nie bierze ode mnie pieniędzy za odbitki. Mam kopie zdjęć dla wszystkich bliskich krewnych Eleny. Kiedy wysyłam je tacie, protestuje:

– Jak mogłaś? Jak można na nie patrzeć?

– Można, bo V. udało się uśmiechnąć, gdy trzymała córeczkę – odpowiadam. – Wystarczy spojrzeć.

W dniach po urodzeniu Eleny wszyscy staramy się jakoś zapełnić czas. Mama sprząta każdy pokój w swoim domu. V. i jej partner krążą po Dublinie, próbują spakować dziecięce rzeczy, piją kawę u mamy. Przytulamy się. Rozmawiamy o organizacji pogrzebu. Rzadko nawiązujemy ze sobą kontakt wzrokowy z obawy przed łzami, które moglibyśmy zobaczyć. Nagle, po dwudziestu trzech latach wegetarianizmu, mam straszną ochotę na mięso. Nie widzę powodu, aby z nią walczyć. W okresie między narodzinami i śmiercią Eleny a jej pogrzebem dziesięć dni później zjadam wszystko, co pojawi się przed moimi oczami.

I robię zakupy. Kupuję materiały do remontu domu, który w końcu rozpoczęliśmy. Wybieram armaturę łazienkową i płytki. Sklepy w styczniu wyglądają dla mnie dziwnie. Muszę wyjść z pierwszego z nich; zaskoczyłam sprzedawcę potokiem łez, kiedy spytał, jakiej wanny szukamy. W drugim po prostu wskazuję na najprostsze, najtańsze modele. Kręcę głową, gdy sprzedawca prosi mnie o wybranie jednego spośród kilku typów kranów. Patrzę na błyszczący chrom i zastanawiam się, dlaczego zdecydowałam się robić zakupy właśnie w dniu, w którym Elena leży w szpitalnej kostnicy – w miejscu nazwanym „pokojem aniołów”.

W dniu pogrzebu idę zobaczyć Elenę po raz ostatni, usiąść przy niej

w cichym pokoju w zakładzie pogrzebowym, powiedzieć jej, że ją kocham i że zaopiekuję się jej mamusią. W kaplicy obserwuję plecy siostry. Trzyma się prosto. Nigdy nie widziałam nic bardziej heroicznego.

Czas spędzony z Eleną był tak ulotny. V. była w ciąży przez dziewięć miesięcy i poznała swoją córkę, jej ruchy i ich rytm. My obserwowaliśmy z zewnątrz, jak w V. rośnie życie, jak siostra odczuwa kopanie dziecka. Nawet dla ojca Eleny była to granica poznania córki przed jej narodzinami. I mając tak mało do zapamiętania, celowo odtwarzam te kilka wspomnień. Denerwuje mnie, że choć moje wrażenia z dni z okresu narodzin Eleny są niezwykle żywe, to zamazują mi się już w pamięci drobne szczegóły, kolejność wydarzeń, dokładna godzina jej przyjścia na świat. Po pogrzebie opowiadam o niej nieznanym, ustawiam jej zdjęcia na telefonie, mówię do niej po imieniu, robię wszystko, byle tylko ją przy sobie zatrzymać. Ponieważ obecność Eleny na tym świecie była tak krucha i delikatna, kocham ją wyjątkowo zaciekle, raz po raz potwierdzając przed samą sobą jej istnienie. Nawet teraz myślę o niej każdego dnia i każdego dnia żałuję, że wszystko nie potoczyło się inaczej. Nie chcę celebrować jej nieobecności ani trzymać jej w sercu – chcę trzymać ją w ramionach, śmiejącą się lub płaczącą, a nie taką, jaką trzymałam na sali porodowej, piękną i błogo spokojną, ale niewątpliwie i tak nieodwołalnie martwą.

Kolejne etapy życia nadchodzą i odchodzą. Bezlitośnie. Termin porodu V. Miesiąc od śmierci Eleny. Miesiąc od pogrzebu. Pierwszy od tamtych wydarzeń Dzień Matki spędzamy razem. V. piecze ciasto w kolorach tęczy. Wyniki sekcji zwłok nie wykazują żadnego problemu genetycznego, tylko tragiczną wadę serca. Partner V. zaczyna prowadzić zbiórkę pieniędzy na Krajowy Szpital Dziecięcy, aby wesprzeć tamtejszy oddział kardiologiczny i dzieci, które nadal mają szanse na wyleczenie. Wszyscy zastanawiamy się, czy Elena miała szanse na przeżycie. Co by było, gdybyśmy wiedzieli wcześniej? Czy jakaś interwencja mogła zmienić bieg wydarzeń? Moi znajomi z pracy przekazują wpływy z charytatywnego obiadu i sprzedaży ciastek na zbiórkę. Partner V. i jego przyjaciel skaczą ze spadochronem. V. i ja bierzemy udział w charytatywnym minimaratonie dla kobiet. Przed biegiem wszyscy uroczyście przekazujemy czek przedstawicielowi szpitala. Zebraliśmy się tłumnie w sali w piwnicy hotelu. Ludzie tłoczą się w grupkach, ubrani w koszulki z nazwami różnych chorób. Każda osoba ma jakąś historię, walka o przetrwanie dziecka lub zachowanie pamięci o nim

przywiodły ich tu dzisiaj. Zawsze to jakaś forma działania, kiedy nie da się zrobić już nic innego.

Wkrótce urlop macierzyński V. dobiega końca. Ale wkrótce też – z radością, ulgą i ze zdenerwowaniem – siostra oznajmia nam, że znowu jest w ciąży. Ta ciąża przebiega prawidłowo i ma szczęśliwe zakończenie: po dziewięciu miesiącach następują narodziny zdrowego chłopca. Właśnie tak powinna była przebiegać pierwsza ciąża. To słodko-gorzkie uczucie. Niełatwe. Uzdrawiające.

ZAINSPIROWANA ODWAGĄ MOJEJ SIOSTRY, postanawiam dowiedzieć się, co jest ze mną nie tak. Rejestrujemy się w klinice leczenia niepłodności. Rozpoczynam serię testów i badań, aby poznać swój układ rozrodczy. Jestem przekonana, że musi istnieć jakiś konkretny powód, dla którego nie mogę zajść w ciążę. Lekarz mówi mi, że łatwiej leczyć mężczyzn, więc jestem rozczarowana, gdy okazuje się, że sperma R. ma prawidłowe parametry. A więc problem leży po mojej stronie. Każde kolejne badanie pokazuje jednak, że i ze mną wszystko jest w porządku. Chodzę na cotygodniowe USG, przyzwyczajam się już nawet do sondy i za każdym razem mam nadzieję, że ujawni się w końcu ta niechętna do współpracy część mojej macicy. Owuluję, co wydaje się szczytem marzeń, bo błona śluzowa mojej macicy jest cienka. Powiedziano mi, że leki na płodność powinny to poprawić, ale wcale mnie to nie uspokaja. Nikt nie potrafi powiedzieć, dlaczego mój cykl miesięczkowy nie wrócił do stanu sprzed poronienia. Dlaczego nikt oprócz mnie się tym nie przejmuje? Mam wiele stron codziennych zapisków ze szczegółami mojej owulacji, upławów i krwawienia. Pokazuję je każdemu specjalście, u jakiego jestem, ale lekarze za każdym razem uśmiechają się protekcyjnie, ledwo zerkając na pierwszą stronę moich notatek, i chowają je na dnie teczki.

Ja jednak jestem uparta. Późnym latem znów wracam do szpitala Holles Street. Boże, nienawidzę tego miejsca... Tym razem czeka mnie badanie drożności jajowodów. Jak zwykle jestem naga od pasa w dół, leżę na pokrytym plastikowym ochroniaczem rozkładanym fotelu, z nogami w strzemionach. Jest moja konsultantka do spraw płodności, asystują jej dwie pielęgniarki. Sonda do badania wewnętrznego tym razem na końcu długiej

urki rozpylającej płyn ma zamocowaną kamerę. Wprowadzony zostanie roztwór soli fizjologicznej, a uzyskany kontrast pokaże, co się dzieje z moimi jajowodami i jajnikami. Od początku badanie jest nieprzyjemne i im głębiej sięga głowica, tym bardziej boli. Na początku zadaję jeszcze jakieś pytania, ale szybko odbiera mi mowę. Tak bardzo nie chcę zdradzić płaczem swojego bólu, że zaczynam sobie wmawiać, że przecież nie jest aż tak wielki. Pielęgniarka widzi moją napiętą twarz i podaje mi dłoń. Ściskam ją z całych sił.

Po zakończeniu badania konsultantka mówi mi, że kobiety często porównują ból związany z tą procedurą do porodu. Nazywa mnie bohaterką i zaleca zażycie kilku ibuprofenów. A potem informuje, że badanie nie wykazało żadnych niedrożności jajowodów ani problemów z błoną śluzową czy jajnikami. Powinnam się cieszyć, ale przecież chciałam się dowiedzieć, co w takim razie jest ze mną nie tak. Wstaję do wyjścia, wciąż cieknie ze mnie woda.

– Chcesz przedyskutować coś jeszcze, Emilie? – pyta lekarka.

Jest tyle innych rzeczy. Napraw mnie, chcę odpowiedzieć.

Ale może nie da się mnie naprawić. Gdy wracamy do kliniki leczenia niepłodności, konsultantka oznajmia, że od czasu mojego ostatniego badania, kiedy miałam trzydzieści sześć lat, moja rezerwa jajnikowa znacznie zmalała. Przyrównuje obniżenie poziomu płodności do spadania z klifu. Mówi, że z tego powodu kwestia zapłodnienia *in vitro* staje się pilna.

– Nie czekajcie – radzi. – Nie czekajcie nawet sześciu miesięcy.

Kiedy tylko wypowiada te słowa, kiwam głową, bo jestem gotowa na *in vitro*, gotowa podpisać papiery, przejść przez to wszystko, aby dostać to, czego pragnę. Podchodzę do tej kwestii, jakby była to łatwa decyzja. Ale potem sobie przypominam, żeby zapytać o przebieg całego procesu. Słuchamy, jak kobieta wyjaśnia poszczególne etapy: zastrzyki, leki, zabieg pobrania komórek jajowych. Czy wspominałam, że nienawidzę zastrzyków? R. już widział, jak pobierają mi krew, więc wzdryga się na myśl, że to on będzie musiał wbijać mi igły. Pyta, jakie jest prawdopodobieństwo ciąży mnogiej. Słyszeliśmy o więcej niż jednej parze, która po zapłodnieniu *in vitro* została rodzicami bliźniaków. Konsultantka uśmiecha się i mówi, że szanse na to są minimalne. Odpowiedź wydaje mi się niewystarczająca.

Kobieta dodaje, pewnie dla rozładowania atmosfery, że po wszystkich tych zastrzykach, próbkach i zapłodnieniu jajeczek „wrzucają je do środka



i mają nadzieję, że któreś się przyjmie”. Wrzucają je. Swobodny ton, z jakim wypowiedziała tę uwagę, sprawia, że sama mam ochotę czymś rzucić. Brak konkretnych informacji na temat przyczyny naszego problemu każe mi stwierdzić, że pomimo badań i całej posiadanej aparatury ludzie ci nie mają tak naprawdę pojęcia, co sprawia, że ciąża jest udana.

Pytam o swoje szanse na zajście w ciążę.

– Dwadzieścia osiem procent – odpowiada.

W następnych dniach po konsultacji próbuję dowiedzieć się nieco więcej. W moim wieku i przy tej rezerwie jajnikowej nasze szanse to raczej dwadzieścia procent. Znowu jestem zdezorientowana brakiem przejrzystości i rozbieżnymi odpowiedziami. Inaczej mówiąc, prawdopodobieństwo, że nie uda mi się zajść w ciążę, wynosi osiemdziesiąt procent. Gdyby chodziło tylko o zapłacenie klinice kwoty dziewięciu tysięcy euro, jakiej sobie życzy za *in vitro*, i późniejszy odbiór dziecka, zjawiłabym się tam w sekundę, wymachując im przed nosem książeczką czekową, bez względu na to, ile zastrzyków musiałabym zrobić i ile stresu spowodowałyby zmiany hormonalne. Ale szanse są marne, cena wysoka, a ja nie wiem, z iloma jeszcze rozczarowaniami zdołam sobie poradzić. Patrzymy na siebie z R. na korytarzu kliniki. Mówię, że możemy zebrać wystarczającą sumę na jedną procedurę zapłodnienia, i obiecuję, że na tym poprzestanę. Ale R. patrzy na mnie sceptycznie. Dobrze mnie zna. Oboje wiemy, że nie lubię przegrywać, więc jeśli *in vitro* nie zadziała za pierwszym razem, będę błagała i pożyczala pieniądze przynajmniej na jeszcze jeden cykl leczenia.

– Musimy to przedyskutować – mówi.

Łądujemy w parku po drugiej stronie ulicy, choć wygląda, jakby zbierało się na deszcz. Wszechobecna bryła szpitala jest widoczna spomiędzy drzew, więc wybieramy ławkę odwróconą tyłem do budynku. Siedzimy chwilę i czekamy, wiedząc, że słowa, które zaraz padną, będą decydujące. I odbywamy prawdopodobnie najważniejszą rozmowę naszego życia. R. stwierdza, że szanse są niewielkie, a ja przyznaję mu rację. Że cały proces wygląda na wyjątkowo nieprzyjemny, i z tym też się zgadzam. Że przez to wszystko jest nieszczęśliwy. Ja też. Ale dodaję, że to uczucie czyni mnie tym bardziej zdeterminowaną, by walczyć o lepszą przyszłość. On jednak ma wątpliwości, czy rozpoczynanie całej tej procedury w ogóle ma sens. Zwraca mi uwagę, że ostatnio się kłócimy. Przez cały czas. Otwieram usta, żeby

zaprzeczyć, ale ma rację, rzeczywiście tak jest. Mimo to mówię, że ostatecznie warto spróbować. A potem zapada cisza.

Wiedziałam, że seks na żądanie nie był dobry dla naszego życia intymnego, ale nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak bardzo się od siebie oddaliliśmy. Od miesięcy czułam się samotna i nie przyszło mi do głowy, że on może czuć to samo. Ignorowałam i odrzucałam jego obiekcje, niecierpliwiły mnie jego wątpliwości dotyczące *in vitro*. Jego sprzeciw odbierałam jako kolejny frustrujący przykład postawy „zostaw to matce naturze”. Gdy kiedyś w rozmowie zwrócił mi uwagę na to, że jestem zdrowa i że moje dobre wyniki badań to przecież pozytywna informacja, odpowiedziałam mu krótko:

– Jestem zepsuta. Popatrz na mnie. Nie-w-cięży, czyli zepsuta.

Kiedy zdecydowałam się na bolesne i inwazyjne badania, okazywałam współczucie, ale jednocześnie niechęć. Odburknełam, że przecież to ja bardziej się staram.

Oboje chcieliśmy dziecka, oboje tak bardzo się staraliśmy, poronienie złamało nam obojgu serca. A teraz oboje musimy zmierzyć się z czymś innym: z rzeczywistością i emocjami związanymi z refleksją, że być może nigdy nie zostaniemy rodzicami. Siedzimy na parkowej ławce, jestem smutna i zagubiona, ale R. bierze mnie za rękę i słucham. Słucham, gdy sugeruje, że powinniśmy pamiętać, że nie możemy sprowadzać naszego życia tylko do kwestii bezpłodności.

Moi bliscy przyjaciele, którzy próbowali *in vitro*, nie odnieśli sukcesu. Moja najlepsza przyjaciółka przeszła kilka cykli, bez powodzenia. Ona i jej mąż się teraz rozwodzą. Widziałam, jak inni znajomi przechodzą podobną udrękę. Ale znam też kobiety, którym po poronieniu udało się ponownie zająć w ciążę i urodzić zdrowe dziecko, i rodziców, których wielokrotne wizyty w klinikach leczenia niepłodności i kolejne cykle leczenia skończyły się szczęśliwie. Znamy też ludzi, którym udało się adoptować dziecko, choć był to wyczerpujący, długoletni proces. Jestem rozdarta pomiędzy uznaniem trudności, przez które musi przejść para lecząca niepłodność, a przeświadczeniem, że jeśli postaram się trochę mocniej, to zostanę mamą.

Jednak nie mogę już dłużej odpychać od siebie lęku, że dążąc do czegoś, czego mogę nigdy nie mieć, ryzykuję stratę wszystkiego, co mam teraz. Jeśli nic się nie zmieni, to może nie być ani dziecka, ani związku. Zgadzamy się przystopować. Oznacza to więcej niż rezygnację z *in vitro*. Nie „zero seksu”,

ale „zero seksu według harmonogramu”. Wracamy do normalnego życia. Jest już koniec września i postanawiamy wrócić do tej rozmowy za cztery miesiące.

I od razu wszystko się poprawia. Lepiej śpię. Jesteśmy dla siebie miłsi. Przestajemy się kłócić. Tak, jakbyśmy zostali uwolnieni. Naprawdę. To było dla mnie niesamowite odczucie i wtedy, i teraz. Przyjaciel kiedyś doradził mi, gdy patrzyliśmy, jak jego córka uczy się chodzić, żebym po prostu podjęła decyzję.

– Albo to zrób, albo nie – powiedział. – Ale nie tkwij w stanie zawieszenia, że „może” to zrobisz.

Teraz rozumiem mądrość tych słów. Podjęcie decyzji jest niezwykle upodmiotawiające. Po naszej rozmowie na ławce w parku od czasu do czasu przyłapuję R., jak patrzy na mnie, sprawdzając, czy naprawdę wszystko u mnie w porządku, czy może tylko udaję. Od tak dawna robiliśmy wszystko po mojemu, teraz próbujemy żyć według jego zasad i widzę, że bierze na siebie odpowiedzialność za moje szczęście. Ale zaprzestanie starań naprawdę jest dla mnie wyzwalające. W końcu przestałam myśleć obsesyjnie o swoim ciele. Przestałam zwracać uwagę na to, w którym dniu cyklu jestem. Przestałam zapisywać, obserwować, sikać na testy. I wreszcie rozumiem, jak bardzo opresyjne były wszystkie te czynności. Odprężam się.

Przez te wszystkie miesiące pociesza nas fakt, że druga ciąża V. przebiega naprawdę dobrze. Ryzykowną decyzję siostry i jej partnera o tak szybkim zajściu w kolejną ciążę odbieram jako akt ich czystej wiary – nie odbywa się to bez stresu, ale dziecko jest zdrowe. Moje własne myśli o dziecku wydają mi się przy tym mniej istotne. I wkrótce znów jest styczeń, pierwsza rocznica śmierci Eleny i jej pierwsze przyjęcie urodzinowe. Choć świętujemy tortem, Nowy Rok już nigdy nie będzie momentem odnowy, a jedynie przypomnieniem straty.

W połowie stycznia R. i ja spoglądamy na siebie. To długie spojrzenie, pełne różnych znaczeń, czułe i pełne wzajemnego zrozumienia. Spojrzenie, które potwierdza, że żadnego *in vitro* nie będzie.

TRUDNO ZOSTAWIĆ ZA SOBĄ to całe „staranie się”. Próbujemy stać się tacy jak kiedyś i zaakceptować myśl, że może nigdy nie będziemy mieli dziecka, zdarzają się jednak chwile, które podważają moją decyzję. Pewnego dnia postanawiam się uporać z pozostałymi testami owulacyjnymi i książkami o zapłodnieniu wciśniętymi w kąt szafy. Wyrzucenie tego wszystkiego to dla mnie jak punkt zwrotny, przeraża mnie ten stos materiałów. Nie widzę żadnych oznaczeń na opakowaniach testów, więc dzwonię do siostry z pytaniem, czy można je poddać recyklingowi. V. słyszy panikę w moim głosie.

– Och, Emilie – mówi ze współczuciem. – Po prostu wyrzucić je do kosza.

Decyzja o rezygnacji z *in vitro* nie była łatwa. Rozmawianie o płodności przypomina sytuację, gdy będąc dzieckiem (lub wykładowcą uniwersyteckim), poznajesz nowe słowo i nagle *ciagle* je gdzieś widzisz i słyszysz. Gdziekolwiek spojrzeliśmy, coś nam o tym przypominało. Gdy zdaliśmy sobie sprawę, że zajście w ciążę nie będzie łatwe, wydawało nam się, że w każdej stacji radiowej lecą spoty klinik leczenia niepłodności. Gazety krzyczały do nas całostronicowymi reklamami. Jedna z nich, z hasłem „Wszystko, co wiedziałaś o płodności, to nieprawda”, pojawia się nieprzerwanie od lat. W chwili pisania tego tekstu *wciąż* jest publikowana, a ja za każdym razem ją zgniatam, wkładając gazetę do kosza na makulaturę. Ciągłe trafiam na tę tematykę. Gdy słucham ulubionego podcastu, okazuje się, że część audycji dotyczy związków, które rozpadły się, ponieważ jedna z osób nie chciała mieć dzieci. Czytam świetną recenzję filmu, a kiedy sprawdzam, kto ją napisał, dowiaduję się, że autorka ma w dorobku książkę dotyczącą świadomej rezygnacji z posiadania dzieci.

I chociaż statystycznie jedna na sześć par ma problemy z poczęciem, wydaje się, że wszędzie wszyscy mają dzieci. Koleżanka z pracy, która non stop pracowała, bo zależało jej na rozwoju kariery, ma bliźnięta. Główna mówczyni na konferencji? Dwie książki i dwoje dzieci. Czy któraś z tych kobiet kiedykolwiek śpi? Albo może spokojnie usiąść? Dopić herbatę? Czasami wydaje się, że wszystkie wciąż konkurujemy w tej starej grze zatytułowanej „mieć wszystko”. Wszystkie oprócz mnie oczywiście. Wszędzie widzę kobiety w ciąży. Ich zdjęcia w mediach społecznościowych pokazują nie tylko brzuchy, ale także dumnie uśmiechających się partnerów i partnerki. Przeglądam kolejne profile w poszukiwaniu tego rzadkiego widoku: szczęśliwej pary bez dzieci – i zaczyna się we mnie kotłować, gdy

trafiam przypadkiem na powtórkę *Seksu w wielkim mieście* i słyszę monolog Carrie potwierdzający wartość bezdzietnego życia. Jak doszło do tego, że słucham mądrości życiowych fikcyjnej zakupoholiczki z obsesją na punkcie butów?

Inne rzeczy również się zmieniają. Młodsza koleżanka, która na pewno chce mieć dzieci, pyta mnie, czy uważam, że powinna poczekać z zajściem w ciążę do ukończenia swojej drugiej książki. Bez wahania odpowiadam:

– Nie czekaj.

Czy radzę jej, żeby odpuściła sobie pracę? Nie zareagowałam w ten sposób kilka lat temu, ale ona i jej mąż naprawdę chcą mieć dziecko.

– Masz etat, nie zastanawiaj się – mówię. – Wykorzystaj ten czas.

W rzeczywistości, patrząc wstecz na swój dorobek (kiedy z opóźnieniem ubiegam się o awans), zdaję sobie sprawę, że przez rok po poronieniu nic nie opublikowałam. Pracowałam naprawdę ciężko, założyłam sieć badawczą, występowałam na konferencjach, uczyłam studentów i oceniałam niekończące się egzaminy. Ale nie pisałam.

Co więcej, porzuciłam szkic książki, nad którą wcześniej pracowałam, i nadal do niego nie wróciłam. Ta przerwa w moim życiu, zmarnowane na starania o dziecko lata życia w moim CV pozostają niewyjaśnione. Jak można przelać na papier smutek, który zatrzymał mnie w biegu?

Jest mi trudno, gdy ludzie – jak to mają w zwyczaju – pytają, czy mam dzieci. Chcą dobrze, choć to okropne pytania dla kobiety przed czterdziestką. Tak naprawdę nie istnieje łatwa odpowiedź. Czasami mam ochotę się rozejrzeć i zripostować: „O tak, *wiedziałam*, że o czymś zapomniałam!”. Ale nie mogę zmusić się do tak nieszczerych żartów. Któregoś wieczoru wychodzę z koleżanką, która po zbyt wielu kieliszkach wina poważnie informuje mnie, że to moja wina, że jestem bezdzietna, bo nie powinnam była tak długo czekać. Ta uwaga mnie rozwała. Nie wiem, co odpowiedzieć. Biorę płaszcz i wracam do domu.

W TRZYDZIESTYM SIÓDMYM TYGODNIU moja siostra zaczyna rodzić. Odwiedzam ją w szpitalu z pączkami i zabawnymi opowiastkami. Przygotowano monitor akcji serca dla dziecka – uważnie go obserwujemy,

ale tym razem jest zupełnie inaczej. Mimo to V. i jej partner są roztrzęsieni, zwłaszcza że poród trwa już drugi dzień. Wreszcie późno, o drugiej w nocy, rodzi się mój siostrzeniec. Jestem w domu – czekam i nie śpię, zirytowana, że nie mogę być z siostrą podczas porodu – kiedy dostaję wiadomość od jej partnera. To zdjęcie noworodka: z pomarszczoną buzią i zaciśniętymi piąstkami, zupełnie innymi, ale i bardzo podobnymi do tych jego siostry.

Rano w rejestracji próbują mi powiedzieć, że odwiedziny jeszcze się nie rozpoczęły. Przemykam obok. W tym momencie nie obowiązują mnie żadne zasady – nic nie powstrzyma mnie przed zobaczeniem siostry i siostrzeńca. Leżą w pokoju na końcu korytarza. Wchodzę i widzę, że V. ma się dobrze, uśmiecha się i trzyma na rękach synka. Podaje mi go, wiercące się, ciepłe zawiniątko. Witaj na świecie, malutki.

NIGDY NIE BĘDĘ MIAŁA DZIECKA. Gnębi mnie ten fakt. Jestem w żałobie. Ale jednocześnie jestem szczęśliwa.

Ciągle dręczy mnie refleksja, że nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego nie mogę zajść w ciążę. Mimo wszystkich badań i testów – moich i lekarzy – nadal nie wiem, co jest „nie tak” z moim ciałem. Jaka jest przyczyna? Kiedy zastanawiam się nad tym pytaniem i rozważam ostatnie miesiące i lata, nasze próby, nasze niepowodzenia, nasze wizyty, późniejsze kontrole i tak dalej, pojawia się pewien schemat. Schemat, w którym nie jestem traktowana poważnie albo oboje nie jesteśmy traktowani poważnie. Lub może niewystarczająco poważnie.

Czuję się oszukana. Nie tylko dlatego, że nie mogę mieć dziecka, choć to chyba wystarczający powód, ale z powodu tych tygodni, kiedy odmówiono mi prawa do informacji o płodzie. I dlatego, że po poronieniu raz po raz spotykałam się z postawą, że jako kobieta jestem osobą, która czuje, a nie która myśli. Uznano, że nie powinnam mieć dostępu do informacji, nie powinnam mieć prawa do kontroli nad własnym ciałem.

Są dni, kiedy wydaje mi się, że mogłam – że powinnam była – starać się wywalczyć tę kontrolę. Powinnam była stosować dietę bezglutenową i beznabiałową, częściej chodzić na akupunkturę, udać się do więcej niż jednej kliniki leczenia niepłodności. Chociaż w głębi duszy wiem, że

zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, to wciąż znajduję sposoby, aby katować się tym wyrzutem. Nigdy nie myślałam, że to powiem – bo byłam przekonana, że to wierutna bzdura – ale zaakceptowałam swoją fizyczną niezdolność do urodzenia dziecka. A wcale nie jestem osobą, której akceptacja przychodzi łatwo (i tak naprawdę nawet nie lubię osób, które takie są). Być może pełne pogodzenie się z tym faktem jest jeszcze przede mną, bo kiedy widzę, jak mój partner bierze na ręce czyjeś dziecko, a właściwie kiedy widzę jakiegokolwiek mężczyznę z jakimkolwiek dzieckiem, uderza mnie świadomość, że wciąż jestem w żałobie po życiu, jakie mogłam wieść jako matka. Ale prawda, którą *zaakceptowałam*, jest następująca: mogę próbować zajść w ciążę, mogę co miesiąc ponosić porażkę i mogę być nieszczęśliwa. Albo mogę nie próbować i nie ponosić comiesięcznej porażki. Całkowita liczba moich dzieci pozostaje niezmienna w obu tych przypadkach – duże, pełne zero. Ale wynik jest zupełnie inny. Wybieram bycie szczęśliwą. To szczęście nie jest doskonałe ani bezbolesne. Niesie w sobie żal. Ale dzięki temu jest silniejsze.

I w końcu, hurra, czterdziestka! Od dawna powtarzałam sobie, że to będzie ten wiek, kiedy przestanę próbować. Oczywiście mówiłam to sobie jako porywczą trzydziestopięciolatka, kiedy czterdzieste urodziny wydawały mi się jeszcze bardzo odległe – wyobrażałam sobie wtedy, że nie jedno, ale dwoje dzieci wypełnią mi te lata. Wiem, że są mamy, które w wieku czterdziestu lat dopiero zaczynają swoje starania, i życzę im powodzenia, radości i dziecka, które lubi spać. Ale ja już kończę i odczuwam z tego powodu niemałą ulgę. Na tym etapie życia, po tych wszystkich wzlotach i upadkach, czterdziestka wydaje mi się pozytywną granicą. Mogę pozwolić sobie na bycie kimś innym. Kimś innym niż matką. Kimś innym niż kobietą maniakalnie obserwującą śluz szyjki macicy.

Ostatnio jednym z najfajniejszych momentów w moim tygodniu są czwartkowe popołudnia, kiedy odbieram siostrzeńca ze żłobka. Śmieje się, bawi, krzyczy i odpycha butelkę, ale zjada mus owocowy. Uwielbia książki (przeważnie je przeżuwa) oraz wszystko, co błyszczące, za to nienawidzi nosić skarpetek. Właśnie nauczył się machać. Za pierwszym razem, gdy mi pomachał, poczułam, jak rozpiera mnie nagła radość. Wbrew pozorom jestem matczyzna i pełna ciepła. Uśmiecham się do niego i macham, on też się uśmiecha i macha. I to jest właśnie to. Miłość.

PEWNEGO DNIA W ZESZŁYM ROKU po powrocie z pracy zastałam R. grabiącego liście w ogrodzie. Kiedy się uśmiechnął, zauważyłam w jasnym, jesiennym świetle nowe srebrne pasma na jego skroniach. I dotarło do mnie. Razem się starzejemy. Tak właśnie będzie – będziemy obserwować siebie nawzajem i nasze starzejące się partnerstwo. Ten nieoczekiwany moment uszczęśliwił mnie bardziej, niż mogłabym sobie wyobrazić. Widzę przed nami życie, wspólne życie. Wspaniałe życie.

Trudno przelać na papier słowa opisujące wielką miłość i wspaniałe życie. Brzmiały tak prozaicznie – grabienie liści, porozumiewawcze uśmiechy – ale to właśnie w codziennych chwilach ujawnia się wytrwałość i głębia miłości. Chociaż nie mamy szczęścia posiadać biologicznych dzieci, jest wiele sposobów na prowadzenie życia pełnego dzieci. Okazuje się też, że jest wiele sposobów na cieszenie się życiem *bez* dzieci. To ostatnia ważna zmiana mojej perspektywy. Koniec z ocenianiem siebie przez pryzmat braku. Koniec z używaniem słowa „porażka” w odniesieniu do mojego ciała. Koniec z przeżywaniem i opisywaniem tej historii.

To ten moment, w którym możemy się rozejrzeć, złapać równowagę i cieszyć się widokiem z miejsca, w którym się znaleźliśmy.



O mówieniu i milczeniu

MOI RODZICE ROZESZLI SIĘ, kiedy miałam pięć lat, a moja siostra była jeszcze niemowlęciem.

Pamiętam ich przed rozstaniem. Pamiętam ich jako szczęśliwą parę. Pamiętam rodzinne urodziny, śmiech i zdmuchiwanie świeczek. Przytulających się rodziców. Zabawę w chowanego w zarośniętym ogrodzie. Pamiętam, jak wspierałam się na rusztowanie z tyłu domu i utknęłam na górze, wołałam o pomoc – oboje przybiegli i sprowadzili mnie na dół. Pamiętam, jak przez dach przeciekał deszcz – uważałam wtedy, że szukanie wiader do łapania wody to fajna przygoda. Pamiętam, jak urodziła się moja siostra, pojawiające się w domu nowe zabawki – dla niej, a nie dla mnie. Pamiętam, jak mama złamała nadgarstek, kiedy poślizgnęła się na lodzie. I jak tata spał w drugim pokoju. Była zima i przygotował dla mnie termofor, a kiedy powiedziałam, że go nie chcę, rzucił nim we mnie; termofor pękł, uderzając o ścianę. Pamiętam, jak rodzice powiedzieli mi, że się rozstają. Ucieszyłam się i stwierdziłam, że teraz przestanę się kłócić.

Pamiętam przeprowadzkę. Mama rozpakowała nasze rzeczy w sypialni na piętrze, ponieważ był to jedyny pokój, w którym była podłoga. Padało, spałyśmy razem w jednym łóżku, żeby było cieplej. Pamiętam kaszel mojej siostry, który trwał kilka miesięcy, i że ściany zawsze były wilgotne. Pamiętam miłego mężczyznę z miejscowego sklepu, który pozwalał nam brać chleb i mleko na kredyt, do wypłaty. Pamiętam słoneczne popołudnia i imprezy z malowaniem ścian oraz dzień, w którym mama powiesiła huśtawkę w ogrodzie. I jak odwiedzałam tatę w weekendowe popołudnia. Robił nam tosty w tosterze, który działał tylko wtedy, gdy się na nim stało; kanapki były gotowe, gdy sprzęt zaczynał parzyć stopy. Pamiętam, kiedy zabrano mu dom, bo nie płacił rachunków, i kiedy później nie miał domu. Gdy odwiedzałam z mamą ich wspólnych przyjaciół, widziałam u nich meble mojego taty. Pamiętam, jak wskazałam na stół i powiedziałam:

– To nasz!

Pamiętam, że kiedy zapytałam mamę, dlaczego stoją tam rzeczy taty, ze zdenerwowania nie mogła mówić i wróciłyśmy do domu.

To mama wszędzie nas woziła. Do szkoły. Do supermarketu. Do parku. W weekendy zawoziła nas do taty. Zawiozła nas do niego w odwiedziny, kiedy był w szpitalu. Szpital znajdował się daleko od centrum miasta,

podczas jazdy śpiewaliśmy, słuchając naszej ulubionej kasy. Gdy wysiadaliśmy z samochodu, mama ostrzegła nas, że tata może nie być w dobrym humorze. Nie zrozumiałam wtedy, co miała na myśli, mówiąc, że go „suszy”. Podarowałam tacie plakat z mojej sypialni z napisem „*Don't Worry, Be Happy*”. W latach po rozstaniu żadne z moich rodziców nie wydawało się szczęśliwe.

A jak oni wspominają tamten czas? Jakie doświadczenia szczególnie wbiły im się w pamięć? Jak moja mama radziła sobie z wychowaniem dwojga małych dzieci w zawilgoconym domu bez ogrzewania i bez pieniędzy? Jak mój tata wypełnił przestrzeń pozostałą po swojej rodzinie? Jak to było mieć męża, żonę, małżeństwo, a potem ich nie mieć? Jak to było leżeć obok kogoś, a potem przestać? Jak to było być we dwoje, a potem się rozstać? Nie być nawet jednostką, ale jedną połową zepsutej pary?

WIĘKSZOŚĆ INNYCH RODZIN nie wyglądała tak jak nasza. W tamtych czasach ludzie trwali w związkach dla dobra dzieci, dla dobra rodziny, dla dobra instytucji małżeństwa. Kiedy moi rodzice – we właściwy im, dziwaczny sposób – urządzili imprezę „rozwodową”, aby ogłosić swoje rozstanie, jeden z ich przyjaciół ukląkł na podłodze w korytarzu, błagając ich, by ratowali swój związek. W tamtych czasach para, nawet jeśli się rozstawała, to i tak nadal była ze sobą związana, wciąż była małżeństwem. Nie było innego wyboru, ponieważ Irlandia miała konstytucyjnie zapisany zakaz rozwodów.

Mniej więcej rok po rozstaniu rodziców, kiedy moja nauczycielka rozdawała pod koniec semestru nasze sprawozdania szkolne – brązową kopertę dla każdego ucznia – mnie pominęła. Poprosiła, żebym została po lekcji. Kiedy inne dzieci wyszły z sali w hałaśliwym pośpiechu, podeszłam do jej biurka, przerażona, że zrobiłam coś złego. Nauczycielka wręczyła mi dwie brązowe koperty, po jednej dla każdego rodzica. Być może myślała, że wstyd mi będzie przyjąć je na oczach reszty uczniów i uczennic. Wszyscy jednak i tak czekali pod drzwiami, dopytując mnie, dlaczego musiałam zostać.

Próbowałam nadrabiać fakt bycia „tą dziwną” przez opowiadanie różnych historyjek. Nie zdawałam sobie sprawy, że powinny być prawdziwe; myślałam, że po prostu muszą być fajne. Opowiadałam więc przeróżne rzeczy dzieciom w klasie. Że umiem oddychać pod wodą jak syrena. Że któregoś weekendu miałam przeszczep nerki. Że ślimaki na szkolnym podwórku są trujące i zostały podrzucone tam przez szpiegów, którzy chcą zabijać dzieci. Moja publiczność słuchała, a potem się śmiała, nazywając mnie kłamczuchą. Stałam się podejrzana. Pewnego sobotniego popołudnia siedziałam w kuchni, kiedy zadzwonił telefon. Odebrałam i usłyszałam jedynie chichot. To dziewczyny z mojej klasy dzwoniły, żeby mi powiedzieć, że urządzają przyjęcie, na które nie zostałam zaproszona.

Po rozstaniu moi rodzice początkowo regularnie się widywali i mieli w miarę przyzwoite relacje. Ale w pewnym momencie, pod koniec pierwszego roku od rozstania, przestali się do siebie odzywać. Właściwie to tata przestał się odzywać do mamy. I tak mama, nie mając wyboru, też przestała się odzywać do niego.

Jak to jest, gdy twoi rodzice ze sobą nie rozmawiają? Nie chodzi o przelotny moment złego humoru i *chwilowy* brak komunikacji, tylko kiedy w ogóle przestają ze sobą rozmawiać. Jak to jest?

Stajesz się wtedy ich pośrednikiem. Kiedy chcesz zobaczyć się z tatą, musisz ustalić datę, miejsce i czas odwiedzin. Kiedy twój tata daje ci list dla „tej suki”, musisz go przekazać mamie. Kiedy mama bierze list i płacze, masz do siebie pretensje. Kiedy robisz coś złego, a mama mówi ci swoim najpodlejszym głosem, że jesteś taka jak ojciec, znów się obwiniasz. Kiedy twój tata znajduje sobie dziewczynę i odwołuje spotkanie z tobą, jesteś zdezorientowana. Kiedy mówi ci, że nudzą go dzieci, i każe ci iść do diabła, gubisz się jeszcze bardziej. Kiedy czasami to nie twój tata, ale twoja mama jest pijana i nie może odwieźć cię do domu, dać ci obiadu ani położyć cię do łóżka, twój świat zaczyna się rozpadać, ponieważ to ona jest jedyną osobą, która trzyma go w kupie. Tak to właśnie jest.

Bywają też sytuacje jak ta: masz dziesięć lat, mama jest na imprezie. Dzwoni telefon, to tata. Mówi, że zabije się tej nocy, na co reagujesz słowami: „Ale ja cię kocham, tato”. Odpowiada, że wie, że jesteś jedyną osobą, która go kocha, a potem się rozłącza. A ty siedzisz, trzymając w ręku

telefon, bo nie wiesz, czy naprawdę chce to zrobić; nie wiesz, czego od ciebie oczekuje, ale wiesz, że o coś prosi; boisz się, że jeśli nie znajdziesz odpowiedzi, to już nigdy więcej go nie zobaczysz. A potem odkładasz słuchawkę, bo nawet nie wiesz, gdzie tata mieszka, nie znasz jego numeru telefonu i masz dopiero dziesięć lat. Wracasz więc do łóżka i płaczesz, aż uśniesz. Następnego dnia znajdujesz jego numer do pracy i dzwonicz, on odbiera i żyje, ale teraz na ciebie krzyczy, że mu przeszkadzasz. Więc nie mówisz nic o poprzedniej nocy, nie mówisz swojej mamie i nigdy nikomu nic nie mówisz, ponieważ nie da się opowiedzieć tej historii w taki sposób, żeby była fajna.

Niedawno w pudełku ze starymi zdjęciami znalazłam pocztówkę ode mnie do mamy. Jest napisana moim dużym, ostrożnym, dziecięcym pismem, chociaż adres został w pośpiechu nabazgrany przez ojca. „Droga mamusiu, pogoda jest całkiem dobra. Jak się masz. Mam nadzieję, że masz się dobrze. czy wiedziałaś, że wracam do domu w poniedziałek 5 sierpnia piszę tylko po to, by upewnić się, że wiesz. kocham cię, Emily”. Kartka jest trwałym dowodem na to, że dorastałyśmy w czasach sprzed telefonów komórkowych, a nawet zanim jeszcze każdy dom wyposażono w telefon stacjonarny. Cały czas dziwi mnie jednak, że tata poprosił swoją córkę o napisanie kartki, aby potwierdzić datę, kiedy może nas oddać. Jest jeszcze tyle innych rzeczy, o których moja kartka nie mówi wprost. Powyżej adresu mamy tata, poza nazwiskiem, naskrobał tylko inicjał jej imienia, tak jakby nie mógł się zmusić do napisania go w pełnym brzmieniu. W swojej wiadomości do mamy nie skomentowałam zdjęcia na pocztówce – zagubionej we mgle żagłówki – choć zdaje się ono mówić wzruszająco wiele. I nie napisałam: „Szkoda, że cię tu nie ma”. Ale patrząc teraz na tę kartkę, widzę, że to właśnie przedstawia.

KIEDY MIAŁAM OSIEMNAŚCIE LAT, podczas mojego pierwszego semestru na uniwersytecie, w kraju odbyło się referendum w sprawie prawnego dopuszczenia rozwodów. Jedno ze stowarzyszeń uniwersyteckich zorganizowało debatę pod tytułem: „Ten rząd przyzna prawo do rozwodu w Irlandii”. Poszłam posłuchać, myśląc, że się czegoś nauczę.

Debata przypominała spektakl teatralny – wymiana zdań była tak przewidywalna, jak gdyby została wyreżyserowana. Argumentacja była rzetelna i dobrze przygotowana, ale słyszałam to wszystko już wcześniej i nic mnie nie poruszyło. A kiedy spojrzałam na pełną listę uczestników debaty, zrozumiałam dlaczego. Żadna z tych osób nie reprezentowała mojego doświadczenia, ani jedna z nich nie powiedziała: „Sama przez to przechodziłam. Opowiem wam, jak to naprawdę wygląda”. Zamiast prawdy dostałam tylko hipotetyczne rozważania. Nie wiedzieli tego, o czym ja wiedziałam. Albo wiedzieli, ale uznali, że nie warto o tym mówić. W całym tym głędzeniu o świętości węzłów małżeńskich nikt nie wymienił prawdziwego niebezpieczeństwa: stanu zawieszenia i nieistnienia.

Kres małżeństwa moich rodziców – poza umową o separacji, w ramach której mieli współdzielić się opieką nad dziećmi – był kompletnie nieuregulowany z prawnego punktu widzenia. Nasza rodzina nie istniała. A ponieważ nie istniałyśmy, nie mogłyśmy zostać otoczone ochroną. W rzeczywistości oznaczało to, że mojego ojca nie można było zmusić do regularnego płacenia alimentów. Były wprawdzie jakieś okazjonalne czeki, ale generalnie tydzień po tygodniu nasza mama utrzymywała cały dom wyłącznie z tego, co sama zarobiła. To, co matka wydawała na wychowanie dwojga dzieci, ojciec wydawał na picie.

Jako dziecko raz po raz poważnym tonem opowiadałam historie o moich rodzicach zarówno samej sobie, jak i każdemu innemu, kto chciał posłuchać – był to mój sposób na oddalenie groźby nieistnienia. Opowiadałam te historie głośno i natarczywie, ponieważ czułam, nawet mając pięć lat, że świat wolałby, abym milczała, skoro nasza rodzina nie nadaje się na temat opowieści. Ale już gdy je opowiadałam, wiedziałam, że to za mało. Bo opowieści nie zmuszą twoich rodziców do rozmowy. Ani nie uchronią cię od szkolnych szykan. Nie usuną wilgoci ze ścian czy chłodu ani nie zapełnią lodówki jedzeniem.

To było pierwsze referendum, w jakim głosowałam. Jako studentka miałam mnóstwo wolnego czasu, więc zarezerwowałam sobie na oddanie głosu cały dzień. Przejście do lokalu wyborczego zajęło mi jednak jedynie piętnaście minut, a umieszczenie krzyżyka obok „Tak”, złożenie karty do głosowania i wrzucenie jej do urny tylko kilka więcej. Wyszłam na ulicę, niepewna, co

dalej ze sobą zrobić. Obsadzona drzewami ulica była spokojna. Wydawało się, że nikt jeszcze nie wie, jaka zaszła zmiana. Drżałam, ale świat był nieruchomy.

Z jakiegoś powodu następnej nocy byłam w domu mojego taty, obserwując wyniki referendum z nim i jego dziewczyną (oboje byli po ślubie, z innymi osobami, oczywiście). Tacie wcześniej urwał się film, ale jego dziewczyna i ja twardo siedziałyśmy przed telewizorem, śledząc każdy niuans relacji, mimo wlewanego w siebie alkoholu wciąż trzeźwe dzięki adrenalinie. Kiedy okazało się, że ponowne przeliczenie głosów, zarządzane na żądanie strony konserwatywnej, zwiększyło przewagę głosujących za legalizacją rozwodów, zawyłyśmy z radości. Zwykle nie byłyśmy sojuszniczkami – wręcz przeciwnie – ale tej nocy obie zobaczyłyśmy szansę na odmianę naszego życia.

Za legalizacją rozwodów opowiedziało się 50,28 procent głosujących. Przy frekwencji wynoszącej 62,15 procent oznaczało to, że o wyniku referendum przesądziło 9114 głosów. To było trudne, minimalne zwycięstwo. Pierwszy rozwód w Irlandii został orzeczony 17 stycznia 1997 roku. Nowe przepisy przewidywały, że trzeba być w separacji przez trzy lata, zanim można złożyć do sądu wniosek o formalny rozwód. Moi rodzice byli w separacji od 1982 roku. Piętnaście lat. Według nowych przepisów mogliby się w tym czasie rozwieść pięć razy.

Pamiętam, jak któregoś popołudnia tej wiosny zatrzymałam się w centrum Dublina. Miałam dwadzieścia lat. Stałam pośrodku ruchliwego chodnika, ludzie przepychali się obok mnie, a ja gapiłam się na reklamę w witrynie biura podróży: „Pakiet wakacyjny: 1 rodzic + 2 dzieci”. To niedorzeczne, ale naprawdę mnie to poruszyło – zwykła reklama słonecznych wakacji. Po raz pierwszy zobaczyłam swoją rodzinę przedstawioną w sferze publicznej. Jeden rodzic plus dwoje dzieci. To my. Istniałyśmy.

KIEDY MIAŁAM JAKIEŚ DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT, zaczęłam się spotykać z tatą raz w tygodniu na popołudniowe piwo. Za każdym razem widywaliśmy się w tym samym pubie, siadaliśmy w tym samym miejscu przy barze, wymienialiśmy te same słowa z barmanem, a często i ze sobą nawzajem.

Siedząc na stołku barowym obok taty, miałam dziwne poczucie, że jestem zarówno dorosłym, jak i dzieckiem. Choć potrafił być kapryśny i powściągliwy, zwykle znajdowałam sposób, aby wyciągnąć go z jego skorupy, opowiadając naszym wspólnym językiem o książkach czy sztukach. Pewnego popołudnia tata zapytał mnie drżącym głosem, czy poprosiłabym mamę o rozwód.

Wciąż będąc ich pośredniczką, czekałam do weekendu, aby wspomnieć o tym mamie. Zagaiłam, że tata ma do niej poważne pytanie. Nie było łatwo spytać, czy zgodzi się na rozwód. Mama robiła akurat herbatę i zastygła z czajnikiem w ręku uniesionym nad imbrykiem. Moja siostra, towarzysząca nam przy stole, też zamarła. Potem obie zaczęły się śmiać. Dołączyłam do nich po krótkiej chwili. Co za absurdalna sytuacja. Że zostałam wybrana do przekazania tego pytania, że po dwóch dekadach separacji ojcu wydawało się, że musi matkę prosić o zgodę, a przede wszystkim, że naprawdę pomyślał, że mogłaby powiedzieć „nie”. Mama zrobiła poważną minę i grobowym głosem odrzekła:

– Przekaż ojcu, że wciąż mam nadzieję na pojednanie.

Tak się śmiałyśmy, że zgięłam się wpół z bólu. W następnym tygodniu spotkałam się z tatą. Przekazałam mu informację, że mama się zgadza.

– Och – powiedział.

I co dalej?

Nic.

Tata chciał się rozwieść, bo zamierzał ponownie się ożenić. Ale okazało się, że nowe małżeństwo było tylko jego pobożnym życzeniem. Rozstał się ze swoją dziewczyną wkrótce potem. Nikt z nas nie powinien być zaskoczony. Tata spędzał miesiące, żyjąc sam, najpierw na zachodzie Irlandii, a potem w Grecji. Po zerwaniu zaręczyn przeprowadził się na stałe do Grecji. Zdaje się, że wszyscy jakoś zapomnieli o rozwodzie. Być może trudno jest pamiętać, że jest się po ślubie, gdy mieszka się w różnych krajach.

Kilka lat temu radca prawny mojej mamy wystraszył się, że ojciec może nadal mieć prawo dochodzenia roszczeń do jej nieruchomości. Na mnie spadło zadanie poproszenia ojca o podpisanie nowej umowy o separacji. Zgodził się, ale poprosił mnie, żebym poszła z nim do kancelarii, dla wsparcia psychicznego. Gdy składał podpis pożyczonym długopisem, radca spojrzał na mnie i zapytał:

– Dlaczego oni nie mogą się po prostu rozwieść jak normalni ludzie?



Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego moi rodzice się nie rozwiedli. Wątpię, by była jedna konkretna przyczyna, podobnie jak nie było jednego powodu, dla którego ich małżeństwo się rozpadło. Kiedy piszę ten tekst, moi rodzice nadal są małżeństwem. Teraz kwalifikują się już do dwunastu rozwodów.

HISTORIA MOICH RODZICÓW zmieniła się w styczniu 2013 roku, kiedy to znów zaczęli ze sobą rozmawiać. Milczenie ostatecznie zakończyła żałoba. Żałoba, która ogarnęła nas wszystkich po śmierci córeczki mojej siostry. Tata przyleciał do Irlandii na pogrzeb. Powiedziałam mu, że jeśli chce wziąć udział w stypie, to będzie musiał uszanować obecność mojej matki i porozmawiać z nią. I że będzie musiał być miły. Odpowiedział:

– Wiesz, Emilie, częściowo jestem przecież człowiekiem.

Martwiłam się, że spotkanie moich rodziców w dniu samego pogrzebu będzie zarówno stresujące, jak i rozprasające, więc razem z siostrą zaaranżowałyśmy „próbę” poprzedniego wieczoru w holu hotelu taty. To było krótkie spotkanie. Tata wbił wzrok w ziemię, gdy mama wyciągnęła rękę, by uścisnąć mu dłoń. Moja siostra przewróciła oczami, gdy tata z opóźnieniem ujął dłoń mamy i powiedział:

– Miło cię poznać.

To było jednocześnie niesamowicie śmieszne i zupełnie nieśmieszne. Już po wszystkim odprowadziłam mamę do jej samochodu. Była zszokowana tym, jak bardzo ojciec się zmienił. Powiedziała, że nie poznała jego głosu, ale z drugiej strony minęło już tyle czasu, odkąd go ostatni raz słyszała. Później tego wieczoru moja siostra wspomniała mi, że gdy mama i ja wyszliśmy z holu, tata zwrócił się do niej z pytaniem:

– Jesteś pewna, że to była twoja matka?

Następnego dnia w domu mojej siostry rodzice usiedli i zaczęli ze sobą rozmawiać. Myślę, że się nawzajem pocieszali. W końcu oboje byli już nie tylko rodzicami, ale i dziadkami. Ich widok – rozmawiających ze sobą po tylu latach – był dla mnie zaskakujący, ale dla mojej siostry okazał się wręcz szokujący. Patrzyłam, jak ich obserwuje. Kiedy się rozeszli, była niemowlakiem. Teraz była matką, która na stypie swojej córki widzi po raz

pierwszy w życiu, jak jej rodzice ze sobą rozmawiają. Później zapytałam mamę, o czym tyle mówili. Powiedziała, że tata opowiadał jej o swojej niewydolności wątroby i refleksjach związanych z abstynencją. Wspominała, że rozmawiali też o śmierci wspólnego przyjaciela. A potem stwierdziła, że ten dzień i dziesięciolecia spędzone osobno pozwoliły jej w końcu porozmawiać z nim o poronieniu, którego sami doświadczyli. Nie mogłam uwierzyć, że nigdy o tym nie rozmawiali. W tym momencie zdałam sobie sprawę, jak wielkie pokłady ciszy zalegały w ich małżeństwie, i to nie tylko na samym jego końcu.

Moi rodzice przerwali milczenie z powodu tragedii rodzinnej. Trzeba przyznać, że od tamtej pory komunikują się ze sobą normalnie. Rozmawiają regularnie przez telefon i wymieniają mejle, a nawet spotykają się na kawę podczas wizyt taty w Irlandii. To dobra wiadomość, dobra dla nas wszystkich – zarówno ich rozmowy i esemesy, jak i fakt, że umieją przebywać ze sobą w tym samym pomieszczeniu. Wszystko jest dzięki temu o wiele łatwiejsze, choć ciągle wcale nie takie różowe. Czasami mama dzwoni do mnie i opowiada o denerwującej rzeczy, którą mój ojciec ostatnio zrobił lub powiedział. Powtarza wyrażenie „twój ojciec”, wymieniając jego wady.

– To twój mąż – przypominam jej w złości.

Zaskakuje mnie mój gniew spowodowany koniecznością uczenia się nowego rodzicielskiego *status quo* i reagowania na niego. Uświadamiam sobie, że nigdy nie spodziewałam się, że znów będą się do siebie odzywać, a więc nie spodziewałam się, że będę musiała z tą nową sytuacją jakoś sobie emocjonalnie poradzić. Wydaje się, że emocje się mnożą. Jestem zaskoczona. Jestem pełna nadziei. Odczuwam ulgę. Jestem skołowana. Jestem urażona. Jestem zła. I jestem, nieoczekiwanie, *zdumiona*. Jak to możliwe, że te wszystkie lata milczenia tak po prostu dobiegły końca? Jak to się stało, że cała ta krzywda, ból i zgorzknienie tak po prostu się rozplynęły? Dlaczego tak długo musiałyśmy znosić tę złość? I jak to jest, że nikt nigdy nie przeprosił mnie ani mojej siostry? Historia mogła się zmienić, ale część mnie nadal ma pięć lat.

Wstyd mi to przyznać temu dziecku, które tkwi we mnie. Czuję się jak maluch, który wpada w furję, tupie nogą i żąda, by rodzice zwrócili na niego uwagę. Jest mi szczególnie głupio, kiedy rozglądam się wokół i zdaję sobie sprawę, że inni ludzie nie wydają się obciążeni swoim dzieciństwem aż tak

jak ja. Teraz rozwiedzeni rodzice to coś normalnego i wydaje się przesadą określenie rozstania moich rodziców jako wyjątkowo problematycznego. Nie potrafię wskazać jakiejś swojej szczególnej traumy, mogę jedynie przypuszczać, że odczuwałam – i nadal odczuwam – drobne bóle dzieciństwa bardziej, niż powinnam.

KIEDY W WIEKU DWUDZIESTU LAT WYPROWADZIŁAM SIĘ Z DOMU, poczułam, że zaczyna się zarazem moje nowe życie i nowa rozłąka. Na kuchennych półkach w mieszkaniu studenckim postawiłam dwa garnki i jedną patelnię. Ustawiłam dwa talerze i dwie miski. Rozłożyłam cztery widelce, dwa noże i cztery łyżki. Deska do krojenia i dwa kubki wieńczyły ten zestaw. Spojrzałam na wszystkie te rzeczy i poczułam się jednocześnie gotowa, jak i całkowicie nieprzygotowana na to, co będzie dalej. Życie bez rodziców. Pragnęłam tego życia, ale także się go bałam. Chciałam uwolnić się od nich, chociaż przytłaczało mnie to pragnienie, jego kształt i skala. Kim tak naprawdę byłam bez granic ustanowionych przez moją rodzinę? Jakie historie będę teraz opowiadać?

Moi rodzice rozeszli się, kiedy miałam pięć lat, a moja siostra była jeszcze niemowlęciem. Chociaż problemy dzieciństwa dawno pozostawiłam za sobą, to wciąż zastanawiam się nad sytuacjami z tamtych lat, mając nadzieję, że mogą wyjaśnić mi niepokojące pozostałości tak wielu odczuć, myśli i działań. Moi rodzice nie odzywali się do siebie. Ojciec cierpiał na depresję. Byłam samotnym dzieckiem. Te fakty i wszystkie towarzyszące im wydarzenia krążą w mojej głowie. Zapisuję je. Być może zapisane w jednym miejscu staną się mniej przytłaczające.

Kiedy z dystansem patrzę na to, co napisałam o sobie i swojej rodzinie – tej rodzinie, naszej rodzinie – widzę, że ostatecznie zawsze będzie to historia zarówno skomplikowana, jak i prosta. W tej historii, której nigdy nie przestanę opowiadać, próbuję sobie przypomnieć, co czułam jako dziecko, co robiłam i co mogłam zrobić inaczej. Próbuję sobie wyobrazić, co czuli moi rodzice, co robili i co mogli zrobić inaczej. Pamiętam nas szczęśliwych i pamiętam nas smutnych. Pamiętam nas osobno i pamiętam nas razem.

Pamiętam wszystko i pamiętam tylko fragmenty całości, która zawsze będzie dla mnie niedostępna.

O krwawieniu i innych zbrodniach

JAK WIADOMO, TAJEMNICĄ DOBREJ LITERATURY jest „przelewanie własnej krwi na papier”. Wyobrażam sobie pisarza, który ukuł to powiedzenie, siedzącego przy maszynie do pisania, przed nim pusty arkusz. Jakiego rodzaju krew sobie wyobrażał? Krew z żyły w swoim ramieniu? A może płynącą z tętnicy w nodze, z rany na głowie? Raczej nie chodziło mu o krew z szyjki macicy. Mam tak dużo tej krwi: krwi menstruacyjnej, krwi z okresu ciąży, krwi z poronienia, krwi z czasu, gdy znowu-nie-byłam-w-cięży, krwi z okresu okołomenopauzalnego. Po prostu ciągle się pojawia, ciągle płynie i ciągle muszę sobie z nią radzić. Wciskam do pochwy chemicznie wybielaną bawełnę, aby zatamować jej przepływ, zabezpieczam bieliznę, zakładam na noc podpaski ze „skrzydełkami” z nadzieją, że nie przeciekną na prześcieradło jakiegoś mężczyzny ani nie wyrwą mi zbyt wielu włosów łonowych swoimi „wyjątkowo bezpiecznymi” samoprzylepnymi paskami. Zakładam te niekochane, brzydkie majtki „okresowe”, raz na miesiąc wygrzebywane z czeluści szuflady. Jak się okazuje, niepotrzebnie się męczyłam – wystarczyło siedzieć przy biurku i przelewać tę krew na strony notatnika, wypełniać szokującą czerwienią ich biel.

SWOJEJ PIERWSZEJ MIESIĄCZKI dostałam w szkole. Byłam przerażona. Kiedy wstałam na przerwę po skończonej lekcji geografii, kolega nachylił się do mnie i powiedział mi, że tył mojej sukienki jest mokry. Spojrzałam na niego zaskoczona, przekonana, że żartuje. Ale kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, że miał rację – na mojej spódnicy widniała ciemna plama, a na plastikowym krześle mała kałuża. Koledzy i koleżanki z klasy, widząc moje zawstydzenie, cofnęli się w milczeniu, żeby mnie przepuścić. Siedziałam zgarbiona i rozżalona w dziewczęcej toalecie, zwijając papier toaletowy, by zabezpieczyć się na resztę dnia. Nie chciałam tego wszystkiego, tej krwi. Po powrocie do domu wyprałam majtki w umywalce, zawiesiłam do

wyschnięcia z tyłu szafki z bojlerem i miałam nadzieję, że nikt nie zauważy. Nie mogąc zmusić się do wzbudzającej grozę rozmowy z matką *o stawaniu się kobietą*, ukradłam ze sklepu tampony. Czułam palący ból, kiedy wkładałam jeden z nich do środka, całe moje ciało napięło się w sprzeczności wobec tego działania, starałam się jednak nie rozplakać. Wytrzymaj, włóż, załóż wkładkę. W wieku dwunastu lat poczułam, że mam przed sobą całe życie krwawienia. I czułam, że moje ciało mnie zawiodło.

Nigdy zbyt nie zauważałam upływu czasu. Były chwile, że zapominałam nawet, jaki jest dzień tygodnia, ale od teraz uruchomił się we mnie wewnętrzny kalendarz, jakiego nie mogłam już ignorować. Nieustępliwie, comiesięcznie krwawiłam. Wytrzymaj, włóż, załóż wkładkę. Nie chciałam się dostosować do tego nowego rytmu, zdarzały mi się więc wpadki. Pewnego razu podczas wakacji za późno zorientowałam się, że nie spakowałam żadnych produktów higienicznych. Zwinęłam ciasno hotelowy papier toaletowy w szorstki tampon i owinęłam dodatkowo jeszcze większą ilością papieru swoje majtki w kroku. Co chwilę chodziłam do łazienki, żeby sprawdzić, czy nic nie przecieka. Kiedy kilka dni później krwawienie ustało, rozplakałam się z ulgą. Inne dziewczyny wydawały się równie nieświadome realiów miesiączkowania. W mojej szkole krążył mit, że pochwa jakoś się zamyka w kontakcie z wodą, nawet podczas okresu. Obaliłam go podczas szkolnych zajęć na basenie. Na szczęście był pełen dziewczyn, więc nikt nie mógł mnie zidentyfikować jako winowajczyni, która zmętniała wodę swoją krwią. Innym razem dostałam okresu w nocy, w domu przyjaciółki, u której nocowałam. Obudziłam się w jej łóżku dla gości, spocona od skurczów i mokra między nogami. Kiedy zdałam sobie sprawę, że poplamiałam pościel, chciałam zapaść się pod ziemię.

Byłam niewiarygodnie wrażliwa na krew. Nie na jej widok ani odczucie czy zapach, ale na mówienie o krwi. „Mam okres”. Kto mnie nauczył, że to wstydlive słowa? Nie mogłam sobie sama wymyślić tej fobii. Może to w szkole, kiedy nas – czyli dziewczyny – wysłano na lekcję wychowania do życia w rodzinie (chłopcy po prostu zniknęli – na dodatkowy wuef, jak się okazało). Chociaż zajęcia miały poruszać tematykę miesiączki i ciąży, okazało się, że dotyczą stosowania kremu do rąk (nie za dużo), noszenia stanika odpowiedniego rozmiaru (nie za małego) i spódnicy o odpowiedniej długości (nie za krótkiej). Tego, jak nakładać podkład i kiedy golić nogi. Jak jeść pomarańcze – w cząstkach, jak dama. Kiedy któraś z dziewczyn

zapytała, zupełnie rozsądnie, co zrobić, jeśli dostaniemy okresu w środku lekcji i musimy poprosić o wyjście do łazienki, instruktorka powiedziała:

– Powiedz nauczycielowi, że *menstruujesz*.

Duży nacisk położyła na ostatnie słowo. Wbiłyśmy w nią skołowany wzrok.

Krew jest nieczysta. Czy nie taką właśnie informację przekazują nam sklepowe tablice „higiena intymna”? Produkty higieniczne dla naszych niehigienicznych ciał. Rzeczywiście, krew miesięczkowa jest tak brudna, że nie można jej nawet pokazać. Reklamy tamponów i podpasek zachwalają ich chłonność za pomocą jasnoniebieskiego płynu wylewanego z laboratoryjnej zlewki. Jako nastolatka nie rozpoznawałam tego sterylne go płynu jako podobnego do czegoś, co kiedykolwiek wypływało z mojego ciała. Zresztą nie miałam rozpoznawać – o to właśnie chodziło. Moje ciało i krew były tematem tabu. Nie jestem pewna, czy od tamtego czasu wiele zmieniło się na lepsze – firmy produkujące tampony i podpaski reklamują teraz swoje produkty za pomocą radosnych rockowych piosenek i uśmiechniętych nastolatek z czystą cerą. Te reklamy mogą się wydawać inne, bo kładą nacisk na dobrą zabawę (!), świętowanie (!) i przeżywanie przygód (!) w trakcie miesiączki. Ale niezależnie od tego, czy chodzi o tampony dla nastolatek, czy maksipodpaski dla dorosłych kobiet, krew nadal jest niewidoczna. A zatem przesłanie pozostaje takie samo: krew jest niepoznawalna, krew jest niepokazywalna.

Jako dorosłej kobiecie nadal trudno mi mówić o tym, że mam okres. Nawet w rozmowach feministek nie porusza się niektórych aspektów krwawienia. Jest teraz takie hasło, które mnie rozśmiesza: kobieta może robić to wszystko, co mężczyzna, nawet krwawiąc. Ale śmiejąc się, jednocześnie się zastanawiam – a co, jeśli nie mogę? Czasem zalewają mnie hormony i jestem zupełnie bezsilna. Czasem zginam się wpół z bólu. Czasem sama myśl o perspektywie dłuższego stania sprawia, że robi mi się słabo. W takich chwilach nie czuję się feministyczną bohaterką, mam ochotę wrócić do domu, do łóżka. Ale jaki jest próg odczuwania tego bólu w świecie, w którym kobiety nadal są powszechnie utożsamiane ze swoimi ciałami, w którym muszą ciągle udowadniać swoje zdolności intelektualne? Jeśli boli cię głowa, to od nadmiernego myślenia. (Jestem taka bystra, jestem taka zapracowana). Jeśli bolą cię plecy, to z powodu nadmiernego wysiłku. (Jestem taka wysportowana, jestem taka aktywna). Atak stresu? (Tak ciężko



pracuję, jestem taka ważna). Ale skurcze brzucha? (Jestem taka kobieca). To nie do wypowiedzenia.

Krew jest największym tabu, kiedy jesteś naga, chociaż są mężczyźni, których kręci menstruacja, którzy pragną seksu z kobietą, która „już jest mokra”, którzy chcą zaliczyć kobietę podczas okresu. Pamiętam jednak bardzo dobrze ten swój pierwszy raz, kiedy mężczyzna zobaczył moją krew miesięczkową, i nie jest to miłe wspomnienie. Mieliśmy po dwadzieścia parę lat i lubiliśmy się; chłopak był fajny i chciałam, żeby myślał, że i ja jestem fajna. Całowaliśmy się i wygłupialiśmy, a potem zaczęliśmy uprawiać seks i w pewnym momencie on spojrzał w dół. Widząc krew, wyszedł ze mnie i nagle krew była wszędzie – na wnętrzu moich ud, na pościeli, na jego penisie. Zaczął krzyczeć, jakby myślał, że umiera. Jakby naprawdę umierał. Pomyślałam, że może ja też umieram. Ze wstydu. To był pierwszy, ale nie ostatni raz, kiedy odkryłam, że mężczyzna może chcieć dzielić ze mną wszystkie płyny ciała, tylko nie krew. Inny mężczyzna powiedział mi, że „nie ma z tym problemu”, ale zaraz po tym, jak doszedł, wyciągnął mnie z łóżka, żeby natychmiast wyprać pościel. Innym razem na samą wzmiankę o okresie mój szarmancki towarzysz zadzwonił po taksówkę, żebym mogła wrócić do domu.

W wieku dwudziestu kilku lat lubiłam uprawiać seks podczas okresu, bo wiedziałam, że nie mogę wtedy zajść w ciążę. Po trzydziestce przestałam to lubić z tego samego powodu. Przez te lata, kiedy starałam się o dziecko, zaczęłam się bać widoku krwi. W ramach swojej nowej obsesji na punkcie „mojego cyklu miesięczkowego”, który z miesiąca na miesiąc przekładał się na „mój cykl bez zapłodnienia”, skanowałam ciało w poszukiwaniu objawów: wzdęcia, ukłucia bólu w momencie owulacji, strużki czystego śluzu szyjki macicy, oznaczającego, że mogłam zajść w ciążę, czy różowych śladów na bieliźnie będących dowodem, że jednak nie zaszłam. Krew stała się moim przekleństwem, którego nie mogłam się pozbyć, a gdy miesiące zamieniły się w lata, naprawdę zaczęłam nienawidzić swojej krwi. To nie tylko comiesięczna niedogodność, ale i nowy rodzaj skazy oznaczający bezpłodność. Mówi się, że należy się pogodzić z trudnymi wydarzeniami życiowymi, ale co zrobić, jeśli wydarzenie, które próbujesz zaakceptować, rozgrywa się w twoim ciele? Znowu nie mogłam rozmawiać o krwi, nie mogłam powiedzieć o niej swojemu chłopakowi. Wypowiedzenie słowa „krwawieć” było ponad moje siły, więc liczyłam, że sam to wyczuje.

Zacząłam pocieszać się zakupami – skoro nie mogę mieć dziecka, to mogłabym przynajmniej mieć nową sukienkę. I za każdym razem, patrząc na wyciąg ze swojej karty kredytowej, odnosiłam gorzkie wrażenie, że to raczej wyciąg z przebiegu mojego cyklu, spisany w cyfrach, a nie słowach.

Przez trzydzieści lat żyłam w ciszy, która hołdowała przekonaniu, że menstruacja to coś zbyt wstydliwego, niechcianego, *zbyt kobiecego*, aby mówić o niej na głos. To tak długo, że prawie przestałam się nad tym zastanawiać. Prawie. Ale teraz mam już dosyć ciszy, tajemnicy i wypaczonego przekonania, że krew z pochwy to temat zakazany, bo po prostu *nie jest wystarczająco dobra*. Do diabła z ukrywaniem, ze wstydem, z milczeniem. Przez większość mojego życia co miesiąc miałam okres. Przez większość mojego życia uśmiechałam się podczas PMS-u, ciężkiego krwawienia i skurczów. Przez większość mojego życia było to krwawienie bolesne – zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. I dlatego nie zamierzam już więcej milczeć na ten temat. Opowiem, opiszę, rozleję tę krew. Będzie nie tylko moim atramentem, będzie osiłą mojej opowieści.

Mam ciało, które krwawi. Raz w miesiącu chlupocze, mokre i rozgrzane od krwi. Ta krew przecieka z boku podpaski, plami krocze moich dżinsów, kapie na podłogę w łazience, kiedy zapomnę zmienić tampon. Jest niewygodna i nieprzyjemna, niezbędna, tętniąca życiem, przesycą i budzi podziw. I jest *czzerwona*. Jest *głośna*. I jest *moja*.

A RACZEJ BYŁA. Jeśli odczuwałam wstyd na początku krwawienia, to teraz, kiedy dobiega ono końca, wstydzę się dziesięć razy bardziej. Jestem przerażona, kiedy wkładam palec do suchej pochwy, aby sprawdzić, czy jest krew, niczym w parodii mojego nastoletniego strachu przed ciążą. Niech poleje się krew. Dużo krwi.

Co robią inne kobiety w obliczu zmian zachodzących w ich ciałach? Kiedyś mój wewnętrzny głos psioczył na „podatek od zbytku” obejmujący tampony, ale teraz niemalże z sentymentem myślę o podpaskach na noc wyrrywających moje włosy łonowe. Oczywiście, tak naprawdę nie opląkuję produktów do higieny intymnej. Stopniowe pojawianie się objawów menopauzy – która rozpoczęła się, gdy zbliżałam się do czterdziestki – było

niezaprzeczalnym dowodem, że mój wiek rozrodczy dobiega końca. Fakt, że nie doświadczyłam macierzyństwa (czy można *doświadczyć* poronienia?), czyni tę stratę jeszcze większą. Muszę znaleźć sposób, aby ją jakoś wyrazić.

Koleżanka, na wpuł przepraszająco, wspomina o swoich objawach menopauzy.

– Śmiało, nie krępuj się – odpowiadam.

Jestem jej bardzo wdzięczna za to, że mówi w rzeczowy sposób – o skurczach, pocie, śmierzących upławach – ponieważ dociera do mnie, że w największe zakłopotanie społeczne wprawia nas nawet nie tyle poruszanie kwestii okresu, ile tłumienie i skrywanie przekwitłego kobiecego ciała. Znamy debaty na temat hormonalnej terapii zastępczej (a może raczej wszyscy po prostu wiemy, że jakieś się toczą?), wiemy o uderzeniach gorąca i nocnych potach i przyznajemy, że być może bonusem menopauzy jest możliwość uprawiania seksu bez zabezpieczenia. Ale nie mówi się o tym – a może ja o tym nie słyszę – jakie z przekwitaniem wiążą się uczucia. Jak to jest przestawać krwawić. Jak to jest, kiedy twoje ciało zaczyna cię zaskakiwać. To, co było mokre, jest teraz suche. To, co było jaskrawoczerwone, teraz jest brązowe lub całkowicie zniknęło. Że teraz pachnie *inaczej*. Że pachnie *staro*.

A jakie są moje objawy? Orgazmy potrafią teraz wywoływać u mnie skurcze, których siła powaliłaby słonia. Moje piersi wyglądają mniej... jędrnie. Cały czas jest mi za gorąco. Z wyjątkiem oczywiście tych chwil, kiedy jest mi za zimno. PMS odczuwam mocniej, nie lżej. Są dni, kiedy doświadczam czegoś, co można nazwać tylko rozpaczą. A moje krwawienie jest rzadkie, nieprzewidywalne, nie do poznania. Od czasu do czasu mam cięższy dzień, krwawię serią zakrzepów, lepka, żelazawą, smolista substancją, którą mogę prawie toczyć jak kulkę między palcem wskazującym a kciukiem. Przed spłukaniem patrzę na tę *starą krew* na papierze toaletowym. To jest moje ciało. Ale wydaje mi się obce. Muszę się wszystkiego nauczyć od nowa. Muszę się nauczyć być kobietą, która nie krwawi.

Pewnej nocy zeszłego lata pokłóciłam się z przyjacielem, który powiedział, że jesteśmy w średnim wieku. Widać było, że napawa go to dumą.

– Nie jestem w średnim wieku – upierałam się.

Dlaczego tak zawzięcie broniłam tego stanowiska? Być może z powodu

odczuwania niezaprzeczalnych symptomów, że nie jestem już młoda. Być może dlatego, że etykieta osoby „w średnim wieku” dla niego była tylko frazą, nie zaś faktyczną fizyczną zmianą. Być może z powodu obawy, że skoro pierwsza miesiączka oznacza „stawanie się kobietą”, to zanik menstruacji jest równoznaczny z końcem kobiecości.

TO SPRAWIA, ŻE ZNOWU SIĘ ZASTANAWIAM, jaką część mnie – nie tylko część rytmu mojego życia, ale po prostu mnie, tego, kim jestem – stanowi moje ciało. Co moje ciało o mnie mówi? I co ja mam do powiedzenia o nim? Zadaję sobie te pytania, jakby były dla mnie drogowskazami, gdy moje ciało zaczyna się zmieniać, gdy zaczynam akceptować fakt, że naprawdę jestem w średnim wieku, i gdy rozważam, co to znaczy być kobietą.

Nagle z nową energią zaczynam analizować nie tylko wewnętrzne oznaki mojej kobiecości. Podczas ostatnich wakacji nocowałam w pokoju z szafą o lustrzanych drzwiach. Pewnego ranka po prysznicu, kiedy siedziałam na brzegu łóżka, zsunął się ze mnie ręcznik i po raz pierwszy zobaczyłam swoje ciało w pełnej okazałości. Jako nastolatka ukradłam matce książkę *Our Bodies, Ourselves* [Nasze ciała, nasze życie]<sup>[1]</sup>. Czytałam ją z zapartym tchem, łapczywie pochłaniając kolejne strony, oczarowana opisami i schematami kobiecych ciał. Ale kiedy dotarłam do rozdziału, który zalecał przyjrzenie się własnemu ciału i swojej pochwie, przerwałam lekturę. Dlaczego, do cholery, miałabym chcieć przyglądać się własnej *pochwie*? Nigdy jej nie widziałam, więc założyłam, że jest brzydka. I, co niewiarygodne, nigdy nie zrewidowałam tego założenia. Trzydzieści lat później rozchyliłam nogi, spojrzałam, dotknęłam i zbadałam. Nie była taka straszna.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, gdy przeglądałam magazyn linii lotniczych podczas lotu powrotnego do domu, wpadła mi w oko gustowna dwustronicowa czarno-biała rozkładówka. Zawierała artykuł na temat zdrowia sromu. Zaczęłam czytać. Szybko się zorientowałam, że tekst wcale nie dotyczył zdrowia – był reklamą labioplastyki. Reklama była skierowana do kobiet, które uważały, że ich wargi sromowe są zbyt duże, zbyt luźne lub po prostu brzydkie. Przewróciłam stronę. Parę dni później w jakimś

magazynie dla kobiet trafiłam na kolejny długi artykuł na temat labioplastyki. Choć jego ton był życzliwszy niż przekaz reklamy w czasopiśmie linii lotniczych, byłam rozczarowana. Wiem, że istnieją kobiety, dla których jest to konieczny zabieg, szczególnie po porodzie. Ale żaden z tych tekstów nie był adresowany do takich kobiet – oba zachwalały labioplastykę jako zabieg kosmetyczny. Przypomniały mi się moje nastoletnie lata i obrzydzenie, jakie czułam do własnego ciała. Przypomniało mi się, jak w wieku trzynastu lat zauważyłam, że mam cellulit, i dodałam go do całej listy rzeczy, których w sobie nienawidzę. Przypomniałam sobie wszystkie te bitwy, jakie stoczyłam przez te wszystkie lata, aby zaakceptować własne ciało takie, jakie jest. Ciągle nie mogłam sobie z tym poradzić – czytałam te teksty i zastanawiałam się, czy muszę znów od nowa zacząć siebie nienawidzić. Czy jestem za duża, za luźna, za brzydka?

Kobiety są dobrze wyćwiczone w rytuałach samooceny swojego ciała. Obserwujemy inne kobiety, obserwujemy siebie i zaczynamy się porównywać. Czy jesteśmy takie same, czy jesteśmy lepsze, czy jesteśmy gorsze? Te rytuały cechuje jakaś potworna kobieca solidarność, prawie żadna z nas nie potrafi go uniknąć. To jest jak życie z jakimś wewnętrznym wrogiem – głosem w tle, który nieustannie szepce ci do ucha, że twoje ciało nie może być pożądane, akceptowane, że jest nienormalne.

Ta negatywna ocena pojawia się u mnie najczęściej wtedy, gdy patrzę na włosy na swoim ciele. Od mojej górnej wargi, przez pachy, aż po nogi i linię bikini – jestem owłosiona. Zaczęłam się golić, jeszcze zanim nawet zaczęłam krwawić. I prawie przez cały ten czas żałuję tego, że się golę, nie jest mi jednak łatwo przestać. Jako szesnastolatka przestałam to robić, dopóki przyjaciółka (najwyraźniej toksyczna – chociaż wtedy nie znałam tego określenia) nie powiedziała mi, że jestem „obrzydliwa” i że nie chce, żeby ludzie widzieli, jak siedzi „obok moich włochatych kończyn”. Wróciłam do golenia. Potem, w wieku dwudziestu kilku lat, ponownie dałam sobie z tym spokój. Wszystko szło dobrze, aż pewnego upalnego dnia w zatłoczonym metrze kilkoro dzieci zwróciło uwagę na moje owłosione nogi. Wytykały mnie palcami i *plakały*.

– Mamusiu, czy to mężczyzna? – któreś z nich zapytało przestraszone.

Uśmiechnęłam się do ich matki, ale ona nie chciała spojrzeć mi w oczy. Chciałabym móc powiedzieć, że stanęłam w obronie owłosionych kobiet, ale wróciłam do golenia. I rzeczywiście, ulżyło mi, kiedy zakończyłam ten eksperyment i znowu miałam gładkie nogi jak wszystkie inne kobiety. Jak widać, jestem rozdarta pomiędzy walką o zaakceptowanie faktu istnienia kobiecego owłosienia a zwykłą chęcią bycia akceptowaną.

Czasami jednak nie ma wyboru. Goliłam sobie pachy, ale bardzo zaostrzało to moją egzemę, skóra robiła się czerwona, podrażniona, łąpała infekcje. Bywało tak źle, że musiałam mieć odciągana ropę z opuchniętych i pulsujących od bólu pach. Mam blizny po tych zabiegach. Tak, dorobiłam się blizn, ponieważ za każdym razem mimo ostrzeżeń lekarzy wracałam do golenia i cykl infekcji zaczynał się od nowa. Skończyłam z tą szczególną formą samookaleczania się dopiero po tym, jak zemdlałam, kiedy przekłuwano mi bolesny ropień.

Kiedy przestałam się golić pod pachami, początkowo wstydziłam się rosnących tam włosów. Unikałam bluzek bez rękawów. Kiedy musiałam założyć kostium kąpielowy, trzymałam ręce przyklejone do boków ciała. Jedna z moich przyjaciółek próbowała mnie pocieszyć, mówiąc, że włosy pod pachami są seksowne. To było miłe z jej strony, ale wiedziałam, że sama się goli, więc nie mogły być *aż tak bardzo* pociągające, jak twierdziła. Dzisiaj prawie w ogóle nie myślę o swoich owłosionych pachach. Dopóki, rzecz jasna, nie zobaczę innej kobiety z wyraźnie gładkimi pachami i nie uświadomię sobie, że owłosienie wyróżnia mnie spośród innych.

Moja inność dotarła do mnie niedawno, kiedy oglądałam taniec dwudziestu nagich kobiet. Był on częścią spektaklu teatralnego mającego na celu zakwestionowanie kultury porno. Celem tego nagiego tańca było ukazanie kobiet wyrażających się poprzez swoją fizyczność, ale nie w roli obiektów seksualnych. Pozytywne przedstawienie, tancerki chyba dobrze się bawiły. Tak bardzo, że kiedy poprosiły publiczność o dołączenie do zabawy, właściwie chciałam się skusić. Ale potem spojrzałam na nie jeszcze raz. I – dochodząc do sedna – zdałam sobie sprawę, że na scenie nie było ani jednej naturalnie owłosionej cipki. Skrzyżowałam nogi. Niektóre kobiety miały ładnie przystrzyżone włosy, inne bardziej wymyślne intymne fryzurki, jeszcze inne były prawie całkowicie wydepilowane. Byłam zaintrygowana. W końcu te kobiety tańczyły, by przeciwstawić się patriarchalnemu spojrzeniu na kobiece ciało. Dlaczego więc były wydepilowane? Dlaczego

tak wiele z nich prawie nie miało włosów, mimo że brały udział w przedstawieniu mającym podobno stawić czoła standardom piękna rodem z pornografii? Oczywiście, słyszę odpowiedź, robiły to dla siebie. Nie wątpię.

Nie ma znaczenia, że moim zdaniem depilacja jest sadystycznym, czasochłonnym i kosztownym podatkiem płaconym przez kobiety. Ważne jest tylko to, że niepłacenie go robi ze mnie dziwoląga. A więc żeby poczuć się normalnie, przeszukuję czasopisma i media społecznościowe. Czasami trafiam na zdjęcie kobiety z włosami na ciele i odczuwam autentyczną radość wynikającą z zewnętrznego potwierdzenia mojej postawy. Nie jestem sama! Ta inna kobieta też się nie goli! Stanowimy siostrzeństwo włosów! Niestety kobietom rzadko zdarza się publicznie pokazywać owłosione fragmenty ciała, ta radość nie zdarza się więc często.

Kiedy patrzę na kobiety – bez względu na to, czy tańczą nago na scenie, czy pozują w bikini do zdjęć w magazynie – tak naprawdę nie obchodzi mnie, czy ich ciała są gładkie, czy owłosione. Nie obchodzą mnie ich ciała i to, co z nimi robią. Nie obchodzi mnie, czy uważają, że włosy są nieestetyczne lub nieseksowne, bo tak naprawdę nie oceniam ich, tylko siebie. To, że w niewystarczającym stopniu likwiduję swoje owłosienie. Że nie golę nóg tak często, jak bym mogła. Że nie golę pach. Oceniam się cały czas. I ten ciągły osąd jest najbardziej bezsensowną rzeczą, jaką robię.

Czasami, gdy jestem w towarzystwie bardziej eleganckich kobiet, zastanawiam się, czy ja – biała, heteroseksualna, cisgenderowa, akceptująca swoją tożsamość płciową kobieta z klasy średniej mieszkająca na zachodzie Europy – jestem tak naprawdę „prawdziwą dziewczyną”. Właśnie tak: „Czy jestem *prawdziwą* dziewczyną?”. Patrzę na siebie i na kobiety w swoim otoczeniu i czuję, że nie mogę się z nimi równać. I wtedy pojmuję: *jestem* dziewczyną, *jestem prawdziwa*, bo oczywiście ta paranoja – przekonanie, że jestem niewystarczająco kobieca, niewystarczająco seksowna, niewystarczająco dobra – jest fundamentalnym przejawem kobiecości. Ta paranoja stanowi kluczową składową kontroli nad kobietami. I tego, jak same siebie kontrolujemy.

KILKA LAT TEMU, podróżując po Azji Południowo-Wschodniej, zafundowałam sobie masaż całego ciała w salonie kosmetycznym. To zabawna historia i opowiadanie jej tutaj może się wydawać nieprzyzwoite, a więc proszę o wyrozumiałość. Nie mówiłam w lokalnym języku, a personel salonu nie znał angielskiego, ale porozumieliśmy się poprzez uśmiechy i kiwanie głowami. Młoda kobieta, moja masażystka, zaprowadziła mnie do gabinetu. Gestem kazała mi się rozebrać. Nieśmiało zostawiłam na sobie bieliznę. Widząc to, dziewczyna się zaśmiała. Zdjęłam majtki i starając się nie myśleć o tym, jaka jestem zarośnięta, położyłam się na stole. Zaczęła mnie masować, ugniatając moje obolałe mięśnie i smarując moją skórę jakimś aromatycznym specyfikiem. Kiedy owinięła mnie ręcznikami i zostawiła na chwilę relaksu, odetchnęłam. Okej, pomyślałam, nie jest tak źle.

A potem moje ciało zaczęło się rozgrzewać. A w zasadzie pałać. Smarowidło było ostre, swędzące i paliło. W ciągu kilku minut moja skóra się rozogniła. Byłam ciasno owinięta ręcznikami i szybko zdałam sobie sprawę, że każdym ruchem ryzykuję upadek z wysokiego stołu na podłogę. Skup się na czymś innym, powtarzałam sobie. Na czymś, co nie swędzi. Ale nie mogłam przestać myśleć o swędzeniu. Oddychaj, myślałam, ale głęboki oddech sprawił, że ogień się nasilił. Chciałam wołać o pomoc, żeby masażystka wróciła i uratowała mnie przed zostaniem gigantycznym, ostrym, swędzącym kebabem. Ale wyobraziłam sobie, że personel będzie zaskoczony moją niezdolnością docenienia – lub wytrzymania – zabiegu. Poczulałabym się zdemaskowana.

W końcu masażystka wróciła, aby zdjąć ze mnie ręczniki. Pomogła mi zejść ze stołu i zaprowadziła w kąt pokoju, gdzie zaczęła mnie opłukiwać zimną wodą. Cała się trzęsłam, ale nic nie powiedziałam – uśmiechałam się tylko przez szczękające zęby. Kiedy wychodziłam z salonu, sucha i ubrana, czułam się naprawdę świetnie.

Ale czułam też coś innego, nieprzyjemnego: czułam się upokorzona. Nie z powodu obsługi, nagości, specyfiku czy zimnej wody. Wstydziałam się, że nie umiałam zawołać masażystki, poprosić o pomoc, sprzeciwić się polewaniu zimną wodą. Bałam się, że będę postrzegana jako słaba, odebrałam więc sobie sama głos i sprawczość.

Mimo że ten piekący masaż był jedynym takim w moim życiu, pod pewnymi względami nie był odosobnionym wydarzeniem. W wielu innych



sytuacjach zachowałam się tak, jakby moje ciało było zbyt zawstydzające. Od strachu, jaki odczuwałam, mówiąc przyjaciółce czy chłopakowi, że mam okres, po golenie pach ze względu na wygląd. Począwszy od zachowań śmiesznych po te zagrażające mojemu zdrowiu, wielokrotnie wypierałam swoje ciało – jego znaczenie i jego ból. Uprawiałam seks bez zabezpieczenia, bo po prostu nie byłam w stanie wypowiedzieć na głos słowa „prezerwatywa”. Milczałam podczas cytologii, starając się ignorować ból spowodowany przez źle wkładany wziernik. Nie odezwałam się również ani nie pozwoliłam sobie na płacz podczas bolesnego wewnętrznego badania USG, tak jakbym myślała, że moje milczenie przyczyni się do lepszych wyników.

Ryzykowałam raka, bo nie byłam w stanie zdjąć koszulki. Choć w sumie nie o koszulkę chodzi. Mogłam ją zdjąć, ale nie umiałam potraktować poważnie tego, co było pod nią. Pewnego ranka, stojąc pod prysznicem, wyczułam guzek. Poszukałam w internecie informacji o badaniu piersi, porównałam swoją pierś z tą na ekranie, przeczytałam opis, jak można wyczuć guzek, i zdałam sobie sprawę, że dzieje się coś złego. A potem przez ponad pół roku nic nie zrobiłam. Bałam się, że to rak. Zamiast potraktować ten strach jako motywację do działania i pójść do lekarza, milczałam. Nie powiedziałam ani mojej rodzinie, ani znajomym, ani ówczesnemu chłopakowi. I kiedy w końcu umówiłam się na biopsję, poszłam na nią sama. Miałam szczęście. Guz nie był złośliwy.

Dlaczego pozwalam sobie milczeć ze wstydu? I dlaczego tak trudno jest mi dobrze traktować swoje ciało? Być może dlatego, że kobiece ciało kojarzy mi się z cierpieniem. Od dnia pierwszego krwawienia zaciskałam zęby i znosiłam te trudne uczucia w milczeniu, ponieważ wydawało mi się, że tak robią inne kobiety, że tego właśnie się od kobiet oczekuje. Kobiece ciało ma boleć, a kobiety powinny milczeć na temat tego bólu: bólu krwawienia, bólu depilowania, bólu wywołanego przez poczucie niespełniania standardów. Nasz ból nie jest ważny. Nasze ciała nie są ważne. Ból to rzeczywisty podatek, jaki płacimy, a zły stan zdrowia to zbierana przez nas dywidenda.

GDY MYŚLĘ O ZWIĄZKU cielesności z milczeniem, przypominam sobie czas, kiedy ból był czymś, o czym można było mówić, kiedy chwaliłyśmy się naszymi ciałami. Kiedy miałam siedem lat, podwijałam spodnie i pokazywałam swoje blizny – po ugryzieniu przez psa, po skoku z dachu komórki, po zadrapaniu zardzewiałym gwoździem, w które wdała się infekcja. Te blizny z dzieciństwa były nie tylko oznakami bólu, ale też nagrodami za odwagę, zewnętrznym dowodem na wewnętrzną śmiałość. Gdy dorosłyśmy, nasze biografie stały się racjonalnymi opowieściami, w których skupiamy się na tym, co mamy w głowie, i ignorujemy to, co jest zapisane na naszych ciałach. Możemy usiąść i porozmawiać o złamanym sercu, smutku czy stresie. Ale nasze ciała milczą i myślę, że to może być odczuwalne zarówno przez mężczyzn, jak i przez kobiety.

Czas odzyskać dziecięcą akceptację swojego ciała jako dowodu na to, kim jesteśmy i co osiągnęłyśmy. Moje ciało jest zdrowe, sprostało kilku wyzwaniom. To ciało, które częściej sprawia, że czuję się lepiej niż gorzej. Moje ciało pozwala mi robić różne rzeczy. Moje pokryte cellulitem uda są silne, doprowadziły mnie na górskie szczyty, i je kocham. Cieszy mnie widok blizny po guzku, jasnej linii na prawej piersi. To nie oznaka słabości, ale symbol odzyskania swojego ciała. Potrzebuję tej blizny, ponieważ potrzebuję przypomnienia, że jestem właścicielką tego ciała.

Czasami trudno spojrzeć w lustro. Czasami potrzeba lat – a w moim przypadku dziesięcioleci – aby naprawdę się sobie przyjrzeć. Czasami najodważniejszym krokiem jest przyjrzeć się sobie bez luster. Ten rodzaj nagości wymaga wysiłku. W końcu nie idzie w nim tylko o to, jak wyglądamy, ale o przyznanie się przed sobą, jak czujemy się z naszym wyglądem. Chodzi o odwrócenie perspektywy, o odrzucenie przekonania, że jestem mała, płaska i cicha. Chodzi o przyznanie, że to nie moje ciało jest źródłem smutku, tylko to, jak sama je postrzegam.

A gdyby moje ciało mogło opowiedzieć swoją historię?

Co by powiedziało?

Myślę, że mówiłoby o krwi. O jej hipnotyzujących przyływach i odpływach. O końcu i odnowie. Myślę, że mówiłoby o dotyku moich palców, moich

dłoni i ust innej osoby. O dotyku skóry o skórę, wilgotnym i niespiesznym, delikatnym i zdecydowanym. O dreszczu z zimna, o przyjemności z ciepła. Myślę, że mówiłoby o radości orgazmu, radości śmiechu i radości zaspokajania głodu. O smakach ostrych i pikantnych, kojących i kremowych. Myślę, że mówiłoby o patrzeniu na zewnątrz, o przyciąganiu do wewnątrz. O perfumach i smrodzie. O czystości i brudzie. O chorobie i wyzdrowieniu, o harcie ducha, o rozwoju. Myślę, że mówiłoby o stracie i żałobie. O życiu w pojedynkę i trzymaniu się razem. O trwałości i przemianie. O satysfakcji. O szczęściu. O radości.

Myślę, że mówiłoby wyraźnie. Mówiłoby głośno. Z dumą.

A ja słucham.

I tak to właśnie wygląda, kiedy kobieta przelewa swoją krew na papier.

Coś o mnie

NIE MA MNIE TU, myślę. Jego dłonie na moim ciele, jego ręce, usta i cała reszta mówią mi, że chce we mnie wejść. *Nie ma mnie tu*, bo nie powinno mnie tu być. W ogóle nie powinno mnie tu być. Mam szesnaście lat, moja mama nie wie, gdzie jestem, jest środek tygodnia, powinnam leżeć we własnym łóżku, a nie być ruchana na czyimś. A więc *mnie tu nie ma*.

Poza tym, że oczywiście jestem, a raczej byłam tam, gdzie nie powinno mnie być. Zapytajcie mnie teraz – teraz, kiedy mam ponad czterdzieści lat, czuję się bezpiecznie, mam pracę, dom i partnera – a powiem, że jako nastolatka przeżyłam kilka szalonych lat. Zapytajcie mnie, a zacznę się śmiać i powiem, że może życie trochę wymknęło mi się wtedy spod kontroli. Kiedy inne osoby wspominają swoje zawody sportowe lub wybryki na szkolnych wycieczkach, ja mogłabym opowiedzieć o tym, że przez trzy lata zaliczyłam pięć szkół średnich. Brzmi oryginalnie. Ludzie, którzy poznali mnie w moich lepszych czasach, dziwią się i śmieją, kiedy opowiadam, że byłam szaloną nastolatką. Mój chłopak, który zna niektóre z zabawniejszych anegdot, zasugerował, że powinnam napisać esej o tym okresie mojego życia. Ale i on wie tylko o części dziwnych wydarzeń, nie zna całej historii. Przez długi czas krążę myślami wokół tego pomysłu. Dlaczego miałabym ryzykować życie, które wiodę przez te wszystkie lata od tamtego czasu, tylko po to, aby opowiedzieć tę historię?

Zastanawiam się nad tym godzinami, siedząc z podbródkiem opartym na dłoni przed niezapisanym notesem. Sama nie wiem, czy moja przeszłość to katastrofa, czy może historia warta opowiedzenia. I nawet jeśli warto ją opowiedzieć, to czy – i jak – mogę nadać jej sensowny kształt? Próbuję rozpocząć od tego, co w moim odczuciu jest jej początkiem – *nie ma mnie tu* – ale to nie miałoby sensu, bo tak naprawdę historia zaczęła się przecież wcześniej. Może w momencie, kiedy w wieku czternastu lat przeprowadziłam się do Londynu? Nie, to też za późno. Może w takim razie zacząć od Irlandii, pierwszego drinka i pierwszego papierosa, którego

zapaliłam, jak byłam trzynastolatką? Jeśli tak, to w takim razie gdzie mam skończyć? Na moim ostatnim papierosie w wieku lat dziewiętnastu?

I wtedy zdaję sobie sprawę, że ta opowieść wcale nie rozpoczyna się ani nie kończy tam, gdzie początkowo sądziłam. Nie ma jednego, łatwego do wskazania punktu wyjścia. Chronologia wydarzeń jest zbyt pogmatwana, nie rozwija się rok po roku, nie ma w niej punktów zwrotnych. A więc moja opowieść może czasami wydawać się bez sensu. Ale jest wszystkim, co mam.

KIEDY RODZICE SIĘ ROZSTALI, miałyśmy bardzo mało pieniędzy – czego byłam stale i dotkliwie świadoma. Nienawidziłam poczucia, że ledwo wiążemy koniec z końcem, nienawidziłam tego, że nie było nas stać na żadne przyjemności, że nasz samochód był tak stary, że w zimie zamarzały w nim zamki, że nie miałyśmy telewizora, a później tylko mały, czarno-biały. Nienawidziłam tego, że nigdy nie miałam więcej niż jednej pary butów i że te buty nigdy nie były markowe, tak jak u reszty dzieci w mojej klasie. I że nosiłam ubrania po innych dzieciach. Najbardziej nienawidziłam tego, że w kółko jadłyśmy to samo – niekończące się góry taniego szarobrazowego mięsa mielonego i wodnistych ziemniaków, które przy każdym posiłku napawały mnie obrzydzeniem. Wtedy właśnie, mając dziesięć lat, odkryłam, że mogę nie jeść.

Moja mama wysyłała mnie zwykle do szkoły z drugim śniadaniem, zazwyczaj z kanapką i jabłkiem. Ale czasami, kiedy rano nie było czasu, chleba, albo czegoś, co można by włożyć pomiędzy kromki, mówiła, że mogłabym zjeść jedną z darmowych szkolnych kanapek. W tamtym czasie każdy uczeń dostawał codziennie bezpłatny karton mleka. Na wierzchu palety z kartonami zawsze leżała – jakby dorzucona po namyśle – przezroczysta plastikowa torba z kanapkami. Wypełnione były głównie szynką albo serem – szynka była oślizgła, a ser gumowaty. Do tego grubo posmarowane masłem, którego nienawidziłam w kanapkach (nadal nienawidzę). Teraz myślę, że pewnie pakowano je w zgrabne stosy, ale kiedy już docierały do mojej klasy, zawsze były rozwaloną stertą chleba i dodatków. Aby zdobyć kanapkę, trzeba było sięgnąć ręką do tłustej torby

i wyłowić sobie każdy jej element. Jakimś cudem kanapki te wydawały się jednocześnie czerstwe i rozmoczone, a w zimie ciepłe od kaloryfera.

Chłopcy pili mleko i niektórzy po przerwie spędzonej na graniu w piłkę jedli te kanapki. Widziałam jednak, że dziewczyny ich nie brały, a już na pewno nie te, które się liczyły. Wystarczyło mi, że byłam dzieckiem chodzącym w starych ubraniach, w tym w ubraniach niezbyt miłej, wyższej dziewczyny z mojej klasy (nasze mamy były przyjaciółkami).

– O, miałam kiedyś taki sweter – komentowała. – O, to chyba *był* mój sweter.

Na jej oczach nigdy nie wzięłabym darmowej kanapki, bez względu na to, jak bardzo byłabym głodna. Więc w te dni, kiedy mama nie miała czasu naszykować mi drugiego śniadania, po prostu nic nie jadłam. Później – może tutaj właśnie zaczyna się moja historia? – przestałam w ogóle jeść kanapki, które robiła. Wciskałam je na dno plecaka, gdzie pleśniały i śmierdziały. Zadowalałam się tylko codziennym jabłkiem. Wkrótce przestałam jeść też jabłka. Odkryłam, że dobrze znoszę głód.

Pewnego razu przyznałam się mamie koleżanki, która odwoziła nas ze szkoły, że nic nie jadłam przez cały dzień i – to miała być moja puenta – że nawet nie byłam głodna. Powiedziała mi, żebym się nie wygłupiała. Uparcie ją przekonywałam, że nie, naprawdę, nic nie jadłam od samego rana. A potem, kiedy już mi uwierzyła, zmusiła mnie do zjedzenia resztek z drugiego śniadania swojej córki. Nie takiej reakcji oczekiwałam. Nie była zachwycona moim osiągnięciem – zwycięstwem woli nad apetytem. Stłumiłam łzy, żując ze złością, i zdecydowałam, że już nigdy więcej się tak nie obnażę. Nie powiem już nikomu o swoim triumfie nad słabością. Po prostu nie będę jadła. To postanowienie sprawiło, że niejedzenie szło mi jeszcze lepiej. Poczułam, że teraz miałam nową, tajną broń, która była tylko moja. Nie jedząc, czułam się czysta i lekka. I silna.

W szkole nie miałam przyjaciół, ale to prawdopodobnie już wiadomo z mojej opowieści. Nie wiedziałam, jak się zaprzyjaźnić: mówiłam zbyt głośno lub zbyt przejmowałam się tym, co o mnie myślą. Nie znałam właściwych zasad koleżeństwa.

Zawsze byłam chudym dzieckiem i nikt tak naprawdę nie zauważył, że zaczęłam być jeszcze szczuplejsza. Rano zjadałam trochę płatków śniadaniowych, kiedy mama tego zażądała. Gdy zmuszała mnie do zjedzenia większej porcji, prowokowałam wymioty. Pewnego dnia, kiedy kazała mi

zjeść całą miskę płatków, specjalnie zwymiotowałam na dywan w przedpokoju. Dla mamy było to już zbyt wiele, o jedną akcję za dużo, i to na dodatek rano, kiedy i tak już była spóźniona.

– Boże, czy to się nigdy nie skończy? – powiedziała. – Wsiadaj do samochodu.

Nie byłam pewna, co miała na myśli, pytając „czy to się nigdy nie skończy?”, i obawiałam się, że posunęłam się za daleko. Jednak od tego momentu przestała we mnie wciskać śniadania.

Codziennie jadłam pełną kolację, więc nigdy niebezpiecznie nie zachorowałam ani nie wychudłam. Cały czas jednak łapałam drobniejsze choroby, dość często się przewracałam, byłam niezdarna, mdlałam. Co rusz trafiałam na pogotowie w szpitalu dziecięcym, często ze skręconymi nadgarstkami lub kostkami. Zaczęłam rozpoznawać twarze i nazwiska pielęgniarek i rejestratorek. Pamiętam jedną kontuzję, która była tak poważna, że moja mama musiała wziąć tydzień wolnego, aby się mną opiekować. Spędzałyśmy dni, budując z kartonu dom dla lalek, a ona gotowała mi moje ulubione potrawy. To był jeden z rzadkich epizodów spokoju i bliskości. Jadłam. Zaczęłam się lepiej czuć. Kiedy wróciłam do szkoły pod koniec tygodnia, byłam nawet przez krótki czas popularna, bo pozwalałam dzieciom ścigać się z moimi kulami. Ale wkrótce wróciłam do niejedzenia. Podczas przerwy na drugie śniadanie zostawałam w ławce, czytając książki.

Robiłam się coraz bardziej niespokojna. Przestałam spać. Leżałam w łóżku, analizując i roztrząsając wszystko, co powiedziałam w ciągu dnia, rozmyślając nad wszystkim, co zrobiłam źle. Miałam wtedy około jedenastu lat. Mama zabrała mnie do lekarza, zatroskana moimi ciemnymi sińcami pod oczami i ciągłym zmęczeniem. Lekarz rodzinny poprosił mamę, żeby na chwilę wyszła z gabinetu, a potem zapytał mnie na osobności, czy jest coś, co mnie szczególnie martwi. Zaprzeczyłam. Nie pamiętam pozostałych pytań, ale pamiętam myśl, że nikt nie odkryje mojej tajemnicy, jeśli nic nikomu nie powiem. Kiedy wróciła mama, lekarz skomentował moją szczupłą sylwetkę i zapytał, czy mam apetyt. Zważył mnie na jednej z tych staromodnych wag z odważnikami. Patrzyłam, jak jego grube palce przesuwają suwak.

– Ma niedowagę – stwierdził.

Pomyślałam wtedy, że to jest ten moment, kiedy mnie zdemaskują. Moja mama jednak zaczęła opowiadać, jak chciwie jadłam, kiedy dostawałam



ulubione danie, na przykład kanapkę z kurczakiem posmarowaną majonezem. Roześmiali się oboje.

W samochodzie mama zapytała, czy powiedziałam lekarzowi, czym się tak martwię. Wbiłam wzrok w kolana i pokręciłam głową. Zirykowała się, bo musiała wziąć wolne popołudnie w pracy, a wizyta była droga. Jej głos był cierpki, pełen obaw o pieniądze. Postanowiłam, że w przyszłości nie będę jej już mówić, że nie spałam. I że nie powiem jej, że po prostu nie pozwalałam sobie usnąć. Że wymyśliłam sobie kolejną zasadę, kolejną formę kontroli, kolejną karę.

SPĘDZIŁAM CAŁE LATA na swoim głodowym reżimie. Ale kiedy dostałam się do szkoły średniej, potrzebowałam więcej energii, żeby przetrwać dzień. Pewnego ranka na apelu szkolnym poczułam się słabo. Najpierw przestałam widzieć, ale wciąż słyszałam wygłaszane komunikaty i stałam na swoim miejscu, kołysząc się lekko do przodu. Potem głośnie brzęczenie wypełniło moje uszy i pochłonęła mnie całkowita czerń. Odpuściłam. Dziewczyna, która stała obok mnie, powiedziała mi później, że upadłam na parkiet z głośnym hukiem. Szkolna pielęgniarka nie przejęła się moim wyznaniem, że „zapomniałam” zjeść śniadanie. W rzeczywistości to, że codziennie rano odmawiałam jedzenia, stało się swego rodzaju domowym polem bitwy. Mama pobiegła nawet kiedyś za mną na przystanek autobusowy, wciąż w szlafroku, machając tostem.

Przez resztę apelu cała szkoła musiała siedzieć na zakurzonej podłodze. Starsze dziewczyny udawały potem troskę, obejmując mnie ramieniem, tak jakbym była ich maskotką. Do końca roku cieszyłam się odrobiną sławy, jako „ta, która zemdląca”. Przynajmniej wreszcie miałam przyjaciół. W wieku trzynastu lat zaczęłam się zbliżać do osób, które wydawały się mnie lubić – które naprawdę mnie lubiły. Ale zajęło mi dużo czasu, zanim pozwoliłam sobie uwierzyć w ich sympatię. Być może najbardziej wyniszczającym aspektem samotności nie jest wcale czas spędzony samotnie w pokoju, ale ten spędzony w tłumie, kiedy czujesz, że naprawdę nie masz przy sobie nikogo bliskiego.

Moi nowi znajomi zauważali moją szczupłość. Wszyscy zauważali. Inni rodzice i nauczyciele komentowali moją sylwetkę. Niektórzy postrzegali ją jako problem, nazywając mnie chudą, mnie jednak to określenie wprawiało w zachwyt. Przeważnie opisywano mnie za pomocą słów takich jak „szczupła” lub „smukła”, które – jak wiedziałam – niosły ze sobą pozytywny przekaz. W szkole radziłam sobie dobrze, umiałam być pewna siebie (czytaj „głośna”) i opowiadać śmieszne historyjki. Ale to szczupła figura, wystające łokcie i żebra były tymi cechami, które ceniłam w sobie najbardziej.

Na tym etapie wiedziałam już, jaki wpływ na innych potrafi mieć moje ciało. I znalazłam nowe sposoby, by czerpać z niego kolejne korzyści emocjonalne. Rozwinęłam życie towarzyskie i zaczęłam chodzić do domów znajomych po szkole, a potem na weekendowe imprezy. Chciałam być fajna. Stawałam na skraju grupy dzieciaków, które rozmawiały, śmiały się i obściskowały, i chciałam być jej częścią. Wciąż kręcąc się wokół nich, zaczęłam palić, naśladowałam sposób poruszania się innych dziewczyn, kręcąc biodrami w uwodzicielski, jak mi się wydawało, sposób. W obecności chłopaków, którzy mi się podobali, uśmiechałam się nieśmiało, a nawet gapiłam na nich otwarcie. Tak zwracałam na siebie uwagę. Na jednej z imprez wyszłam na zewnątrz z chłopakiem, który przywołał mnie gestem, a potem kuliłam się ze wstydu, gdy się ze mnie śmiał, krzycząc do wszystkich swoich przyjaciół, że jestem desperatką. Ale desperacja też może niektórych przyciągać. Szybko odkryłam, że dzięki chłopakom chcącym korzystać z mojego ciała mogę znowu poczuć ten triumf i lekkość, które wcześniej odczuwałam jedynie dzięki niejedzeniu. To, że same spotkania były dla mnie dość niesmaczne, w sumie nie miało nic do rzeczy.

Pamiętam, kiedy straciłam dziewictwo, i krew na bieliźnie po tym, jak natarczywy chłopak wsadził mi do środka większą część swojej dłoni. Bolało, ale skrzywiłam się jedynie po cichu, bojąc się, że inne dziewczyny mnie usłyszą i wyśmieją. Byłam przekonana, że robił to już wcześniej. Byłam przekonana, że tak właśnie robiły fajne dziewczyny. I prawdopodobnie tak właśnie robiły fajne dziewczyny, ponieważ żadna z nas – ani jedna – nie była na tyle pewna siebie, by powiedzieć „nie” i postąpić niezgodnie z oczekiwaniami. Sprzeciw oznaczałby ujawnienie siebie przed chłopakiem i wszystkimi jego przyjaciółmi jako oziębłej. Co było nawet gorsze niż bycie „łatwą”. Wiem teraz, że wszystko, czego tak naprawdę wtedy chciałam, to czułe uczucie – dotyk, pieszczota z miłością, ze

zrozumieniem, z dobrocią. A jednak niemożliwością było o to poprosić. W tak widoczny sposób byłam pełna potrzeb i pragnień, że czasem musiało być ciężko spojrzeć na mnie bez wzdrygnięcia.

KIEDY MIAŁAM CZTERNAŚCIE LAT, praca mojej mamy zawiodła nas do Londynu. Ojciec, który i tak rzadko kiedy uczestniczył w naszym życiu, został w Dublinie. Londyn oznaczał nową szkołę i zupełnie nowy poziom możliwości. Oznaczał także zupełnie nową grupę przyjaciółek. Dziewczyny w mojej szkole wydawały się śmiałe, odważne i fajne. Uznały mnie za kogoś, kto też jest fajny. Pozwalały mi spędzać ze sobą czas i razem zaczęłyśmy chodzić do klubów. Mówiłam mamie, że będę nocować u koleżanki, a ona – żyjąc w nowym mieście, gdzie nie znała niczyich rodziców – nie zdawała sobie sprawy, że kłamie. Wkrótce ten nowy rodzaj oszukiwania stał się moją drugą naturą, jedynym sposobem na uzyskanie tego, czego pragnęłam.

Pewnego piątkowego wieczoru flirtowałam w klubie z mężczyzną przed trzydziestką. Zapytał o mój wiek. Powiedziałam mu, że mam dziewiętnaście lat. I że studiuje sztukę. Zawsze tak mówiłam, ponieważ brzmiało to efektownie, choć gdyby ktokolwiek dopytał mnie o szczegóły, nie miałabym pojęcia, co odpowiedzieć. Po pocałunku odsunął się, jeszcze raz spojrzął na moją twarz i ponownie zapytał, ile mam lat. Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

– Siedemnaście.

Zbladł, cofnął się i uciekł. Kiedy wróciłam na parkiet i opowiedziałam o tym moim przyjaciółkom, ryknęłyśmy śmiechem. Głupek. Byłyśmy niezniszczalne. Miałyśmy po piętnaście lat.

Zabiłam w sobie tę dziewczynę w znoszonych ciuchach po koleżance. Zostałam zuchwałą, uszminkowaną imprezowniczką w krótkiej spódniczce, która zawsze wiedziała, gdzie się coś dzieje. Byłam na takim haju i tak świetnie się bawiłam, że nigdy już nie zatęskniłam za tą dziewczyną z nosem w książce, którą kiedyś byłam. Miałam darmowe bilety na koncerty, wstęp za kulisy, wejściówki do klubu na każdą noc w tygodniu. Teraz wydaje mi się to kretyńskie, ale ja i moje dwie najlepsze przyjaciółki rozdawałyśmy „wizytówki” z naszymi imionami, numerami telefonów i hasłem:

„Niebiańska istota wychowana w piekle”. Darmowe drinki w barze. Miejsce na podwyższeniu obok didżeja. Strefa VIP. Wystarczyło być nieletnią, w kusej sukience i zgrywać chętną do zabawy. Byłam w tym świetna, bo byłam chętna. Nosiałam stare sukienki mamy z lat siedemdziesiątych. Skracalam je tak, że ledwo zakrywały mi tyłek. Nosiałam – co wtedy uważałam za spektakularny pomysł – habit zakonnicy z obciętym dołem i zamkiem błyskawicznym wszytym na całą długość przodu. Kiedy mama zwracała uwagę na moje stroje, niechętnie się zakrywałam, ale to tylko dodawało smaczku tej grze. Wychodziłam z domu w długiej bluzce i długiej spódnicy. Ale jak tylko dotarłam do klubu, rozbierałam się w holu, często pod okiem publiczności. Zewnętrzne warstwy ubrań oddawałam jednemu z bramkarzy, zostawałam w skąnym stroju, który miałam pod spodem.

Mój nowy styl życia nie kończył się na imprezowaniu w klubach nocnych. Jeździłam na festiwalach muzycznych i rozkoszowałam się panującym tam brakiem zasad. Pojechałam raz na festiwal, podczas którego cały czas padało. Wszystko tonęło w błocie. Ostatniego dnia, gdy jakiś potargany facet powiedział, że może mnie zabrać za kulisy na spotkanie z Nirvaną, porzuciłam pożyczony namiot, pożyczony śpiwór, ubrania i wszystko, co ze sobą przywiozłam. Nawet nie pożegnałam się z przyjaciółmi, z którymi przyjechałam. Miałam to gdzieś. Stałam przy barze obok Kurta Cobaina. Pił coś, co wyglądało jak dzin z tonikiem, i palił lighty. Uznałam go za cieniasa i się odwróciłam. W końcu ja piłam czystą wódkę, paliłam tylko ekstra mocne. Poszłam z potarganym facetem do eleganckiego hotelu, gdzie bawiliśmy się z grupą promotorów muzycznych, połamaliśmy meble i nabiliśmy wysoki rachunek w barze. Przystopowaliśmy tylko na chwilę, żeby zgolić brwi tym, którym urwał się już film. A potem nas wyrzucono.

Wybrałam ten właśnie moment, aby zadzwonić do mamy z telefonu dla gości. Było przed szóstą rano. Odebrała, zaspana. Kiedy bełkocząc, podałam nazwę hotelu, powiedziała, że była tam kilka tygodni wcześniej na konferencji z pracy.

– Czy to nie zabawne? – zapytała.

Przyznałam jej rację i się rozłączyłam. Nawet teraz nie mam pojęcia, po co do niej wtedy zadzwoniłam.

Dogoniłam pozostałych i poszłam z nimi w kierunku stacji kolejowej. Po drodze jakoś udało nam się ukraść ze sklepu, nie wiedzieć czemu, akurat parę woderów. Nie mogliśmy przestać się śmiać. Skończyłam u jednego

z nieznanymi i zostałam tam przez kilka dni. Do domu wróciłam dopiero po tygodniu. Opuściłam festiwal z zupełnie inną grupą ludzi, niż przyjechałam. Właścicielka namiotu, który porzuciłam, moja siostra, do której należał śpiwór, i moi przyjaciele, których zostawiłam bez uprzedzenia, przestali się do mnie odzywać. Miałam kaca, który wydawał się zaledwie odrobinę lepszy od śmierci. Moje życie wydawało mi się wspaniałe.

W tamtym czasie byłam idealnym przykładem zbuntowanej nastolatki. Wystąpiłam nawet w *talk-show* w państwowej telewizji pokazana ku przestrodze rodziców z klasy średniej. Na nagranie zdecydowałam się pójść w koszulce, na której napisałam nazwisko byłego chłopaka oraz dopisek „jest dupkiem”. Mój tata do dziś z dumą o tym opowiada. Ale podczas nagrania siedziałam obok kobiety, której syn zmarł z powodu wdychania aerozoli. Była cicha, miła i zrozpaczona. Nie miała pojęcia, że jej synowi groziło takie niebezpieczeństwo. Wystąpiła w programie, aby ostrzec innych rodziców. Współczułam jej, nawet pomimo swojej nastoletniej gruboskórności i swojego egoizmu. A potem zadałam sobie pytanie, czy moja mama naprawdę jest tak beznadziejna, jak mi się wydawało. Przypomniałam sobie, jak któregoś wieczoru, wkrótce po przeprowadzce do Londynu, stanęła w drzwiach mojego pokoju i zapytała, co robię. Siedziałam na podłodze, plecami do grzejnika, gapiąc się w przestrzeń. Zaczęłam płakać.

– Jestem samotna – załkałam.

– Wiem – odparła, a potem wzruszyła ramionami i poszła spać.

Byłam przekonana, że nic jej to nie obchodzi. Gdyby jednak przekroczyła wtedy próg i spróbowała mnie pocieszyć, co bym zrobiła? Nakrzyczałabym na nią, że ma się wynosić. Gdyby spróbowała mnie przytulić, pewnie cała bym zeszywniała i powiedziała jej swoim najzimniejszym głosem, żeby mnie zostawiła w spokoju i przestała dotykać.

Gdy siedziałam w studiu telewizyjnym, chociaż połączyłam mamę chłopaka z moją mamą, nie połączyłam losu jej syna z moim. Ja przecież nie wdychałam oparów, żeby się naćpać. Brałam narkotyki, ale miałam swoje zasady. Nigdy nie dotknęłam cracku ani heroiny. Myślałam, że te wyznaczone przeze mnie samą granice szaleństwa zapewnią mi bezpieczeństwo. Naprawdę myślałam, że jestem niezniszczalna.

Ale były ostrzeżenia, których nawet ja nie mogłam nie zauważyć. Pojechałam na weekend do Manchesteru z didżejem, z którym flirtowałam od miesięcy. Woził mnie swoim autem, dawał mi prezenty, podawał drinki

i narkotyki. Był dwa razy starszy ode mnie. Uwielbiał chwalić się mną na imprezach, opowiadać wszystkim, że jestem nieletnia, a on ryzykuje więzienie. Czasem udawał, że jest moim ojcem, zanim mnie pocałował lub zaczął lizać moją twarz. Ale nigdy nie byłam z nim sam na sam. W Manchesterze grał w studenckim barze, po imprezie poszliśmy do hotelu. I wtedy zdałam sobie sprawę, że popełniłam straszny błąd. Był agresywny. Chciał ostrego seksu, a kiedy zaprotestowałam, powiedział, że zapłacił za wszystko, więc jestem mu to winna. Jakoś go uspokoiliam, pojąc alkoholem z minibaru. Kiedy urwał mu się film, zamknęłam się w łazience. Wymknęłam się rano, jak tylko usłyszałam na korytarzu pokojówki. Poszłam na dworzec, udało mi się uniknąć kontrolerów w pociągu, i wróciłam do Londynu. Gdy go spotkałam następnym razem w klubie – jak zwykle w piątek – zaczął rzucać we mnie pustymi szklankami, krzycząc i ostrzegając innych mężczyzn, że jestem zwykłą naciągaczką. Szkło leciało, bramkarze tylko stali i patrzyli.

Kilka miesięcy później doznałam urazu głowy, gdy zostałam uderzona w twarz butelką piwa na parkiecie nocnego klubu. Kobieta, która to zrobiła, twierdziła, że tańczę zbyt blisko jej chłopaka. Rana bardzo mocno krwawiła, zamieniając kafelki na podłodze łazienki w jezioro czerwieni. Menadżer klubu był zaniepokojony, ale chciał jak najszybciej pozbyć się mnie z lokalu.

– Ile ty masz naprawdę lat, Emilie?

Nawet krwawiąc, wyczułam ironię sytuacji, biorąc pod uwagę fakt, że byłam na klubowej liście stałych gości, że postawił mi niezliczoną ilość drinków i że wiele razy próbował się ze mną przespać. Wiedział, że jestem niepełnoletnia. Zamiast odpowiedzieć, wyszłam. Grupa przestraszonych znajomych zabrała mnie na ostry dyżur. Wróciłam do domu we wczesnych godzinach porannych w Wigilię, ze szwami na linii włosów.

Nadal prawie nic nie jadłam. W rzeczywistości niejedzenie było plusem przy moim stylu życia. Nie miałam własnych pieniędzy, więc stołowanie się poza domem nie wchodziło w grę. Spędzałam czas z mężczyznami, którzy powtarzali mi, jak wspaniałe jest moje (niedożywione) ciało, ale którzy nigdy nie proponowali, że kupią mi obiad. Kiedy miałam już dość klubów nocnych, zaczęłam dużo spotykać się z przyjaciółmi na squatach i rave'ach, stosując dietę złożoną z batoników Mars i amfetaminy. Pieniądze na szkolny obiad, które mama zawsze mi zostawiała, zwykle szły na alkohol bogaty w cukier,

dzięki czemu mogłam pomijać kolejne posiłki. Po latach niejedzenia moje ciało było przystosowane do tego rytmu. Ale on nadal był wyczerpujący.

I było mi zimno. Ja i moje przyjaciółki często marzyłyśmy. Naprawdę trzęśmy się z zimna – temperatura była niska, a my chodziłyśmy lekko ubrane i dużo czasu spędzałyśmy na zewnątrz. Trzęśmy się przed wejściami do klubów, na przystankach autobusowych, paląc papierosy, w kolejkach na koncerty, czekając na metro, czekając na przyjaciół, czekając na facetów. Przebierałyśmy nogami, ręce wciskałyśmy w kieszenie, ramiona w boki ciała. Zanim poznałyśmy ludzi ze squatów, przez jakiś czas miałyśmy miejscówkę w holu bankowym przy Oxford Street – zamek na kartę był zepsuty, a drzwi można było otworzyć lekkim pchnięciem. Przesiadywałyśmy tam godzinami, aż byłyśmy obolałe i pokurczone i dopóki nie zrobiło się dość jasno, żeby wrócić do domu. Było tam cieplej niż na ulicy, choć niewiele. Przez krótki czas miałam chłopaka, który mieszkał w pokoju nad salonem tatuażu i pozwalał nam tam czasami nocować. Nawet gdybyśmy chciały wrócić do domu, nie było to proste. Po wyjściu z klubów w północnym Londynie łapałyśmy nocne autobusy przecinające miasto na południe, do Trafalgar Square, ale potem zawsze trzeba było jeszcze czekać samotnie na zimnym przystanku na kolejny autobus, ten do domu. Pewnej nocy, gdy autobus z północnego Londynu skończył kurs na Trafalgar Square, uprzejmy kierowca zapytał mnie i moją przyjaciółkę, czy nie chciałybyśmy zostać w środku i poczekać w ciepłe. Wjechał w boczną ulicę. Potem wyłączył silnik i światła, a kiedy zaczął się do nas zbliżać, nagle przestał być taki miły. Widział nasze bilety miesięczne, więc nie było sensu ostrzegać go, że jesteśmy nieletnie. Nasz wiek go kręcił. Zaczęłyśmy krzyczeć i walić w okna. Zwyzywał nas i ręcznie otworzył drzwi.

Innej nocy znalazłam na ulicy pieniądze. Zamówiłam taksówkę. Kierowca też zatrzymał się w bocznej uliczce. Usłyszałam dźwięk centralnej blokady drzwi. Powiedziałam mu, że w domu czekają na mnie mama i młodsza siostra. Odpowiedział mi tylko, że jestem niegrzeczną dziewczynką. Pokazał mi aluminiowy kij baseballowy. Obserwował mnie w lusterku wstecznym. Widziałam, że nie wierzy, by ktokolwiek na mnie czekał – bo jaka dziewczyna stoi sama na krawężniku w północnym Londynie o czwartej nad ranem? Ale on tylko się we mnie wpatrywał. Pogładził kij, a następnie odłożył go na podłogę pod fotelem pasażera. Włączył silnik, wyjechał z powrotem na główną ulicę i wyrzucił mnie z samochodu. Resztę drogi

musiałam pokonać na piechotę. Kiedy wróciłam do domu, w korytarzu paliło się światło. Mama zawsze zostawiała dla mnie zapalone. Teraz rozumiem, że to znaczyło, że czekała, martwiąc się o mnie przez te wszystkie noce. Że nie spała, czuwając, aż usłyszy dźwięk mojego klucza w drzwiach. Chciałabym wymazać wiele skutków moich działań, ale przede wszystkim chciałabym wymazać ten jej niepokój.

PRZEZ JAKIŚ CZAS prowadziłam taki tryb życia, nie zwracając na siebie uwagi w szkole. Mundurek trzymałam w szafce. Mogłam przyjechać wczesnym metrem, wyglądając po zeszłej nocy jak wrak, ale na apelu – w przepisowej bluzce i spódnicy – prezentowałam się już jak każda inna uczennica. W drugim roku mieszkania w Londynie ten system zaczął jednak szwankować. Gdy byłam na kacu, coraz częściej nie udawało mi się dotrzeć do szkoły przed pierwszym dzwonkiem, a kiedy już spóźniałam się na pierwszą lekcję, reszta zajęć nie wydawała się warta wysiłku. Zaczęłam opuszczać całe tygodnie szkoły. Kiedy czasem się w niej pojawiałam, czekały mnie kłopoty. Pewnego dnia spotkałam nauczycielkę wuefu i zrobiła mi wykład, że nie przychodzę na jej lekcje. Niemal wylądowałam na dywaniku u dyrektorki, ale zostałam uratowana przez nauczycielkę biologii. Chociaż nie było mnie też na jej lekcjach, wytłumaczyła wuefistce, że tak naprawdę jestem nową uczennicą, a ponieważ dopiero co zaczęłam uczęszczać do tej szkoły, nie mogłam opuścić żadnych zajęć. Wprowadziła mnie do swojej klasy, pokazała mi, gdzie usiąść, i dała nowy zeszyt ćwiczeń. Byłam wtedy przekonana, że zwariowała – że albo naprawdę mnie nie poznała, albo nie zdawała sobie sprawy, że wcale nie jestem nowa. Teraz jednak myślę, że doskonale wiedziała, kim jestem, i tym bezczelnym kłamstwem postanowiła mnie obronić przed notorycznie wściekłą i niestabilną wuefistką. Zrobiła ze mnie „nową uczennicę” i uchroniła nas obie. Byłam jej wdzięczna. A jednak nigdy więcej nie poszłam na jej lekcję. Co więcej, nigdy więcej nie poszłam na żadną inną lekcję biologii. Znacznie łatwiej było mi po prostu rzucić szkołę.

Nie byłam sama, moje dwie najlepsze przyjaciółki powtarzały identyczny scenariusz. Coraz więcej opuszczonych dni. Więcej niewykonanych prac



domowych. Pojawianie się w szkole raz na jakiś czas, jak w klubie towarzyskim. Kilku nauczycieli próbowało do nas dotrzeć, ale reszta raczej umywała ręce. I jak tu im się dziwić, skoro robiłyśmy wszystko, co w naszej mocy, aby nas wyrzuciono? Jednak patrząc wstecz – choć widzę, jak koszmarnie było nasze zachowanie – jestem zaskoczona, gdy uzmysławiam sobie, jak bardzo niedojrzałe i bezbronne byłyśmy. Jedna z moich przyjaciółek miała poważną dysleksję. Choć pod wieloma względami była inteligentniejsza, a na pewno najbardziej zaradna z nas wszystkich, konsekwentnie oblewała klasówki i w efekcie była spychana do coraz słabszych grup w szkole. Czy to dziwne, że postanowiła nie stawiać się na egzaminach? Inna przyjaciółka wyleciała ze szkoły w tym samym czasie co ja. Jej ojciec się nad nią znęcał. Wszyscy o tym wiedzieli. Ale nikt jej nie pomógł. Mogłyśmy się wtedy uważać za wszechwiedzące, ale tak naprawdę byłyśmy takie niewinne. Potrzebowałyśmy pomocy. Potrzebowałyśmy wsparcia. Zamiast tego po prostu się nas pozbyto.

Bez szkoły trudno było nam znaleźć miejsce, w którym mogłyśmy spędzić cały dzień. O ile nie jest się bogatym, buntowniczy styl życia jest nie tylko zimny, ale także nudny. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zaczęłam udawać chorobę tylko po to, żeby móc zostać w domu i oglądać telewizję. Teraz, dla odmiany, było błogo. Moja mama zaczęła jednak szybko nalegać, abym przestała symulować i wróciła do szkoły. Nie mogłam. Powtarzałam to w kółko, jak mantrę:

– Nie mogę, nie mogę, nie mogę.

Miałam rację. Następnego dnia mama poszła spotkać się z dyrektorką. Okazało się, że zbyt często byłam nieobecna, aby przejść do następnej klasy w szkole państwowej, a nawet żeby zostać przyjętą do innej szkoły ogólnokształcącej, chyba że powtórzyłabym rok. Wicedyrektorka zasugerowała, że może nie należy mnie uczyć na siłę i że zamiast szkoły lepsza byłaby dla mnie praca.

– Może w McDonalddie? – Uśmiechnęła się.

Mama nie była w stanie tak łatwo zaakceptować porażki, więc jedyną opcją, jaką widziała, było znalezienie pieniędzy na wysłanie mnie do prywatnej szkoły.

Niczym Złotowłosa z *Opowieści o trzech niedźwiadkach* próbująca trzech owsianek, starałam się o przyjęcie do trzech nowych szkół. Na rozmowie kwalifikacyjnej w pierwszej z nich przykleiłam do twarzy swój najlepszy

i najmiłszy uśmiech i wspomniałam o planie wstąpienia do chóru. Dyrektorka natychmiast mnie przejrzała i przestała odbierać telefony od mojej mamy. Druga szkoła zaproponowała dzień próbny, który nie poszedł mi zbyt dobrze. Ponoć doprowadziłam nauczycielkę włoskiego do łez. Byłam przyzwyczajona do przebywania w dużych, hałaśliwych klasach, w których pewien poziom anarchii był na porządku dziennym. Byłam przyzwyczajona do tego, że musiałam krzyczeć, żeby mnie usłyszano, albo że pozostawiano mnie sobie samej gdzieś z tyłu klasy. Byłam przyzwyczajona do szkoły, w której nie podjęto żadnych działań dyscyplinarnych, gdy moja klasa spiskowała, by zamknąć nauczyciela sztuki w magazynie. Ta nowa, elegancka, cicha szkoła z regulaminem precyzującym, po której stronie korytarza należy chodzić na przerwach, nie była dla mnie.

W trzeciej szkole poproszono mnie o rozwiązanie prostego zadania matematycznego z rachunku prawdopodobieństwa – zrobiłam je poprawnie. Gdy dyrektor wypełniał różne formularze, przerwałam mu, prosząc, aby zapisał moje imię bez „y” na końcu. W poprzednich szkołach pracownicy wydawali się niemal czerpać satysfakcję z poprawiania podanej przeze mnie pisowni mojego imienia i zmuszania mnie do wpisywania go „poprawnie” jako kary za „zbezczeszczenie” moich zeszytów ćwiczeń. Dyrektor popatrzył na mnie przez chwilę.

– Możesz pisać swoje imię tak, jak chcesz – stwierdził.

Wyjaśnił, że w jego szkole obowiązują tylko dwie zasady – po pierwsze, nie wolno opuszczać lekcji, a po drugie, trzeba się uczyć. Szkoła nie tolerowała ich łamania, co początkowo zmartwiło i mnie, i moją mamę. Ale lekcje zaczynały się dopiero po dziesiątej, dopuszczano przerwy na papierosy i pozwalano wносить do klasy kawę. Do wszystkich nauczycieli i uczniów zwracano się po imieniu. Klasy były najwyżej sześciuosobowe. Co najważniejsze, w szkole nie obowiązywały mundurki ani określony styl ubierania. Koniec z przebieraniem się w szatni.

Ulżyło mi i, mój Boże, ulżyło też mojej mamie. Mimo to zmiana szkoły nie była taka łatwa. Pozostałe dzieci były bogate, więc znowu odczułam swoją biedę. Niektóre były nie tylko bogate, ale i znęcały się nad słabszymi. Większość z nich, podobnie jak ja, nie przetrwała w głównym nurcie systemu. Pewnego ranka jakiś chłopak zaczepił mnie na korytarzu i doradził, żebym wróciła do rynsztoka. Kilka lat później mogłabym zacytować mu słowa Oscara Wilde’a o leżeniu w rynsztoku i spoglądaniu ku gwiazdom.

Wtedy jednak po prostu powiedziałam, żeby spierdalał. Nadal wychodziłam z domu na całe noce, piłam i ćpałam, ale mimo to udawało mi się przestrzegać zasad – przychodziłam do szkoły i się uczyłam.

Zacząłam chodzić na zajęcia z kreatywnego pisania i po raz pierwszy od dłuższego czasu otrzymałam pochwałę. Zdałam do następnej klasy. Miałam przystąpić do matury. Za namową ulubionego nauczyciela zaczęłam myśleć o studiach. Okazało się, że dawne ambicje kujonki nie umarły tak łatwo. Zmiana nie nastąpiła z dnia na dzień i nie był to nawet świadomy proces, ale stopniowo zaczęło obchodzić mnie moje życie. I dzięki temu przetrwałam. Co już zresztą wiecie, bo przecież czytacie ten esej.

Mogłabym tu zakończyć swoją opowieść. Mogłabym powiedzieć, że edukacja mnie uratowała i pod wieloma względami byłaby to prawda. Ale byłaby to jedynie jej część, ponieważ jest w mojej historii jeszcze wiele innych rzeczy, które tu pominęłam. A jeśli mam o nich opowiedzieć, to jest to właśnie ta część, w której następuje zwrot i w której zastanawiam się, dlaczego w ogóle o tym opowiadam. Pozwólcie, że tu się zatrzymam i po prostu wyjrzę przez okno. Muszę wstać i odejść od biurka. Chwilę odetchnąć.

W WIEKU PIĘTNASTU LAT uciekłam z dwiema przyjaciółkami z domu.

Zostawiłyśmy kartki, że nie wracamy. Wzięłyśmy śpiwory i wszystkie nasze oszczędności, około dwunastu funtów. Miałyśmy nadzieję, że jeśli pokręcimy się po centrum, to spotkamy kogoś, kto pozwoli nam u siebie przenocować. Nieuchronnie przyciągnęłyśmy uwagę skinheada, który zaproponował, że załatwi nam gdzieś nocleg, jeśli „natychmiast” z nim pójdziemy. Ale przy całej naszej brawurze wolałyśmy spać w drzwiach sklepu, niż podjąć ryzyko wsiadania do furgonetki z mężczyzną, który mógłby nas zawieźć nie wiadomo dokąd.

Zasypianie na ulicy jest przerażające. Budzenie się jest nikczemne. Rano pracownicy sklepów i biur, obok których spałyśmy, niemalże się o nas potykali. W ciągu dnia żebrałyśmy o pieniądze. Początkowo odczuwałyśmy wstyd, ale byłyśmy też zaskoczone hojnością przechodniów. Pewien uśmiechnięty mężczyzna kupił nam wszystkim lody, mówiąc:

– Tylko nie mówcie, że nigdy nic wam nie daję.

Bardzo się ucieszyliśmy. Ale tego rodzaju kontakt z ludźmi był rzadki, a kiedy byliśmy już zmęczone i zaczynałyśmy jęczeć, stawałyśmy się coraz bardziej niewidoczne dla przechodniów.

Pewnej nocy schroniłyśmy się w hostelu dla bezdomnej młodzieży. Dostałyśmy gorący posiłek, formularze do wypełnienia oraz wskazówki, jak ubiegać się o mieszkanie socjalne. Podczas wywiadów z nami pracownicy socjalni dyskretnie pytali o przemoc domową, wykorzystywanie przez członka rodziny, członkostwo w gangu. Zaproponowano nam pomoc psychologa. Personel był życzliwy, chociaż inne dzieciaki wiedziały, że kłamiemy, mówiąc, że mamy szesnaście lat, i jak mi się wydawało, odgadły też, że kłamiemy co do powodów naszego przebywania na ulicy. Planując ucieczkę, rozmawiałyśmy o tym, jak nieszczęśliwe czujemy się w swoich domach, o ile bardziej wolne będziemy poza nimi. Mówiłyśmy sobie, że jesteśmy odważne, bo ucieczka jest radykalnym krokiem, o którym inne dziewczyny tylko rozmawiają. Myślałyśmy, że ucieczka da nam jakąś władzę. W ciągu kilku dni spania pod gołym niebem, zebrania i prób rozgrzania się w poczekalniach dworcowych stało się jasne, jak bardzo się myliłyśmy. Chciałam wrócić do domu. Było mi wstyd, ponieważ moje przyjaciółki wolały zostać na ulicy. Był to jednak jeden z tych rzadkich momentów, kiedy działałam w swoim najlepszym interesie, a nie po to, aby zyskać czyjąś sympatię. Nawet gdy pakowałam torbę, szykując się do ucieczki z domu mamy, wiedziałam, że nie ucieknę od tego, co naprawdę było moim problemem. W domu nikt mnie nie bił. Nie traktowano mnie okrutnie. Nie miałam żadnego wielkiego powodu, by uciekać. Byłam po prostu samotna. Byłam po prostu nieszczęśliwa. Byłam po prostu zagubiona.

Moją młodszą siostrę wychowywano przecież tak samo jak mnie. A jednak radziła sobie inaczej, była najśłodszym i najbardziej otwartym emocjonalnie dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić. Wydawało się, że chciała mieć temperament przeciwny do mojego, tak jak wiele innych młodszych dzieci, które starają się zdystansować od swojego starszego rodzeństwa. Mimo to nie odrzucała mnie, lubiła mnie przytulać i pocieszać. Po tym, jak uciekłam, nagle została jedynym dzieckiem w domu. To coś, o czym odchodząc, nawet nie pomyślałam. Ale w pełni zdałam sobie z tego sprawę, kiedy wróciłam do domu. Zadzwoiłam do drzwi, a moja siostra przybiegła i objęła mnie najmocniejszym uściskiem, jaki kiedykolwiek poczułam. Płakała. Spojrzała na mnie wielkimi smutnymi oczami i zapytała:

– Dlaczego nas zostawiłaś?

Nie miałam odpowiedzi. Nie spodziewałam się, że będzie za mną tęsknić ani że się ucieszy, że wróciłam do domu, albo że potrzebuje mnie, żebym tam była, żebym nie zniknęła. W egoizmie, który – jak mi się wydawało – był usprawiedliwiony moim własnym bólem emocjonalnym, nie rozważałam potrzeb nikogo innego.

Przywołując teraz ten ból i zagubienie w głosie mojej siostry, zdaję sobie sprawę, że obie potrzebowałyśmy tego samego: jakiejś obietnicy bezwarunkowej miłości, jakiegoś – niedostępnego wtedy dla nas obu – rodzaju poczucia bezpieczeństwa. I myślę, że ostatecznie dałyśmy to sobie nawzajem. Dwa lata później, kiedy znów nawaliłam i bałam się, że mama wyrzuci mnie z domu, moja siostra obiecała, że mnie nie wyda. Zapewniła mnie, że nadal mnie kocha, bez względu na wszystko. Potem przyszła do mnie ze swoją książeczką oszczędnościową i z wielką powagą zaproponowała, że w ramach pomocy odda mi wszystkie swoje pieniądze. Nie byłam w stanie ich przyjąć, więc przytuliłam ją, uspokoiłam, uśmiechałam się i wygłupiałam, dopóki z jej twarzy nie zniknęła zmartwiona mina.

ALE TAK NAPRAWDĘ NIC NIE BYŁO OKEJ. Jest jeszcze jeden fragment tej historii, który należałoby odsłonić. Dotyczy wszystkich tych nocy, które spędzałam poza domem.

Było tak. Chodziłam do klubów nocnych, czasem z przyjaciółkami, a czasem sama, ponieważ dziewczyny bywały zmęczone ciągłym poszukiwaniem zainteresowania na imprezach. Flirtowałam w klubie z nieznajomym przy barze. Trzymając się krawędzi kontuaru, żeby ustać na nogach po wypiciu niezliczonej ilości drinków, musiałam się naprawdę mocno koncentrować, kiedy nieznajomy pytał mnie, co chciałabym teraz zrobić. Bełkocząc, pytałam, czy ma w domu jakąś wódkę. Uśmiechał się w odpowiedzi. Mówił, że możemy wziąć taksówkę. Nie było żadnych telefonów, z których można by napisać esemes, żadnych aplikacji do zamawiania własnej taksówki, żadnej szczepionki przeciwko HPV, bo to wszystko działo się milion lat temu. Kończyłam więc wieczór za wieczorem

w mieszkaniu obcego mężczyzny, ze szklanką wódki i bez wyjścia. Mężczyzna mógł pomyśleć, że dawałam mu wszystko, leżąc u niego w pokoju naga, z gęsią skórką. Moje ciało tam rzeczywiście było. Ale ja byłam gdzieś daleko. W głowie miałam tylko jedną myśl, rozbrzmiewała we mnie, ratowała mnie, ale też potępiała. Powtarzając sobie te słowa – *nie ma mnie tutaj* – jak mantrę, znikałam. Myślałam, że znam wartość tego, czym handlowałam – mojego nastoletniego ciała – i myślałam, że to ja zarabiam na tej transakcji. Ale okazywało się, że tak naprawdę wcale się wysoko nie cenię. I tak proces oddzielenia ciała od jaźni, który zapoczątkowałam wiele lat wcześniej, przestając normalnie jeść, został zwieńczony takimi spotkaniami. Były bolesne. Fizycznie. Psychiczenie. Emocjonalnie. Bolały. Za każdym razem. Przez cały czas.

Udawałam beztroską, ale tak naprawdę stałam się oziębłą, bez emocji. Zdystansowałam się od wszelkich potencjalnie problematycznych spraw. Po prostu zamknęłam się w sobie. Zamiast rozmawiać z ludźmi, z którymi przebywałam, kontynuowałam ten swój wewnętrzny dialog, który rozpoczęłam jako bezsenne dziecko – a w nim, jakby z dużej odległości, doświadczałam własnych działań, przy nieustającym akompaniamencie własnego, krytycznego komentarza. Chociaż przez lata udało mi się uciec od większości swoich autodestrukcyjnych cech, ten szczególny dialog wciąż się we mnie toczy. Wciąż sprawia, że nie mogę w nocy spać.

W pewnym momencie mama zabrała mnie na sesję do psychologa rodzinnego. Siedziałyśmy z terapeutką w jej piwnicy. Zapytała, czy mam coś do powiedzenia mamie, a ja pokręciłam głową. Moja odpowiedź na każde pytanie brzmiała: „Wszystko w porządku”. Oczywiście było wiele rzeczy, o których chciałam porozmawiać; może gdyby nie towarzyszyła nam mama, byłabym w stanie. Ale myślę, że przede wszystkim brakowało mi odpowiednich słów. Nie umiałam powiedzieć: „jestem samotna”, „jestem nieszczęśliwa” ani najważniejszego: „jestem bezwartościowa”. Ujęcie moich lęków w słowa wydawało mi się nie tylko emocjonalnie niemożliwe, ale w ogóle poza zakresem mojej zdolności opisanego stanu. Brak odpowiedniego języka, niemożność znalezienia słów, by wyrazić to, co sprawiło, że czułam się tak samotna, były katastrofalne w skutkach. Nikt

inny nie użył odpowiednich słów ani nie próbował ich ze mnie wydobyć, moje milczenie było więc kompletne.

W wieku siedemnastu lat zaczęłam mieć ataki paniki. Powietrze ulatywało z moich płuc. Próbowałam łapać oddech, uciekałam na zewnątrz, desperacko szukając tlenu, a potem zawsze mdlałam. Podczas jednego z ataków, który przytrafił mi się na koncercie, zostałam wyciągnięta z tłumu przez ochronę i zanesiona do strefy za kulisami. Ratownik osłuchał moje płuca, sprawdził szalone bicie serca i nierówny oddech, po czym dał mi zastrzyk adrenaliny. Zastrzyk powstrzymał hiperwentylację i doprowadził mnie do wymiotów. Martwiącym się o mnie znajomym mówiłam, że te epizody były atakami astmy. Jedna osoba oskarżyła mnie o próbę zwrócenia na siebie uwagi, ale ja naprawdę nie mogłam oddychać.

Skończyłam osiemnaście lat. I zrezygnowałam z narkotyków. Amfa coraz bardziej rozwalala mi organizm. Przez skurcze nie mogłam spać ani usiedzieć w miejscu. Trzęsłam się. Byłam wyniszczona. Pewnego ranka obudziłam się i zanim wstałam z łóżka, wzięłam kwasu. Nie powinnam była, pomyślałam. Stałam więc przed wyborem: wszystko albo nic. Wybrałam nic. Początkowo przyjaciółki uznały, że to fantastyczna decyzja. Mówiły o mnie, niemal się przechwalając, że „Emilie zrezygnowała z narkotyków”. Ale bez narkotyków – cóż za niespodzianka! – świat nie wyglądał już tak różowo. Na trzeźwo imprezy i squaty, na których nocowałam, były po prostu straszne. Ta nowa ja szybko przestała być atrakcyjna dla moich przyjaciółek, które nie chciały, żeby ktoś tak trzeźwy kręcił się wokół. Przeze mnie wpadały w paranoję.

Poza tym grupa moich najbliższych przyjaciółek uległa rozproszeniu. Te, które kochały kluby z muzyką indie i grunge, po prostu nie lubiły imprez rave. Niektóre zdały sobie sprawę, że muszą się zająć nauką, jeśli chcą mieć jakieś „opcje” po skończeniu szkoły. Inne już rzuciły edukację i – zbyt młode, by uzyskać odpowiednie świadczenia socjalne – żyły z tego, co mogły wyżebrać, a ostatecznie z handlu narkotykami. Niektóre zostały przeniesione do bardziej restrykcyjnych domów dziecka. Niektóre zaszły w ciążę. Ja w sobotnie wieczory zaczęłam zostawać w domu. Znowu stałam się tą niepopularną dziewczyną. Ale wtedy wiedziałam już, że samotność nie była wcale najgorsza.

Moja bliska przyjaciółka kilkakrotnie próbowała popełnić samobójstwo przez przedawkowanie, ale to bulimia prawie ją wykończyła. Dziewczyna,

którą poznałam w klubie, powiedziała mi, że kiedy jej rodzice odkryli, że tnie sobie nadgarstki, matka nasypała jej soli do ran, aby odwieść ją od ponownej próby. Jeden z przyjaciół zażył tyle kwasu, że stracił pamięć krótkotrwałą. Inny któregoś wieczoru wyszedł z imprezy i zniknął na kilka tygodni. Choć pojawił się z powrotem na squacie, już nigdy nie był tym samym łagodnym chłopcem co przedtem. Ale przynajmniej przeżył.

Nie wszystkim się to udało. To jaskrawy, bolesny, gówniany fakt.

Nie wszystkim udało się przeżyć.

Dziewczynę, którą znałam ze szkoły – bystrą, zabawną, miłą i hojną, ale również niestabilną i nieszczęśliwą – rodzice umieścili, wbrew jej woli, w szpitalu psychiatrycznym. Jakiś czas po przyjęciu na oddział powiesiła się. Chłopak, którego poznałam zaraz po przeprowadzce do Londynu, trafił do rodziny zastępczej, gdy jego ojciec wyjechał z kraju i nigdy nie wrócił. Kiedy chłopak skończył osiemnaście lat, przeniósł się do schroniska przejściowego, gdzie śmiertelnie przedawkował. Opłakiwałyśmy te śmierci, szeptałyśmy o nich między sobą, doświadczałyśmy ich jako fizyczny szok. Mówiono, że rodzice tej koleżanki nie odwiedzili jej w psychiatryku ani razu. Jedyne, o czym mogłam myśleć, to ostatni raz, kiedy ją widziałam, śmiejącą się na imprezie, opowiadającą o zespole, który obie uwielbiałyśmy. Chłopaka tak naprawdę nie widziałam od lat, ale czasami gadaliśmy przez telefon. Dzwonił, kiedy czuł się samotny. Dom zastępczy ograniczał te rozmowy do pięciu minut. Śmierć tych dwojga była jednocześnie najbardziej i najmniej rzeczywistą rzeczą, jakiej kiedykolwiek doznałam. Tak naprawdę nigdy jej nie przepracowałam. Nadal spodziewam się, że kiedyś ich zobaczę, że wypatrzę ich sylwetki w tłumie.

SĄ TEŻ INNE SPRAWY, których jeszcze nie przepracowałam.

Kiedy przeprowadziłam się do Londynu i chodziłam do szkoły jak normalna czternastolatka, codziennie wracałam do domu metrem w godzinach szczytu. Pewnego popołudnia, stojąc w zatłoczonym pociągu, poczułam, jak jakiś mężczyzna ociera się o mnie. Byłam w szoku, ale znalazłam w sobie odwagę, by mu powiedzieć dość głośno:

– Przestań mnie dotykać.



Przestał, na chwilę. Ale potem, po następnej stacji, zaczął znowu. Rozpląkałam się. To nie było ciche łkanie, naprawdę szlochałam. Byłam dzieckiem, w mundurku szkolnym, otoczona przez dorosłych, ale ani jedna osoba nie zareagowała. Na następnym przystanku wysiadłam z pociągu, przepychając się obok milczących współpasażerów. Długo stałam na peronie Gloucester Road, próbując powstrzymać konwulsyjne łzy i złapać oddech. Nikt nic nie powiedział.

Kiedyś, nie mając jeszcze osiemnastu lat, usłyszałam statystykę, że jedna na cztery kobiety zostanie zgwałcona. Rozejrzałam się dookoła. Czy moje przyjaciółki i ja zawieramy się w tej liczbie, czy jakimś cudem nas to nie dotyczy? Myślałam o wydarzeniu w metrze i wszystkich innych sytuacjach, kiedy mężczyźni zalecali się do mnie wbrew mojej woli. Myślałam o sytuacjach, w których nie chciałam seksu, ale nie protestowałam. Jednak nigdy nie zostałam zgwałcona. Dopiero gdy miałam trzydzieści dziewięć lat, gdy podczas jakiegoś feministycznego wydarzenia zachęcano kobiety do opowiadania swoich osobistych historii, ponownie zastanowiłam się nad tym stwierdzeniem. *Nigdy nie zostałam zgwałcona.* Siedziałam w zatłoczonej sali, słuchając relacji o poważnej przemocy seksualnej, i powróciły do mnie dwa bardzo wyraźne wspomnienia. Przytłoczona, opuściłam salę i stałam na ulicy, płacząc. Zostałam zgwałcona.

To nie były ataki w żadnej ciemnej uliczce, jakiej obraz zwykle przychodzi do głowy, kiedy myślimy o gwałtach. Znałam obu napastników. Potem z nimi rozmawiałam. Wstałam i sobie poszłam. Oprócz kilku siniaków nie miałam żadnych innych fizycznych śladów. I nie zgłosiłam tego policji. Przez te wszystkie lata myślałam o tych dwóch wydarzeniach jako po prostu o sytuacjach, w których zmuszona byłam uprawiać seks wbrew własnej woli. Dwa razy powiedziałam „nie” i to nie miało znaczenia.

Za pierwszym razem to był mój chłopak. Był mniej więcej dwa lata starszy ode mnie, miał może siedemnaście lat. Pewnej nocy po wyjściu z klubu odprowadził mnie do domu mojej przyjaciółki. Drzwi otworzyłam sobie sama pożyczonym kluczem i weszłam do środka. Była zima, niska temperatura, więc zapytał, czy on też może wejść. Odpowiedziałam mu, że idę już spać i żeby wracał do siebie, ale on pchnął drzwi i wszedł do domu. Kazałam mu iść, ale tylko się uśmiechnął. Rzuciłam mu szybkie „dobranoc” i poszłam na górę, mając nadzieję, że to już koniec. On jednak ruszył za mną. Wciągnął mnie do pustej sypialni. A potem siłą rzucił na łóżko, zsunął mi

rajstopy i majtki i wcisnął się we mnie. Mówiłam, że nie chcę. Właściwie to mówiłam „przestań”, ale chodzi przecież o to samo. Trzymał mi dłoń na gardle, przez co trudno było mi oddychać i mówić, nie chciałam jednak krzyknąć głośniej, bo mogłabym obudzić resztę domowników. Pomyślałam, że będą na mnie źli, że go wpuściłam. Pchał mocniej, a ja, próbując złapać powietrze, płakałam i błagałam, żeby przestał. Później po prostu zacisnęłam zęby, a łzy płynęły w milczeniu. Wiedziałam, że to się zaraz skończy. Kiedy już zrobił swoje, nie tracił czasu – po prostu wyprostował się, zapiął rozporek i wyszedł z pokoju. Usłyszałam trzask drzwi frontowych. Założyłam majtki i rajstopy i owinęłam się kołdrą. Uprawiałam seks z tym chłopakiem już wcześniej. Seks, na który wyraziłam zgodę. Więc to nie mógł być gwałt. Spotykałam się z nim jeszcze przez kilka tygodni, zanim rzucił mnie dla innej dziewczyny.

Drugi raz wydarzył się kilka lat później. Przyjaciół zaprosił mnie do swojego mieszkania na kolację, w której uczestniczył też inny jego gość – starszy mężczyzna z Irlandii. Spędziliśmy wieczór, pijąc czerwone wino i dyskutując o naszych wspólnych doświadczeniach antyirlandzkich postaw, z którymi zetknęliśmy się w Londynie. Kiedy gospodarz poszedł się położyć, my nadal rozmawialiśmy. A potem mężczyzna o wzroście ponad stu osiemdziesięciu centymetrów rzucił się na mnie, blokując przedramieniem moją klatkę piersiową i wciskając dłonią moją twarz w poduszki na kanapie. Kiedy poszedł spać, wydostałam się spod jego ciężaru i uciekłam do sypialni przyjaciela, gdzie leżałam na podłodze aż do rana. Gdy zrobiło się jasno, uciekłam.

Zracjonalizowałam sobie wtedy oba te ataki nie jako gwałty, ale jako nieuniknione skutki moich działań i mojego stylu życia. Gdyby ktokolwiek powiedział mi, że krótka spódniczka daje mężczyźnie prawo do gwałtu na kobiecie, byłabym tym stwierdzeniem przerażona, ale mimowolnie taki właśnie sposób myślenia wtedy przyjąłam. Przyjęłam karę, ponieważ miałam silne poczucie, że to moja wina, bo świadomie złamałam zasady, którymi kierują się „grzeczne dziewczyny”. Zaprzeczyłam prawdziwej naturze tego, co mi się przydarzyło, ponieważ nie widziałam innego sposobu, żeby to znieść.

Nadal nie wiem, co zrobić z tą osobistą historią. Mam problem z tym, jak kategoryzować te doświadczenia, a nawet czy w ogóle używać określenia „gwałt”. Nie chcąc umniejszać skali przemocy doświadczonej przez inne

kobiety podczas gwałtów, zastanawiam się, czy wolno mi twierdzić, że doświadczyłam gwałtu, czy cierpiałam wystarczająco, by zasłużyć na miano zgwałconej. Co więcej, czuję się winna, że nie zgłosiłam nigdzie tych wydarzeń, że może moje milczenie ośmieliło tych mężczyzn do zrobienia innym kobietom czegoś jeszcze gorszego. Ale gdzie tak naprawdę miałabym z tymi sprawami pójść? Byłam przekonana, że nikt mi nie uwierzy ani nikt nie potraktuje mnie poważnie. Nadal tak myślę.

Po drugim gwałcie zapytałam tego mężczyznę, dlaczego mi to zrobił. Odwrócił głowę – pamiętam jak dziś, że z odtwarzacza akurat leciało *The Prodigy* – i powiedział:

– Masz coś w sobie, co przyciąga, jakąś aurę.

*Mam coś w sobie...* Trzymałam się tego szkodliwego wyjaśnienia, trzymałam je w sobie przez dziesięciolecia. Dopiero na spotkaniu feministycznym, tyle lat później – kiedy zdałam sobie sprawę, że to mój młody wiek i moja wrażliwość były „aurą”, którą roztaczałam – wybuchłam płaczem.

ZOSTAŁAM SKRZYWDZONA, ale udało mi się przetrwać. Zdałam egzaminy na koniec szkoły. Dostałam się na irlandzki uniwersytet, gdzie w końcu poczułam się jak w domu. Na wykładach i ćwiczeniach spotykałam ludzi, którzy tak jak ja lubili spędzać czas na czytaniu i rozmawianiu o książkach. Zachowałam kilka starych nawyków, piłam hektolitry darmowego piwa podczas imprez, ale szybko porzuciłam pozostałe przyzwyczajenia. Zaczęłam grać w nową grę, a raczej w nową wersję starej gry polegającej na dopasowaniu się do otoczenia – tym razem udawałam, że tak naprawdę nie mam za sobą lat włóczenia się po klubach, zażywania narkotyków i wracania do domu z przypadkowymi mężczyznami. Moje nowe przyjaciółki wydawały się o wiele bardziej niewinne, więc udawałam, że i ja jestem niewiniątkiem.

Jednak to, co naprawdę dały mi studia, to kontrola nad moim życiem. Byłam tam, gdzie chciałam być, i robiłam to, co chciałam, a kiedy to do mnie dotarło, potrzeba kontroli nad tym, ile jem, zmniejszyła się. Zaczęłam jeść dwa, potem trzy posiłki dziennie. Chciałabym powiedzieć, że nigdy już nie wróciłam do głodzenia się. Ale łatwiej jest pisać o zaburzeniach odżywiania

w czasie przeszłym, niż faktycznie pozostawić je za sobą. Nawet dziś, po latach normalnego odżywiania się, mieszkam w domu bez dużego lustra i wagi. Nie jestem w stanie stawić czoła swojemu ciału. Nienawidzę tego faktu, nawet kiedy tutaj się do niego przyznaję. Nienawidzę tego, że podważa moje poczucie, że wróciłam do zdrowia. Nienawidzę tego, że przypomina mi o mojej pełnej cierpienia młodości. Nienawidzę tego, że wyraża trwały negatywny związek pomiędzy moim ciałem a pożądaniem.

Pożądanie. To słowo zmieniło dla mnie znaczenie. Uświadomienie sobie, że własne ciało, skóra i zakończenia nerwowe mogą być źródłem przyjemności – mojej własnej, a nie tylko cudzej – i chęć ich wykorzystywania w tym celu było długą przemianą, która wciąż wydaje mi się radykalna. Dawno temu, mając dwadzieścia kilka lat, poszłam do przychodni po kolejną receptę na pigułki antykoncepcyjne. Pielęgniarka wydająca recepty uśmiechnęła się, a następnie zaczęła mi opowiadać o grze wstępnej oraz o tym, ile czasu zajmuje kobiecie osiągnięcie orgazmu. Wspomniała, że większość kobiet nie jest w stanie go osiągnąć poprzez samą penetrację. Zniosłam jakoś tę konsultację, rumieniąc się za każdym razem, gdy mówiła o przyjemności, jaką daje seks, ale były to dla mnie informacje zmieniające życie. Dowiedziałam się, że seks może być – że jest – zabawą. W tym nowym podejściu do fizyczności, z którego zdałam sobie sprawę dopiero po trzydziestce, nie ma nic, co mogłoby wstrząsnąć losami świata ani zrewolucjonizować czyjeś podejście do seksu, ale wstrząsnęło ono moim światem i bardzo często także moim ciałem. *Jestem tu, całą sobą.*

JEŚLI CIĘŻKO BYŁO ustalić początek tej opowieści, to równie trudno jest zdecydować o jej zakończeniu, a najtrudniej zaś stwierdzić, czy z moich doświadczeń wynika jakaś pożyteczna lekcja. Bardzo duża część mojej obecnej „ja” żałuje, że moja młodsza „ja” nie jadła trzech posiłków dziennie, nie siedziała w domu, układając puzzle, i nie była wzorową uczennicą. Żałuję, że paliłam, brałam narkotyki, upijałam się do nieprzytomności i uciekałam z domu. I naprawdę żałuję, że straciłam dziewictwo w wieku trzynastu lat. Zastanawiam się jednak, czy gdybym tego wszystkiego nie robiła, byłabym bardziej stabilna i szczęśliwsza, czy miałabym większe

poczucie bezpieczeństwa. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiała sobie na to pytanie odpowiedzieć.

Być może moja opowieść nie zawiera się tylko w paleniu, piciu i dążeniu do samodestrukcji. Być może przeszłość nie powinna być oceniana na podstawie wyciągu z jej najbardziej ekstremalnych momentów. Być może powinnam napisać o spokojniejszych chwilach, nocach spędzonych na oglądaniu telewizji, rodzinnych wakacjach i wszystkich moich szkolnych wypracowaniach o *Hamlecie*. I może powinnam była opowiedzieć więcej o swoim teraźniejszym życiu, spojrzeć na własną przeszłość z innej perspektywy, pokazać, że nie tylko jakoś przez to wszystko przebrnęłam – ale i *rozkwitłam*. To ważny fakt, o którym nie można zapominać. Moje życie jest teraz inne i jest to dobre życie. Kiedy zapytana wczoraj, jak się miewam, powiedziałam, że wszystko dobrze i że jestem szczęśliwa, nie kłamałam. Naprawdę tak się właśnie czuję.

Ale nie zdecydowałam się na taką opowieść, nie przedstawiłam swojej przeszłości w wesołym kontekście. Wybrałam tylko jej złe fragmenty. Gdy pisze się w ten sposób, złe fragmenty stają się całą opowieścią. Muszę więc znowu na chwilę przerwać pisanie. Patrzę na kartkę notatnika, teraz pełną słów i skreśleń, i zastanawiam się, czy mogłabym to ująć inaczej. Mój wewnętrzny krytyk mówi: „Dosyć tych *negatywów*, Emilie”. Ale w tym momencie zdałam sobie sprawę, że kształt mojej opowieści musi być właśnie taki.

Ten esej obejmuje okres około ośmiu lat mojego życia. Ujawniłam w nim wiele wydarzeń i emocji, o których nigdy wcześniej nikomu nie mówiłam, do których nie przyznałam się nawet sama przed sobą. Doświadczenie ich zapisywania było bardzo bolesne. Nie mogłam uniknąć, i nie uniknęłam, bólu, który wiąże się z moją przeszłością – potrzeba pisania była jednak konieczna, mimo że tak niebezpieczna i przerażająca. Piszę to teraz, aby odzyskać te części siebie, których istnieniu tak długo i tak stanowczo zaprzeczałam. Piszę to, aby w końcu przerwać tę złożoną sobie lata temu przysięgę milczenia. Piszę to, aby wreszcie poczuć się panią swojego życia. Piszę to, ponieważ jest to najpotężniejsza rzecz, jaką mogę zrobić.

Piszę to także dlatego, że nie mogę podróżować w czasie. Od dawna regularnie powraca do mnie pewne sentymentalne życzenie – chciałabym wrócić do wczesnych lat dziewięćdziesiątych i po prostu przytulić tę dziewczynę, którą wtedy byłam, tak mocno, jak tego wtedy potrzebowała, nie

zwracając uwagi na jej protesty, że „wszystko u niej dobrze”. Teraz wiem, co bym jej powiedziała. Przytuliłabym ją i powiedziałabym, że wiem, że jest samotna, że czuje się zagubiona i bezwartościowa. A potem – ponieważ nie jest mną, ale jednocześnie jest – zapewniłabym ją, że *jest* w niej coś niezwykłego, coś niesamowitego, coś miłego, coś wyjątkowego, coś pięknego, coś kruchego, coś silnego. Coś, o co warto walczyć.

O tym, czego nie ma na egzaminie

BĘDĄC DZIECKIEM, NIE MIAŁAM ROWERU. Tak się składa, że nie miałam też przyjaciół. I tak jak udawałam, że lubię bawić się sama, udawałam też, że nie obchodzi mnie, że nie umiem jeździć na rowerze. Potem byłam już za duża na zaczynanie nauki jazdy, za duża na dziecięce rowerki, więc ostatecznie wyszło tak, że się nie nauczyłam. Kiedy inne dzieci jeździły po okolicy na swoich rowerach, ja siedziałam w domu i czytałam. Gdy musiałam się dokądś wybrać, szłam na piechotę. Ludziom mówiłam, że nie mam nic przeciwko chodzeniu, bo uwielbiam spacerować. Przekonałam o tym nawet samą siebie.

Potem, po trzydziestce, kiedy przeprowadziłam się sama do innego kraju, pomyślałam, że mogłabym wrócić do kwestii roweru. Jeśli nie wyjdzie mi nauka, nie będzie to miało znaczenia, bo nikt nie będzie o tym wiedział. Poszłam więc do lokalnego sklepu rowerowego i cicho zapytałam, czy mogę wypożyczyć rower dla dorosłych ze stabilizatorami kół. Gdy tylko wypowiedziałam te słowa na głos, zdałam sobie sprawę, że coś takiego może w ogóle nie istnieć. Ale brodaty facet za ladą tylko skinął głową i zapytał, czy chcę zapisać się na kurs dla dorosłych zaczynający się w następnym miesiącu. Byłam zaskoczona. Nie przyszłoby mi do głowy, że są na świecie jacyś inni dorośli, którzy nie umieją jeździć na rowerze. I to na dodatek jest ich tylu, że można przeprowadzić kurs. Nie chciałam jednak tak długo czekać, zdecydowałam się więc uczyć sama. Sklep nie miał rowerów ze stabilizatorami, mężczyzna zaproponował mi za to rower ze zdjętymi pedałami. Zdziwiłam się; myślałam, że rower musi mieć pedały.

– Najpierw musisz nauczyć się trzymać równowagę – powiedział – a dopiero później przejść do pedałowania.

Wzięłam więc rower bez pedałów, znalazłam pusty parking – lekko pochyły – i zaczęłam „jeździć”. Odpychałam się od ziemi, odrywając najpierw tylko jedną, a później – ze strachem – obie nogi od podłoża. Ćwiczyłam przez całe przedpołudnie, okrążając parking raz za razem. Kiedy szło mi już całkiem dobrze, pchnęłam rower nieco wyżej pod górkę.



Odwróciłam się i natychmiast zamarłam – moje dłonie przykleiły się do hamulców, a stopy przyspawały do ziemi. Z tej perspektywy niewielkie wzniesienie wyglądało na dosyć strome wzgórze. Może wystarczy nauki na jeden dzień? Może tak naprawdę wcale nie muszę jeździć na rowerze? Wiedziałam jednak, że odpuszczenie bez podjęcia nawet jednej próby byłoby prawdziwą porażką. A więc puściłam hamulce. I sunęłam w dół po raz pierwszy, sunęłam i czułam, jak przecinam powietrze, a ziemia porusza się pod kołami. Kiedy zatrzymałam się na dole, przerażenie ustąpiło miejsca oszołomieniu, a oszołomienie dumie. Potem znowu wepchnęłam rower na górę i zjechałam jeszcze raz. Przez następne dwa dni powtarzałam to w kółko. Byłam szczęśliwa. Nauczyłam się jeździć na rowerze. Jakbym niemalże nauczyła się latać. Pamiętam to uczucie sunięcia, latania, śmigania i zastanawiam się teraz, czego tak się bałam. I dlaczego nie umiem częściej puszczać hamulców?

KIEDY ZDAŁAM SOBIE SPRAWĘ, że chcę pracować jako wykładowczyni uniwersytecka, miałam nadzieję, że zostanę nauczycielką, która będzie w stanie odmienić życie studentek i studentów, będzie dokładna i przenikliwa i nauczy ich rzeczy, jakich nie ma na egzaminach. Próbowałam zrealizować niektóre z tych ambicji, starając się stworzyć na swoich zajęciach bezpieczną (i równościową) atmosferę, w której wszystkie studentki i studenci mogliby podejmować ryzyko. Czasami wydaje mi się, że największym ryzykiem, jakie mogą sobie wyobrazić ci młodzi ludzie, jest właśnie powiedzenie czegoś na głos. Wiem, że boją się, że palną coś głupiego i zostaną wyśmiani. Ale zachęcam ich do wypowiedziania się pomimo tego strachu, bo mam obawy, że jeśli będą milczeć na moich zajęciach, to być może nie zabiorą głosu także w innych okolicznościach, na inne tematy. Takie, o których powinno się mówić głośno. Jeśli nie będą umieć mówić na forum grupy, czy odezwą się, jeśli spotkają się z molestowaniem, dyskryminacją lub innym rodzajem przemocy?

Zaczęłam się nad tym zastanawiać po tym, jak jedna z moich studentek przyszła do mnie na konsultacje w sprawie eseju na zaliczenie. Odbyłyśmy ożywioną rozmowę na temat planu jej pracy i pomysłów. Dziewczyna była

bystra, wnikliwa i elokwentna. Jednak w ciągu ośmiu tygodni moich ćwiczeń ani razu nie słyszałam, żeby wypowiadała się przed całą grupą.

– Mogłabyś opowiedzieć o swojej pracy w przyszłym tygodniu na zajęciach? – zapytałam.

W milczeniu pokręciła głową.

– Jesteś naprawdę dobra – dodałam.

Wyglądała na zaskoczoną, a ja poczułam się zawiedziona. Wiedziałam, że ta młoda kobieta milczy z konkretnego powodu: bo jest dziewczyną, a dziewczyny są nauczone siedzieć cicho, mają wbite do głowy, że nie są wystarczająco dobre, aby zostały wysłuchane. Te wyjątkowe, które podejmują ryzyko głośnego przedstawienia swojej opinii na dany temat, ryzykują też, że będą postrzegane jako bezczelne czy aroganckie. Żadna z nich nie urodziła się z tym lękiem. Nie urodziła się, czując się gorsza. Nauczono je tego przez lata. Wiem, bo sama przeszłam taki sam trening.

Kiedy miałam dwanaście lat, przystąpiłam do egzaminów wstępnych do miejscowej szkoły i dostałam stypendium. Ale kiedy moja mama zapoznała się ze szczegółowym planem zajęć, zobaczyła, że dla uczennic przygotowano obowiązkowy kurs prowadzenia domu, podczas gdy uczniowie dostali w tym czasie dodatkowe lekcje matematyki. Opcja dodatkowej matematyki w ogóle nie była dostępna dla dziewcząt. Mamie się to nie spodobało, więc nie poszłam do tej szkoły. Ale szkoła, do której ostatecznie trafiłam, również dyskryminowała dziewczęta. Co dziwne, pod koniec pierwszego roku na egzaminach z dwóch przedmiotów uzyskałam 99 procent. Pewna siebie, zapytałam obu nauczycieli, za co straciłam ten jeden procent. Zrobili krótką pauzę, po czym wyrecytowali taką samą, jakby przygotowaną wcześniej odpowiedź: inny uczeń spisał się równie dobrze, ale tylko jedno z nas mogło uzyskać 100 procent. Nie sprecyzowali, dlaczego nie byłam tą osobą, ale w obu przypadkach tym drugim uczniem okazał się chłopiec. Zrozumiałam przekaz.

A teraz w mojej pracy – tydzień po tygodniu, w kolejnych grupach – widzę efekty takiego przekazu. Studentki są o wiele bardziej małomówne niż studenci, ponieważ znacznie częściej nie doceniają wartości swojego wkładu w dyskusję. Przynajmniej tak jest zazwyczaj. Ta młoda nieśmiała kobieta ze świetnymi pomysłami wróciła na zajęcia w następnym tygodniu. Rozpoczęłam dyskusję od zapytania grupy o ogólne opinie na temat pewnej sztuki – czy im się podobała? Nastąpiła krótka pauza. Potem dziewczyna

odpowiedziała. Na tych ćwiczeniach zabrała głos jeden raz, potem po dwa lub trzy razy na każdych kolejnych. Bardzo ją za to podziwiałam. Nie dlatego, że przemawianie jest trudne, ale ponieważ przełamała swój strach.

PRACUJĘ W ZAWODZIE, który wciąż jest zdominowany – zwłaszcza na wyższych stanowiskach – przez mężczyzn. Mnie samej nigdy nie odmówiono awansu ani nie byłam molestowana seksualnie w pracy, więc w zasadzie nie mam powodu się skarżyć. Ale to, że się cieszę, że nic takiego mi się nie przydarzyło, samo w sobie mówi wiele. Poza tym zadziwiające jest, jak często spotykam się z przypadkowym seksizmem, który mimo całej swojej zawołanej formy także może być bardzo krzywdzący. Mówiono do mnie protekcyjnym tonem, a czasem po prostu mnie ignorowano tylko dlatego, że jestem kobietą. Na spotkaniach krzyczeli na mnie starsi rangą koledzy, licząc, że im nie odpowiem, ponieważ jestem ich podwładną i kobietą. Nazywano mnie „feminazistką”. Co robią inne kobiety w takich sytuacjach? Jak szybko reagują? Czy przeciwstawiają się krzyżącemu mężczyźnie? Czy śmieją się z seksistowskiego żartu? Czy, tak jak ja, usuwają się na bok?

Feminazistką nazwał mnie pewien fotograf, który robił zdjęcia na konferencji. Chciał, żebym ustawiła się do ujęcia przytulona do dwóch kolegów. Kiedy się zawahałam, zaczął kląć. Obaj mężczyźni obok mnie śmiali się nerwowo. Gdyby któryś z nich coś powiedział, zostałby bohaterem feministek. Gdybym ja się odezwała, zostałabym nazwana suką. Chociaż to mężczyzna sprowokował całą sytuację, to ode mnie – jako kobiety – oczekiwano, że ją załagodzę, uśmiechnę się do obiektywu, będę cicho. I niestety to właśnie zrobiłam.

Seksistowskie komentarze w miejscu pracy zazwyczaj nie zawierają odniesień do ludobójstwa, co sprawia, że łatwiej się z nimi pogodzić, ale też łatwiej je przeoczyć. Straciłam już rachubę, ile razy mężczyźni – zarówno starsi, jak i młodszy ode mnie – mówili mi, że wyglądam młodo. Zachowują się tak, jakby to był komplement, ale wcale nie jest. Kobietom należy pochlebiać, mówiąc im, że wyglądają młodo, ponieważ dla kobiet to wygląd jest najważniejszy, a młodość to najlepszy wygląd z możliwych.

Ale informując mnie, że wyglądam młodo lub że czegoś nie rozumiem, bo jestem zbyt naiwna, lub pytając, czy jestem studentką, kiedy wyraźnie widać, że jestem wykładowczynią na etacie, ci mężczyźni odbierają mi coś więcej niż dekadę zdobywania doświadczenia zawodowego i specjalistycznej wiedzy. Ten tak zwany komplement jest w rzeczywistości natychmiastową degradacją.

Jeśli jesteś kobietą, jeśli jesteś młoda, jeśli jesteś podwładną, nie trzeba cię słuchać. Tak naprawdę zrozumiałam to pod koniec ubiegłego roku, kiedy pojechałam za granicę, aby wygłosić gościnny wykład na innym uniwersytecie. Jego temat nie był szczególnie wesoły. Omówiłam kilka sztuk, w których kobiety dzielą się swoimi doświadczeniami gwałtu. Mówiłam o trudnościach, jakie kobiety napotykają, gdy publicznie mówią o gwałcie, oraz o cechującym niektóre kultury wykluczaniu kobiet, które w *ogóle* mówią publicznie. Stwierdziłam, że teatr jest dla kobiet ważnym miejscem, ponieważ mogą tam przełamać swój strach i podzielić się swoimi historiami. Gdy skończyłam mówić, zapadła krótka cisza. Czasami, gdy jestem zaangażowana w dany temat, zapominam, że nawet w kontekście akademickim słowo „gwałt” jest rzadko używane. Zachęciłam do zadawania pytań.

Pierwszy odezwał się mężczyzna, który wcześniej został mi przedstawiony jako szef wydziału. Zaczynając powoli, pokręcił głową i powiedział, że nie jest pewien, jak się odnieść do mojego wystąpienia. Jestem do tego przyzwyczajona – jeśli chodzi o tak trudny temat, sama nie zawsze wiem, jak reagować. Uśmiechnęłam się, by go uspokoić. Potem zaś stwierdził:

– Trudno mi pogodzić to, jak wyglądasz i jak się zachowujesz, z tym tematem. Mam na myśli, że wyglądasz... Nie chcę używać słowa „uroczo”, ale...

Zamilkł. Machnął rękoma w moim kierunku. Chociaż w końcu zadał pytanie, na które posłusznie odpowiedziałam, to tym komentarzem nadał ton pozostałej części dyskusji. Nie miałam być traktowana poważnie. Później tego wieczoru opowiedziałam o swoim wykładzie znajomemu. Na koniec, po namyśle, wspomniałam o szefie wydziału.

– Ten facet powiedział najdziwniejszą rzecz, powiedział, że wyglądam „uroczo”.

Mój przyjaciel się wzdrygnął. Dopiero wtedy przyznałam się przed sobą,

że jestem zła, że zostałam osądzona na podstawie tego, jak wyglądałam, a nie tego, o czym mówiłam. Ale później, gdy gniew ustąpił, zastąpiła go nowa emocja: wstyd. Że się nie sprzeciwiłam.

Na ironię zakrawa fakt, że przecież całe moje wystąpienie dotyczyło sposobów zastraszania kobiet i zmuszania ich do milczenia. I oto mogąc publicznie zabrać głos, napotkałam tę samą trudność. Komentarz szefa wydziału sugerował, że nie powinnam wypowiadać się na temat gwałtu. Podejście, że kobiety mają być widziane, ale nie słyszane, jest więcej niż nieznośne. Jest to sposób na danie kobietom do zrozumienia, aby wróciły na swoje miejsce, z powrotem do milczenia. Nie wierzę, że wciąż spotykam się z taką postawą na uniwersytecie. I przede wszystkim mam dość konieczności wymyślania odpowiedzi. Powinnam była po prostu roześmiać mu się w twarz. Powinnam była wytknąć mu mizoginię. Ale w chwili, gdy mówił, nawet nie pozwoliłam sobie pomyśleć o implikacjach jego komentarza. Chciałam wyglądać na profesjonalistkę. Chciałam wydawać się silna. Chciałam przejść dalej. A więc zesłam mu z drogi. Co jest, oczywiście, rodzajem milczenia.

To trochę śmieszne opisywać się jako milczącą czy cichą, bo tak naprawdę mam dosyć donośny głos. Na imprezach znajomi proszą mnie o wznoszenie toastów, bo słychać mnie pomimo hałasu. Przyjaciel powiedział mi kiedyś, że w sumie nie potrzebuję telefonu komórkowego, gdyż mogę po prostu krzyknąć i ludzie usłyszą mnie nawet z daleka. Jestem też głośna na inne sposoby: zabieram głos na spotkaniach, biorę udział w dyskusjach, a moja praca wykładowa na uczelni oznacza, że *zarabiam na życie, mówiąc*. Ale okazuje się, że można być jednocześnie cichą i głośną.

Chociaż nie boję się mówić publicznie ani tego, że będę postrzegana jako ambitna – a obie te rzeczy są najczęstszymi przeszkodami, z którymi kobiety spotykają się w swojej pracy zawodowej – padam ofiarą równie zdradzieckiego problemu: oddaję swoją władzę. Usuwając się na bok, nie zwracając uwagi na seksistowskie odzywki, zachowuję się tak, jakbym się z nimi zgadzała, jakbym potwierdzała, że kobiety nie mają głosu, jakbym nie była feministką. A prawda jest taka, że męczy mnie już bycie feministką. Męczy mnie, że rozpoznawanie, zwalczanie i naprawianie skutków seksizmu to odpowiedzialność kobiet. Męczy mnie, że jest to tak konieczne i tak

trudne. I jestem zmęczona własnymi aktami internalizacji, zmęczona swoim współsprawstwem i braniem udziału w tej grze.

POZWÓLCIE, ŻE ZMIENIĘ NIECO TEMAT i opowiem wam, czego dowiedziałam się o sobie przez ostatni rok. Jesteście gotowi? A więc: nie obchodzą mnie wasze uczucia. Nawet was nie znam, ale nie obchodzi mnie, jak się czujecie, co czujecie ani nawet czy w ogóle macie jakieś uczucia. Dlaczego? Ponieważ najwyraźniej brakuje mi empatii.

Dla niektórych może to nie być zaskoczeniem, ale dla mnie było. Zaczęło się od tego, że zrobiłam w pracy test dotyczący słuchania z empatią – wynik był alarmujący. Zrobiłam inny test. Wyniki znowu były fatalne. Zapisalam się więc na indywidualne testy osobowości. Siedziałam w małym pokoju z konsultantką z działu kadr i stosem fiszek. Kobieta poprosiła mnie, żebym wyobraziła sobie kilka scenariuszy i opowiedziała, jaka byłaby moja reakcja. Gdyby ktoś, dajmy na to, powiedział mi, że włamano się do jego domu – czybym mu współczuła, zrobiłabym mu herbatę, zapytała, jak to się stało, czy doradziłabym ślusarza? Oczywiście, powiedziałam, należałoby wtedy podać poszkodowanemu numer do ślusarza. Konsultantka zareagowała westchnieniem. Raz po raz udzielałam nieempatycznej odpowiedzi. Pod koniec sesji kobieta oświadczyła, że mam godne podziwu podejście do życia – staram się rozwiązywać problemy, zadawać logiczne pytania, ustalać fakty. Ale nie mam, dodała delikatnie, empatii.

– No cóż, oczywiście, że nie – odrzekłam w swojej obronie. – Jestem w pracy. W pracy nie mam być przecież empatyczna.

Konsultantka uśmiechnęła się w przećwiczony, nieosądzający sposób i zapytała, dlaczego uważam, że w pracy nie ma miejsca na uczucia. Stwierdziła, że wrażliwość może być mocną stroną. Poczułam, że mózg mi się gotuje. Przypomniałam sobie, że kilka lat temu miałam desperacką wręcz potrzebę podzielenia się z kimś tym, co czuję w pracy, ale sama siebie uciszyłam.

Poproszono mnie o wystąpienie w dniu dyskusji badawczych na naszym wydziale i przedstawienie tego, czym się aktualnie zajmuję. Byłam zaskoczona, bo nie miałam jakichś spektakularnych osiągnięć, ale organizator

zapewnił mnie, że inni będą zainteresowani, i ponowił prośbę, więc się zgodziłam. Później tego żałowałam – podczas przygotowywania prezentacji, w jej trakcie, a także po jej wygłoszeniu. Żałowałam, bo mimo że projekt, nad którym pracowałam, był dobry, to sama byłam w rozsypce. Zbliżało się Boże Narodzenie. Właśnie się przeprowadziłam. Bezlitośnie męczyła mnie bezsenność. I dopiero co poroniłam. Nikomu w pracy nie powiedziałam o ciąży, z wyjątkiem szefowej. Byłam zmęczona i otepiała. Wygłosiłam więc ogólnikową i niespecjalnie imponującą pogadankę wychwalającą korzyści płynące z „rozpowszechniania wyników naszych badań”. Ale tak naprawdę wolałabym wtedy mówić o tym, jaka jestem przygnębiona.

Widzę teraz, że opowiedzenie o swoim przygnębieniu byłoby wartościowym wkładem. Nie dlatego, że mój smutek wymagał uwagi, ale dlatego, że chociaż wszyscy blisko ze sobą współpracowaliśmy, to nikt z nas nie dyskutował o emocjach, jakie wnosi do swojej pracy, i emocjach, jakie generujemy poprzez naszą pracę. Zamiast tego zajęliśmy się imponowaniem sobie nawzajem swoim profesjonalizmem, ambicjami i osiągnięciami. Wspominając tamten czas, myślę, że to było nieuczciwe. Tak, przyznanie się do smutku byłoby z pewnością dziwne – i właśnie dlatego tego nie zrobiłam – ale mogłoby również sprowokować nas do rozmowy na temat tego, w jaki sposób nauczanie i badania naukowe mogą obudzić w nas nowe, inne od dotychczasowych emocje, jak mogą sprawić, że poczujemy się zdolne, wartościowe i ważne. O tamte uczucia warto było się upomnieć, warto było o nich mówić. Ale nie upomniałam się o nie i nie rozmawiałam o nich z jednego prostego powodu – powiedzenie, że byłam przygnębiona, byłoby niebezpiecznie kobiece.

Kiedy analizuję swoją niechęć do wyrażania emocji na płaszczyźnie zawodowej, uświadamiam sobie, że uczucia – ich posiadanie, okazywanie, mówienie o nich – są dla mnie oznaką nie tylko kobiecości, ale i słabości. Przyswoiłam sobie przekonanie, że aby być traktowaną poważnie jako intelektualistka, muszę odmawiać sobie uczuć, całej tej kobiecości i słabości. Myślę tak wbrew sobie i wbrew swojemu feminizmowi – i wbrew wszystkim kobietom na moich listach lektur, wszystkim organizowanym przeze mnie wydarzeniom, wszystkim badaniom na temat kobiet, które prowadzę, i całej mojej krytyce paneli dyskusyjnych, w których udział biorą tylko mężczyźni, i wszystkim plakatami na drzwiach mojego gabinetu reklamującym marsze

w obronie praw reprodukcyjnych kobiet. Bo, jak się okazuje, ja sama też jestem seksistką.

Do takiego wniosku doszłam podczas uczestnictwa w kursie przywództwa skierowanym do kobiet pracujących na uniwersytetach w Irlandii. Pewnego lutowego poranka zebrałyśmy się w przegrzanej piwnicznej sali konferencyjnej, aby szkolić się, jak „dawać sobie radę”. Jednym z pierwszych zadań było wybranie sobie przez każdą uczestniczkę wzoru do naśladowania. Zastanawiałam się nad tym, kogo wskazać i co mój wybór znaczyłby dla osoby, jaką chciałabym być. Wybrałam profesorkę, której prace bardzo szanuję i która jest wspaniałą powszechnie znaną intelektualistką i mówczynią. Dalszy przebieg tego ćwiczenia – omówienie w małych grupach naszych wzorców – bardzo mnie zaskoczył. Dyskusja przy wspólnym stole wykazała, że większość kobiet w mojej grupie za wzór obrała swoje matki. Jako powody wymieniały ich hart ducha, niezłomność i bezinteresowność – heroiczne cechy, jakie chciały naśladować. Byłam zła na te wszystkie matki. Jedyne, o czym mogłam myśleć, było to, że oto jesteśmy na szkoleniu zawodowym mającym pomóc kobietom w przełamywaniu barier na ich ścieżkach kariery, a jednak wszystkie uczestniczki twierdzą, że chcą być jak swoje matki. *Nic dziwnego, że nie możecie awansować, pomyślałam, jeśli wasz wzór do naśladowania został w domu.*

Oto moje wyjaśnienie: moja matka spędzała długie godziny w pracy poza domem. Nauczyła mnie, że najważniejszą rzeczą dla kobiety jest niezależność finansowa. Nauczyła mnie, że kobiety powinny być ambitne i dumne ze swojej pracy. Nauczyła mnie, że to praca stoi na pierwszym miejscu, a dom, ze wszystkimi związanymi z nim emocjami, jest na drugim. Wszystkie te lekcje nauczyły mnie myśleć o pracy zawodowej jako o odważnej i niezbędnej podróży, którą kobiety po prostu muszą odbyć. A więc – o ironio! – mogłam uznać swoją matkę za wzór do naśladowania. Ale nigdy nie powiedziałabym, że *moja mama* jest dla mnie wzorem, bo nie mogłam umieścić macierzyństwa na szczycie hierarchii kobiecych osiągnięć. Cechy, które ogólnie wiążę z macierzyństwem – miłość i wsparcie, empatia i opieka – nie są cechami, które kojarzą mi się z powodzeniem w pracy. I tak znów objawia się u mnie ten zinternalizowany seksizm.



ZAWSZE CHCIAŁAM BYĆ LUBIANA. Pod tym względem nie różnię się od innych kobiet. Kobiety chcą być lubiane. Od kobiet *oczekuje się*, że będą lubiane. Kobiety są oceniane, gdy nie są wystarczająco sympatyczne. Ale to właśnie bycie lubianą i sympatyczną, pomimo całej swojej atrakcyjności, powstrzymuje nas w pracy. Jesteśmy tak zajęte wspieraniem innych, nudną pracą papierkową i milionami innych niechcianych zajęć, że zdajemy się nie mieć już czasu, by żądać uznania dla naszych wysiłków. A jeśli go już zażądałyśmy, powstrzymywano nas z innych stron. Mówiono nam, że powinnyśmy być mniej życzliwe, mniej kompromisowe, *mniej miłe*. W końcu miłe dziewczyny nie dostają własnego gabinetu. Dawniej to mężczyźni awansowali, a nie kobiety, właśnie dlatego, że byli odważni, przebojowi i bezkompromisowi – przekaz, który płynął do kobiet, mówił, że mężczyźni nie muszą zawracać sobie głowy byciem sympatycznymi czy lubianymi, ponieważ są zbyt zajęci zdobywaniem władzy.

Obecnie jednak wszyscy muszą być sympatyczni, ponieważ w dzisiejszych czasach szczeble kariery zawodowej – zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet – są nie do odróżnienia od szczebli drabiny uznaniowej, od tego, *jak-bardzo-twoi-przełożeni-cię-lubią-i-szanują*. Trudno jest się piąć po tej drabinie, bo standardy uznaniowe stale się zmieniają. Na moim uniwersytecie czasami chcą, żeby więcej publikować. Czasami żeby prowadzić więcej zajęć. Czasami zaś żeby zajmować się więcej sprawami administracyjnymi. Jeśli chcesz być naprawdę lubiana, musisz robić to wszystko naraz. Jest jednak w całej tej pogoni za zyskiwaniem sympatii pewien haczyk. Im więcej robimy, tym bardziej jesteśmy szanowane. Ale też im więcej robimy, tym więcej się od nas oczekuje. Stale mamy „poprawiać wydajność i osiągać sukcesy”. I w przypadku pracy na wiecznie niedofinansowanym uniwersytecie sukces zawsze ostatecznie oznacza zdobycie pieniędzy.

Co tydzień otrzymuję dwa mejle na temat ubiegania się o granty. Dwa mejle łatwo zignorować, prawda? Ale przychodzi też trzeci. To cotygodniowy newsletter od dziekana, który zawiera listę wszystkich osób na uniwersytecie, które otrzymały finansowanie zewnętrzne. W ten sposób wszyscy dostajemy wiadomość. „Tak” dla przepracowanych! „Tak” dla tych niewielu odnoszących sukcesy finansowe! „Nie” dla reszty! Mogłabym próbować o tym nie myśleć, znaleźć inne dowody szacunku i poważania. Ale chcę być lubiana. Więc kiedy zdaję sobie sprawę, że tylko pieniądze mogą uczynić mnie lubianą, zaczynam czytać te mejle, klikać

w linki i ponownie rozważam potencjał swoich badań w kontekście zdobywania grantów. A kiedy udaje mi się zdobyć środki na projekt, świętuję, ponieważ to jest właśnie dowód. Dowód na to, że jestem lubiana.

Nie chcę się przechwalać, tylko opowiedzieć historyjkę z morałem. Kiedy trzy lata temu starałam się o finansowanie zewnętrzne, nie rozumiałam, że tak naprawdę staram się również o kolejny etat. Wraz z nagrodą spoczęła na mnie odpowiedzialność za kierowanie zespołem projektowym, zarządzanie budżetem w wysokości setek tysięcy euro i uzyskanie „znaczących i wpływowych wyników badań”. Nie zostałam do tego w żaden sposób przygotowana, ale wmawiałam sobie, że jestem twarda i dam sobie radę. Pieniądze pozwoliły mi „wykupić” się od prowadzenia zajęć, nie zrezygnowałam jednak z żadnych innych obowiązków. Więc miałam dwa etaty. A potem powiedziałam „tak” kolejnym propozycjom. Podjęłam się redakcji czasopisma. Zgodziłam się napisać dwie książki w ramach jednej umowy, ignorując fakt, że terminy oddania obu były ustalone na ten sam miesiąc. Zgłaszałam się do udziału w międzynarodowych konferencjach. Ba, sama zorganizowałam trzy. Podróżowałam tak dużo, że zaczęłam *zbierać mile lotnicze*. I uśmiechałam się, gdy przyjaciele czy znajomi pytali mnie, czy kiedykolwiek śpiam, bo tak – *właśnie tak* – wygląda sukces. W rzeczywistości jednak tak właśnie wygląda pracoholizm.

Dlaczego stałam się pracoholiczką? Oczekiwania dotyczące pracy ponad normę z pewnością wzięły się od moich przełożonych. Ale to nie był jedyny powód. Ponieważ oczekiwania dotyczące *perfekcjonizmu* były moje. Kiedy po poronieniu nie mogłam znowu zajść w ciążę, powiedziałam sobie, że poniosłam porażkę, bo nie mam dzieci. Powtarzałam to sobie w kółko, tak jakby zajście w ciążę było egzaminem, na który mogłabym się lepiej przygotować. Skoro nie mogłam zostać matką, zdecydowałam, że zamiast tego będę się definiować poprzez swoją pracę. Z perspektywy czasu widzę, że rzucenie się w wir pracy, zamiast przeżywania żałoby, było błędem. Ale nawet z perspektywy czasu nie mogę zrozumieć, dlaczego tak się wkręciłam, dlaczego poprzez swój pracoholizm byłam dla siebie aż tak okrutna.

Z zewnątrz wszystko wyglądało świetnie – podpisana umowa na książkę, grant, publikacje naukowe; byłam chodzącym przykładem kobiety sukcesu. Ale w rzeczywistości po cichu przeżywałam załamanie. Drobne załamanie, w porównaniu z innymi, ale jednak załamanie. Pracowałam w każdy weekend i pochłonięta obowiązkami, przestałam odpisywać na esemesy od

znajomych. Za każdym razem, gdy mój chłopak proponował wyjście na rower, odburkiwałam, że jestem zbyt zajęta. I chociaż moja praca składa się z czynności, które kocham – nauczania, badań, pisania – narastająca presja ciągłych terminów zabijała moją miłość i do pracy, i do siebie. Przestałam być po prostu przygnębiona – zaczęłam mieć depresję. Nie uznałam jej za sygnał ostrzegawczy, nie zwolniłam tempa, nie otrzymałam pomocy.

Myślałam, że moja depresja jest oznaką słabości charakteru. Myślałam, że gdybym tylko przestała marnować tyle czasu na skupianie się na swoim smutku, byłabym bardziej produktywna. Pracowałam coraz więcej, aby ukryć depresję. Czasami byłam tak zmęczona i przybita, że zamykałam drzwi gabinetu, gasiłam światło i kładłam się na podłodze. Czułam się, jakby dusił mnie koc utkany z lęku i niepokoju. Najmniejsze zadania stawały się dla mnie wyzwaniem nie do pokonania, katowałam się każdym swoim najdrobniejszym błędem. Przyglądałam się osobom wokół mnie, które wydawały się radzić sobie znacznie lepiej niż ja, i zastanawiałam się, jak to robią. Kiedy jedna z koleżanek powiedziała mi, że siada do swoich badań o dziewiątej wieczorem, kiedy jej dzieci leżą już w łóżkach, nie było mi jej żal – zazdrościłam jej tego zdyscyplinowania.

A potem, zeszłego lata, za namową uczelnianego biura badawczego, i dlatego, że jestem taką dobrą dziewczyną, wzięłam na siebie kolejny grant. Zgadzając się na to, wmawiałam sobie, że to tylko miesiąc pracy. Zupełnie zignorowałam zaś fakt, że będę musiała pracować każdego dnia miesiąca, bez przerwy. Kiedy powiedziałam rodzinie, że ubiegam się o kolejny duży grant, wszyscy stanowczo mi to odradzali. Kiedy puściłam ich radę mimo uszu, wyrazili nadzieję, że tego grantu nie dostanę. Gdy moje podanie było już w toku, zdałam sobie sprawę, że bliscy mieli rację, że popełniłam błąd. Jak ja się w to wpakowałam? Zastanawiałam się, ale było już za późno. Planowałam, konsultowałam się, pisałam i redagowałam, dopóki nie poczułam, że mój mózg zaraz eksploduje. Nadal też oczywiście wykonywałam swoją zwykłą pracę. Biorąc na siebie jeszcze więcej zadań, stałam się architektką własnego załamania. Ale nie byłam sama na drodze ku załamaniu – uniwersytet kibicował mi na każdym etapie, aż do mety – szaleństwa. „Tak” dla przepracowanych!

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ SYPAĆ na początku sezonu konferencyjnego. Pod koniec czerwca jechałam na pewne sympozjum. Dzień był gorący; wychodząc z domu, byłam rozkojarzona. Dopiero na lotnisku zdałam sobie sprawę, że zapomniałam wziąć kurtki. Nie byłby to w ogóle problem, gdyby nie fakt, że leciałam do Norwegii, a prognoza pogody była fatalna: miało być zimno i mokro. W sumie zabawna sytuacja, ale wtedy, stojąc w hali odlotów, bez żadnych ciepłych ubrań w walizce, brak kurtki wydał mi się katastrofą. Pod wpływem ataku paniki – z walącym sercem, oblana potem i z niespokojnym oddechem – zadzwoniłam do mojego chłopaka. Wysłuchał mnie i uspokoił. Poradził, żebym kupiła kurtkę na lotnisku. Kupiłam najcieplejszą, jaką mogłam znaleźć, i nosiłam ją potem z wdzięcznością przez całą konferencję. Kryzys zażegnany.

Dwa dni później kolejny problem. Mój lot powrotny został odwołany. Mimo że był dopiero piątek po południu, linia lotnicza poinformowała mnie, że będę musiała czekać na następny lot aż do niedzieli. Niedobrze. Przecież w poniedziałek miałam wygłosić wykład we Frankfurcie. Znów spanikowałam. Na początku próbowałam przymilać się obsłudze. Później zaczęłam krzyczeć. Zażądałam rozmowy z przełożoną. Przyszła, ale powiedziała to samo co jej pracownicy: że nie ma lotów. Wtedy zauważyłam obrączkę na jej palcu – domyśliłam się, że może być matką, i spróbowałam nowej taktyki: pokazałam jej zdjęcie swojego siostrzeńca na wygaszaczu telefonu. Powiedziałam, że to mój syn i że muszę do niego wrócić. *Miałam łzy w oczach*. Kobieta spojrzała na fotografię, na mnie, potem odwróciła się do biurka i gdzieś zadzwoniła. Kiedy przebukowała mój lot na sobotę, próbowałam powstrzymać triumfalny uśmiech. Kryzys zażegnany. Znowu. Tamtej nocy ledwo spałam. Rano wyleciałam pierwszym lotem, tego dnia czekały mnie jeszcze trzy przesiadki. Wojaże po europejskich lotniskach były męczące. Ale – i o to chodziło – tak naprawdę już od dawna nie czułam się tak szczęśliwa. Byłam w fazie hipomanii – praca, praca, praca. Nic mnie nie powstrzyma, myślałam, stukając w klawiaturę laptopa w Stavanger, w Aberdeen, a potem w Schiphol. Czułam się jak Superwoman.

W poniedziałek, wciąż walcząc ze zmęczeniem, poleciałam do Frankfurtu, wygłosiłam wykład, wróciłam do domu. Następnego dnia – chociaż ledwo wiedziałam, w jakiej strefie czasowej jestem – byłam już w pracy i finalizowałam wniosek grantowy. Nacisnęłam „wyślij” drżącymi palcami. Wysłałam z gabinetu i przez chwilę stałam zdezorientowana, patrząc na

ciemnawy, cichy korytarz. Byłam jedyną osobą w całym budynku. Tak bardzo skupiłam się na wypełnianiu papierów, że nie zauważyłam, kiedy zrobiło się tak późno. Chociaż był środek lata, na zewnątrz było już ciemno. Uświadomiłam sobie, że jestem głodna i że nie pamiętam, kiedy ostatni raz zjadłam porządny posiłek. Pocieszałam się, że przynajmniej to już koniec, że mogę wrócić do normalności. Kryzys zażegnany – tym razem naprawdę.

Ale ile razy można zażegnawać kolejne kryzysy, zanim się człowiek przyzna sam przed sobą, że ta seria to tak naprawdę jedno długie przesilenie? Następnego wieczoru wjechałam samochodem w ścianę. Jechałam odebrać siostrzeńca. Chciałam pomóc siostrze, dać jej chwilę wytchnienia od obowiązków samotnej matki. Gdy dotarłam do jej domu, zawróciłam, ale byłam tak nieprzytomna, że nie zauważyłam słupka. Nagle rozległ się zgrzyt i trzask zgniatanego metalu. W pierwszym odruchu pomyślałam o siostrzeńcu, ale na szczęście nie było go w pobliżu. Potem uprzytomniłam sobie, że rozbiłam ścianę i samochód, i wzdrygnęłam się na myśl o uszkodzeniach. Dopiero wtedy powoli zaczęłam się zastanawiać, czy nic mi nie jest. Ścisnęłam kierownicę. Byłam bliska płaczu. Całe moje ciało drżało od adrenaliny, drżało, ponieważ właśnie potwierdziły się moje przewidywania. Wiedziałam, że wydarzy się coś złego. Wiedziałam, że coś zepsuje. I właśnie to robiłam – rozbiłam samochód. I byłam *zachwycona*, bo do tej pory sądziłam, że tym, co się rozleci, będę ja sama.

Mogę nie mieć zbyt wiele empatii wobec innych, ale szczerze mówiąc, nie mam jej i dla siebie. Wiedziałam, że biorę na siebie za dużo i, w pewnym sensie wiedziałam, że jestem nieszczęśliwa. To nie znaczy, że w ciągu ostatnich dwóch lat nie było momentów, kiedy czułam się szczęśliwa. Ale kiedy jesteś wyczerpana i przygnębiona, następuje dziwny rozłam. Wiesz, że powinnaś być szczęśliwa, możesz nawet sobie wmawiać, że taka jesteś, ale to doświadczenie jest w jakiś sposób sztuczne, nierealne. Byłam na skraju załamania. Byłam wyczerpana sama sobą. I nikomu nie mogłam o tym powiedzieć, bo przyznanie się, wypowiedzenie na głos słowa „depresja” byłoby ostateczną porażką. Wiedziałam, że coś w końcu pęknie. I miałam to gdzieś.

NA POCZĄTKU tych kilku lat życia w ciągłym stresie wzięłam udział w jednodniowym kursie „*Mindfulness* dla nauczycieli akademickich”. Przyszło około dwudziestu osób, każda z tym samym problemem: zbyt stresująca praca. Z perspektywy czasu wiem, że potrzebowałyśmy po prostu mniej pracować, a nie trenować się w uważności, ponieważ jednak poluzowanie sobie w pracy nie wydawało się możliwe, starałyśmy się „naprawić” siebie, stać się bardziej wytrzymałe w obliczu nawału obowiązków. Tak naprawdę same się zabijałyśmy. Albo zabijał nas uniwersytet, nie jestem w sumie pewna.

Nie mogę pójść do osób zarządzających uczelnią i powiedzieć im:

– Hej, wiecie co, chłopaki – bo to w większości faceci – może czas powiedzieć pracownikom, żeby zwolnili tempo?

Nie wyślę im tej uwagi. W rzeczywistości nie mogę sobie nawet *wyobrazić*, że mogłabym to zrobić. Przyznając się do tego, nie obwiniam tak naprawdę dotkniętego kryzysem uniwersytetu o próbę przekształcenia swoich pracowników w poszukiwaczy grantów i co za tym idzie – wyciśnięcia z nas wszystkiego, co się da, do ostatniej kropli. No dobrze, obwiniam. To jednak ja ponoszę odpowiedzialność za swoje zdrowie psychiczne. Wam prawdopodobnie nie muszę tego mówić, ale musiałam powiedzieć to sobie. I kiedy już zdałam sobie z tego sprawę, zastanawiałam się, dlaczego w ogóle powierzyłam obcym ludziom decyzję o tym, ile jestem warta.

Wypadek nie spowodował u mnie natychmiastowej przemiany. I chociaż staram się być inna, wiele problemów, o których tu wspomniałam, nadal jest częścią mojego życia.

– Więc co się zmieniło? – zapytała mnie ostatnio przyjaciółka.

Oto odpowiedź: obecnie mam nową listę rzeczy do zrobienia. A właściwie to nie jest lista rzeczy do zrobienia, tylko bardziej seria notatek do siebie samej.

Będę doceniać swoje pomysły i uczucia. Będę pisać codziennie, bo pisanie jest jedną z rzeczy, które sprawiają, że czuję, że żyję. Będę wykladała to i uczyła tego, co mnie pasjonuje. Nie będę się bała wypowiedzieć na głos słowa „gwalt” tylko dlatego, że mam na sobie ładną spódnicę. Będę krytykować mizoginię. Będę walczyć z tym zinternalizowanym seksizmem. Będę miła dla współpracowniczek i współpracowników właśnie dlatego, że

nie wiem, co czują lub jak się czują. Zjem śniadanie. Zjem obiad. Zjem kolację (nie przy biurku). Będę zwracać uwagę na swoje ciało – ciało kobiety w średnim wieku. Będę spędzać czas z osobami, które kocham. Będę córką i siostrą, ciocią, partnerką i przyjaciółką. I będę pytać swoje studentki, co by zrobiły, gdyby się nie bały. Wysłucham ich wypowiedzi. I przypomnę im ze współczuciem, że to brak starań jest prawdziwą porażką.

Ja się staram. I się boję. Boję się pisać o usuwaniu się na bok, o uczuciach, o przepracowaniu, depresji i załamaniu, ponieważ wciąż jestem przekonana, że przyznanie się do słabości sprawia, że wydaję się słaba, a nie silna. Boję się potwierdzenia, że jestem młoda, urocza i bezsilna. Boję się przyznać do tych wszystkich trudnych, złych, nieprzyjemnych rzeczy. Boję się kompromitacji. Boję się współczucia. Boję się oburzenia. Boję się, że ktoś na mnie nakrzyczy. Boję się bycia uciążliwą kobietą. A także kobietą zbyt potulną.

Boję się. Ale i tak się staram.

## Podziękowania

Dziękuję Lisie Coen i Sarze Davis-Goff z wydawnictwa Tramp Press – bez których ta książka by nie powstała – za ich wizję i inspirację. Dziękuję również Karolinie Sutton, Claire Nozieres i Enrichetcie Frezzato z wydawnictwa Curtis Brown oraz Konradowi Nowackiemu z Wydawnictwa Cyranka i tłumaczce Joannie Figiel za uważny przekład. Jestem również bardzo wdzięczna przyjaciółkom i przyjaciołom, koleżankom i kolegom, dzięki którym uwierzyłam, że mogę – i że powinnam – napisać tę książkę.

Starłam się nie opowiadać niczyjej historii, a jedynie swoją własną – tak wiernie, jak to było możliwe. Nieuchronnie jednak zahaczyłam o doświadczenia mojej rodziny. Z całego serca dziękuję siostrze i rodzicom za ich hojne i uprzejme wsparcie, pomimo moich wszelkich przewinień.

A na koniec chciałabym dodać: bez R. nie byłoby żadnych słów.



## Przypisy

[1] Przełomowa amerykańska publikacja, napisana przez kobiety dla kobiet, dotycząca zdrowia i szeroko pojętej seksualności kobiet (w tym zdrowia seksualnego, antykoncepcji, ciąży, menopauzy i kwestii przemocy seksualnej), wydana po raz pierwszy w latach sześćdziesiątych XX wieku (przyp. tłum.).

Projekt okładki Plakiat, Maks Bereski  
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Redakcja Magdalena Mrozek  
Korekta d2d.pl  
Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-952847-6-2

sprzedaż: [marysia@wydawnictwocyranka.pl](mailto:marysia@wydawnictwocyranka.pl)  
redakcja: [konrad@wydawnictwocyranka.pl](mailto:konrad@wydawnictwocyranka.pl)

Wydawnictwo Cyranka  
ul. L. Nabelaka 15/1A, 00-743 Warszawa  
[wydawnictwocyranka.pl](http://wydawnictwocyranka.pl)